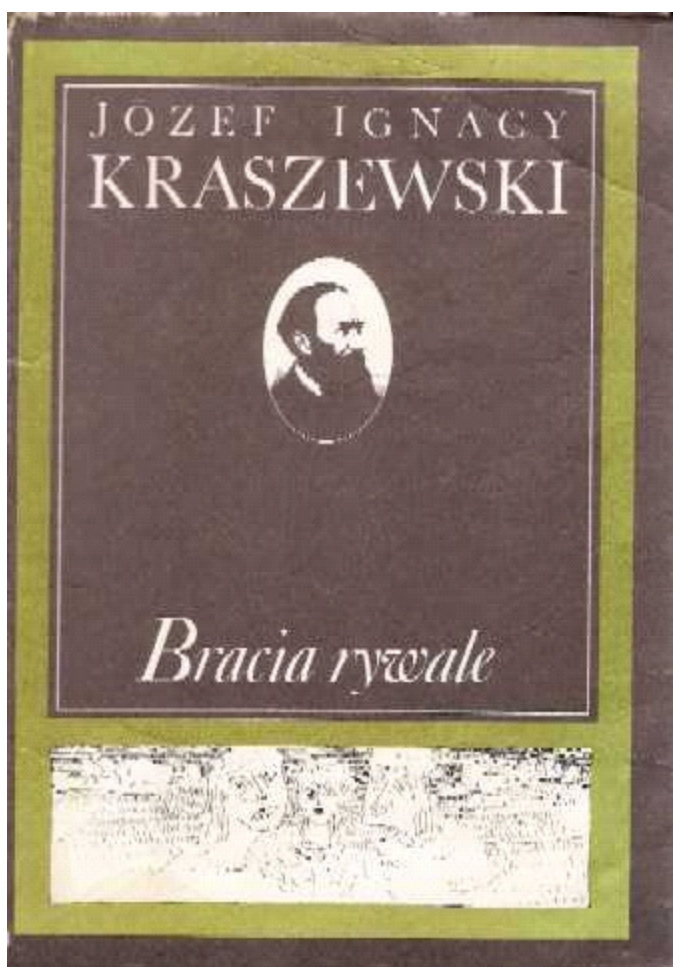


Józef Ignacy Kraszewski

Bracia rywale



calibre 0.9.27



Józef Ignacy Kraszewski

Bracia rywale

Obrazy społeczeństwa wiejskiego z XVIII wieku

Czasy Augusta III

I

Dawno to już temu na probostwie w Borusławicach, w Lubelskiem (na mapie ich nie szukajcie) — siedział ksiądz Celestyn Paczura. Nie wiem, jak tam dziś jest, wówczas było to sobie, ot, miasteczko, jakich u nas wiele. Kościół pod inwokacją św. Floriana, patrona od ognia, murowany, sięgał piętnastego wieku, choć w późniejszych kilka razy był przerabiany, czego ślady na nim zostały. Plebania też, szpital przy niej i szkołka, wszystko było murowane i stare. Z Firlejowskiego¹ jeszcze nadania do probostwa należały znaczne grunta, łąki i lasu kawałek, które dobry folwarczek składały, ale że na to nikt nie łożył, a szło zawsze dzierzawą, niewiele z tego mieć było można.

Ksiądz Celestyn Paczura, który od wikariusza tu siedział, a teraz był proboszczem, człowiek dobroci osobliwej, spokojny na podziw, serdeczny, a można było rzec, że nieprzyjaciela nie znał. Naówczas musiał mieć lat pięćdziesiąt i kilka.

Jak kościół ze starym cmentarzem, tak i probostwo ze swymi zabudowaniami nieco było za miasteczko wysunięte². Droga tędy wielka prowadziła do Lublina; kilka mizernych domków za kościołem jeszcze stało nad nią, ale życie miejskie skupiało się głębiej około rynku.

Okolo probostwa cicho było i spokojnie, chyba gdy na targ tygodniowy albo na cztery doroczne jarmarki większy zjazd się trafiał — naówczas tędy ludzi więcej i wozów się przesuwało. Na św. Floriana też, 4 maja, dla odpustu koło kościoła gwarno było, bo na ten dzień z Rzymu miał ołtarz wielkie indulgencje³. Na małym wzgórku, wśród lip i klonów już starych, stała murowana plebania, obszerna dosyć i wygodna. Dziedzińce wszystkie, tak jak cmentarz, murem były obwiedzione. Ku drodze do muru przyparty stał szpital, ze zwykłym obrazem przedstawiającym Łazarza, któremu psy rany liżą i z wielkim krucyfiksem u drzwi. W tym samym podwórzu z plebanią była i szkołka, i kuchnia proboszczowska, i pomniejsze zabudowania dla chudoby. Wszystko to cechy nosiło nie dzisiejszego wieku, mury były grube, niskie, kominy potężne, okna małe, kraciaste, a większa część izb miała sklepienia.

Wprost dziedzińca furtka wiodła na cmentarz, gdzie się dawniej grzebano i po dziś dzień wiele grobów i kamieni pozostawało, a [że] nieboszczykom pokoju zakłócać nie chciano, bo się trafiało, że kopiąc grób nowy, stare kości i szczątki trumien dobywano — nowy cmentarz trochę opodal założono. Tamten już nie murem, ale parkanem był obwiedziony i poznać można było łatwo, że w uboższych powstał czasach, którym stało na mury gorzelni i obór ale na rolę Bożą zabrakło.

Na starym cmentarzu przy kościele, zaraz od wniścia z probostwa, stała wielka w XVII wieku fundowana dzwonnica, w której oprócz wielkiego dzwonu, Florianem zwanego, wisiało jeszcze trzy mniejsze.

Tuż i kościół ze szkarpami swymi rozsiadał się wygodnie, przy którym dwie były kaplice, także późniejszymi czasy dostawionę

Budowa była mocna i piękna, częściami, jak to z okien znać było, z XV wieku, częściami z późniejszych. Wieżyczkę z sygnaturą i większą nad chórem organowym już późno wzniesiono i te miały cechy nowsze. A że kościołowi szczęściło się zawsze z proboszczami, którzy się o dom Boży starali, aby go utrzymać pięknie, dziwnie się tu wiele rzeczy zachowało, mimo wojen, zawichrzeń i różnych kraju losów. Poszło to pewnie tak tradycją od pierwszego, co tu siedział po ufundowaniu, a którego imię nawet w wizytach⁴ kościelnych nie pozostało — następcy wstydzieli się okazać mniej dbałymi i duch jednego gorliwego człowieka, choć pamięć jego zagasła, żył w pokoleniach następnych.

Można powiedzieć, że od progu począwszy, było na co popatrzeć i czemu się dziwować.

W samym wnijsciu kazał się pochować jeden z fundatorów, obyczajem wieków pobożnych jak się to naówczas często trafiało na kamieniu nie dopuszczając wyryć imienia swego nawet, tylko słowa pokorne:

Hic jucet peccator —

Orate pro eo

(Tu leży grzesznik —

módlcie się za niego.)

Z tych wyrazów, które lat więcej dwóchset ścierały nogi pobożnych parafian, ledwie teraz ślad pozostał.

W sklepionej kruchcie pod chórem, w prawo u murowanego słupa, stała bardzo stara kamienna chrzcielnica w kształcie wielkiej czaszy, na nieforemnej podstawie. Na bokach jej tej napisy były i godła nieczytelne, ale poważna staruszka, choć niepiękna, poszanowanie obudzała. Ileż to rąk, z których już i kostka nie ocalała, czerpało z niej wodę święconą! W kruchcie były na prawo drzwi do składu, w którym się pogrzebowe przybory, katafalk, drewniane lichtarze i stopnie mieściły, z wielu innymi odwiecznymi gratami. Tu chowano i rycerzy drewnianych wielkopiątkowych, i wszystko, co do tego obchodu służyło, i stary żłobek wystawiany na Boże Narodzenie. W lewo wschody wiodły na chór do organów, także na klucz zamykane, aby się nie wszyscy tam cisnęli. Było to łaską organisty komu dal wstęp na górę, a nie każdy jej mógł dostąpić. W kruchcie stanawszy, cały ów kościółek można obejrzeć było, który, choć niewielki, pięknymi proporcjami się odznaczał. Sklepienie wsparte na słupach, łukowate, dochowało się bez uszkodzenia. Słupy tylko, dawniej gotyckie, później poprzebierano modniej i nie bardzo się godziły ze sklepieniem. Nowszą była ambona rzeźbiona z drzewa i ołtarz wielki, cały złożony, z figurami św. Floriana, Waclawa i Wojciecha a Stanisława. Dawniejszy szafiasty, gdy się smak zmienił, usunięto na lewo, ale pozostał w całości. Nie było to arcydzieło, przecież w nim i kunsztu, i uczucia więcej może czuć się dawało niż w nowej strukturze, pokaźniejszej, a zimnej.

Ponad kratką, która prezbiterium oddzielała od kościoła, w górze, też znajdowała się dawna z piętnastego wieku tęczą⁵ z Chrystusem na krzyżu i figurami Matki Boskiej i św. Jana. Zaraz poznać było łatwo, iż one z ołtarzem na lewo w pokrewieństwie zostawały. Szafiasty ów ołtarz na lewo mieścił N. Pannę, w prawo, nowszy, odpowiadający mu, św. Antoniego Padewskiego. Stalle w prezbiterium z drzewa dębowego ostały się stare, tylko części ich niepotrzebnie ktoś olejno pomalował. U ścian, w lewo, był cały szereg grobowców kamiennych i marmurowych, a z tych część tylko herbami bez napisów się odznaczała, na prawo też znajdowało się ich parę. Drzwi dwoje, żelaznych, przezroczystych, przedziwną robotą ślusarską, wiodło z obu stron do przybudowanych kapliczek.

Ławy i konfesjonały stare się uchowały, wiele przy nich chorągwi zblakłych i formy niedzisiejszej po lat dwieście liczyło. Utrzymanie staranne dało im to długie życie. Przypatrując się z bliska, co krok się spotykało pamiątkę ciekawą... W posadzce kamiennej z napisami grobowymi minąć się nie było podobna. Niektóre z nich wmurowane były w słupy, inne w ściany. Ekswołów, malowanych tabliczek, obrazów zapyłonych mnóstwo się spotykało wszędzie. Co dopiero mówić o zakrystii, ornatach i o małym skarbcu, gdzie w skrzyniach i ksiąg, i graduałów, i chórałów pełno było. Żaden może mały kościółek na prowincji takiego nie miał zapasu monstrancji i pacyfikałów, kielichów, relikwiarzy, poczawszy od piętnastego wieku. W czasie wojen szwedzkich kilkakrotnie uwożono te skarby do lasu, zakopywano je, a ksiądz proboszcz Derszniak, któremu nogi przypiekali Szwedzi nad wolnym ogniem, zmuszając go do powiedzenia, gdzie pochował kościelne rzeczy, został kaleką na całe życie, aby te drogie pamiątki ocalił.

Proboszczowi tu nigdy o nic głowa nie zabolą⁶, a gdy się zjechało duchowieństwo na odpust czy na pogrzeb, nie potrzebowało z sobą kielichów przywozić — zawsze ich dosyć miała zakrystia. Toż samo z ornatach, z których jeden, perłami szyty, leżał w pokrowcu, mało kiedy używany, drugi z figurą Chrystusa rzeźbioną i haftowaną i herbami fundatorki, tylko się ciekawym pokazywał. Gdy przyszło z asystencją celebrować, i kapy, i ornaty dobrane występowały, że nieraz bogatsze kościoły zazdrościły Borusławicom. Ale tu nie było proboszcza i nie było dziedzica, ażeby *more antiquo*⁷ coś nie przyłożył do tej żywej kroniki. W szufladach leżały te karty pobożne, jak historia wieków trzymających się za ręce i kroczących drogami jednymi...

Teraźniejszy proboszcz, ksiądz Celestyn Paczura, tak się kochał w swoim kościółku jak ksiądz Derszniak, który dlań nogi utracił. Wizerunek tego męczennika, który później o kulach mszę świętą odprawiał, wisiał dotąd w zakrystii z opisem łacińskim całego wypadku. Szwedzi, cierpliwością proboszcza przerażeni, bo się im nadludzką wydawała — porzucili go i uciekli, a włościanin, znalazłszy, odwiózł do Lublina, gdzie u Świętego Ducha przeleżał kilka miesięcy, ksiądz Derszniak do zdrowia powrócił i żył jeszcze lat piętnaście.

Do grobowców starych w ścianach i na posadzce co to się tam różnych podań wiązało, które z ust do ust przechodząc, przyozdabiane, poetyzowane stały się tkaniną fantazji pobożnych na wątku przez rzeczywistość dostarczoną! Jeden dziaduś podawał drugiemu, zakrystian następcy — a gdy historia dwa pokolenia przeżyła, jak mur była mocną.

Ksiądz Celestyn Paczura, choć się niby z mieszczańską zwał, szlachcic był czystej krwi, ale z tej małej, ubogiej szlachty, co nigdy na wierzch nie umiała czy nie chciała wypłynąć. W Lubelskiem

Paczurowie Ostoje mieli wsi kilka, jeszcze niedawnymi czasy. Brat księdza Celestyna, pan cześnik Medard Paczura trzymał kawał ziemi dziedzictwem, lecz nie pilnował gospodarstwa i mamó to poszło. Żona zmarła ze zmartwienia, dzieci się przy klucznicy wychowywały, aż pan Medard, który nieustannie jeździł, sejmikował, służył . wszystkim oprócz siebie, umarł w samą porę, gdy już mu i to, co zostało, a wisiało, zabierać miano.

W spadku po nim ksiądz Celestyn wziął dwóch chłopaków, o rok tylko wiekiem się różniących, których mu owa klucznica płacząc odwiozła, bo nikogo na świecie prócz tego stryja nie mieli. Trzeba było znać skład domu i gospodarstwo proboszczowskie, ażeby zrozumieć, jakim to ciężarem mogły się stać dwie gęby młode. Wprawdzie probostwo miało niby folwark, zwany Plebanką, o którym wspominaliśmy, lecz z tego niewiele było pociechy. Trzymał go od dawna ubogi człek, obarczony familią, niejaki Hołłowicz, szlachcic zamaszysty, gadatliwy, umiejący proboszczowi biedę swą w strasznych przedstawiać kolorach. Ten, sam Bóg wie czym i jak się proboszczowi za dzierżawę wypłacał. Rzadko się ksiądz Paczura z groszem obaczył. Dostawiano po trosze zboża, owsa, grosz wpływał kapaniną — nie było z tego pożytku. Dochody kościelne szły na kościół i jego utrzymanie. Dosyć, że ksiądz biedę klepał, ale księdzu Paczurze łatwiej ją było znosić niż komu innemu, bo niewiele dla siebie potrzebował — a pogodę i wesołość miał taką w duszy, że mu jej nic, chyba cudze nieszczęście, zamącić mogło.

On sam, przy wielu postach, a bardzo skromnym życiu, obchodził się małym; zapraszano go też to tu, to ówdzie często, więc głodnym nie bywał. Nakarmić tylko kościelne sługi i wymaganiom ich uczynić zadość, kłopotem było niemałym. Stara klucznica Magdalena, wiecznie zajęta, śpiesząca się i stękająca, nie miała od nich spokoju i nie dawała go też księdzu Paczurze.

Na wikcie proboszczowskim był organista Matłachiewicz, człek daleko więcej wymagający od samego proboszcza, bo się miał za znakomitego męża, co nieledwie z łaski na małym organie borusławieckim grywać raczył. Temu i piwo co dzień być musiało i — jak tylko nie post, mięsa kawałek koniecznie. Nie tylko z klucznica się o to do upadłego wadził, ale i księdzu Paczurze dojadł raz niejeden. A pozbyć się go nie chciał, bo co miał dobrego to głos donośny, czysty, że gdy zaśpiewał, miło było posłuchać. Wiedział o tym dobrze Matłachiewicz i korzystał, wielkim będąc dla proboszcza ciężarem. Nieraz też zabałamuciwszy się w miasteczku i na chór się opóźnił, i z głową” zaprószoną na nieszpór przychodził, co księdzu Paczurze wielce było niemiłym. Ale znosił.

Zakrystian, kulawy Mamert, nie był tak wymagającym, ale mrukliwym, gderliwym, szukającym utrapienia. Dolegało mu coś zawsze, a gdy biedy nic stało, przeczuwał ją, domyślał się i prorokował. Taką miał naturę. Ten znowu do kościoła i jego porządku przywiązany był nadzwyczajnie, godziny nie chybił i nikomu jej nie dał zapomnieć, kręcił się dzień i noc, zamiatał, sprzątał, zbierał, chował, przesuwał⁸, liczył i chwili nie spróżnował. Gdy na ławie siadł już po nocy, to stękał a narzekał, że mu się gęba nic zamykała, a człowiek był dobry z kośćciami. On i Matłachiewicz żyli jak pies z kotem, i to też nie było dla proboszcza przyjemnym, bo ich ciągle godzić i sądzić musiał. Jeden na drugiego intrygował, cierpieć się nie mogli. A oba byli potrzebni!

W szpitalu pod Łazarzem siedzieli jeszcze Wicicha, stara babka pobożna, milcząca, trzęsąca się już od wieku, bo utrzymywała, że ma lat sto blisko i dziad przygarbiony, z głową nieco krzywą, Hruszka. Nie był to zły człowiek — ale pił. Od tego nałogu nic go wstrzymać nie mogło. Zarzekał się

kilka razy i nie wytrzymał. Wszelako zasygnować i do dzwonu pójść, kościółek zamieść, posprzątać kulawemu Mamertowi pomagał.

Gdy się to wszystko do kupki zebrało, oprócz organisty, który był człek pokaźny, kulawy Mamert, trzęsąca się Wicicha, z przekrzywioną głową Hruszka, a w dodatku tak zwany głupi Bartoch, który nie mając tu żadnej oznaczonej funkcji, wisiał przy plebanii, ksiądz Paczura nazywał ich swoją komendą inwalidów.

Głupi Bartoch służył do wszystkiego w plebanii, dlatego że nigdzie indziej nikt by go był nie zniósł. Spojrzawszy nań, widać było zaraz w nim zawałidrogę. Na bardzo niskich, grubych nogach, krótki w sobie, ramion szerokich, z głową ogromną, jakby hydrocefal⁹, najeżonym włosom, małymi oczkami, oddętymi wargami, z wejrzeniem osłupiałym, jękającą się mową, Bartoch mało co rozumiał, mówił źle i trudno, tyle tylko, że do rąbania drew, noszenia wody i na posyłki się przydawał. Do wielkiego też dzwonu można go było postawić czy na sumę, czy w czasie pogrzebu, nie ustał nigdy. Owszem, coś się z nim takiego naówczas działo, że gdy chwycił za sznur w początku z wolna się poruszał, potem coraz żywiej, a gdy podzwonne trwało, wpadał w jakiś szał, walił coraz gwałtowniej i oderwać go w końcu było trudno. Ciekł mu pot z czoła, wargi wisiały, oczy wychodziły na wierzch — z jakąś rozkoszą machał, rzucał się, miotał i gdyby mu z rąk sznura nie wydarto, na śmierć by się zadzwonił. Potem zwykle zaraz pod dzwonnica jak padł w trawę, leżał długi czas, nim do siebie przyszedł i zwłókł się powoli do kuchni. Dziki był na pół człek — nie trzeba go było drażnić, bo gdy się wściekł na kogo. Boga i ludzi zapominał, acz to się rzadko trafiało. — Wszystka ta ludność z rąk księdzu proboszczowi patrzyła; nie tylko ich nakarmić, napoić, ale i odziać było trzeba, a że się to koło kościoła kręciło, musiała odzież być od ludzi, zwłaszcza w dni świąteczne.

Na probostwie teraz nie było wikariusza, obchodzić się bez niego musiał ksiądz Paczura, bo i sam, będąc wikarym jeszcze, z powodu długiej choroby⁸ swojego poprzednika — obsługiwał parafię bez pomocy niczyjej. Różnie bywało. Ale koniec z końcem się schodził przy Bożym miłosierdziu.

Mieszkania było dosyć, a jak teraz nawet — nadto. Na probostwie, wszedłszy w sień, która była dostatnia (stąd drzwi szły do lochu) — w lewo była jedna izba sklepiona tak duża, że w czasie stypy do chleba żałobnego osób w niej trzydzieści siąść mogło wygodnie i jeszcze się było gdzie obrócić.

Jak za dawniejszych proboszczów, tak i teraz ozdób tu żadnych nie było. Stołów trzy z sobą zestawionych, ław kilka i stołków, u drzwi zamczysta szafeczka niska, na ścianach Chrystus ukazujący bok rozdarty, Matka Boska bolesna naprzeciw, piec kafłowy zielony z ławą — i wszystko. Okna małe, w murze grubym, dwa nawet z błonami ołowianymi, niewiele światła wpuszczały. Stąd do średniego pokoiku, gdzie był ołtarzyk domowy w kąci, wchodziło się ciasnymi drzwiczkami, a przeszedłszy przezeń, tuż i sypialnia księdza Paczury.

Łóżeczko maleńkie, twarde, dwa kufry, stół, na nim brewiarze, agendy¹⁰ i książek kilka — nad łóżkiem palma i gromnica, obrazki świętych... nic i tu więcej. Ksiądz Paczura mało żyjąc w domu, nie przywiązuje się zbyt do niczego, oddając, co miał, z wielką radością, nigdy żadnego zapasu mieć nie mógł, ani się oń starał.

Za sypialnią dawni proboszczowie mieszkali skład, murowaną izbę z oknami kratą obwarowanymi,

ale ksiądz Paczura nawet go nie zamykał, bo tu tak jak nic nie było, chyba się łom jaki zawieruszył. Klucze u niego w ogóle nie na wiele służyły.

Naprzeciwko mieszkania proboszcza było dawne wikariuszowskie, teraz nie zajęte. Byłby je pewnie sobie przyswoił Matłachiewicz, bo mu tu wygodniej by było i przyzwoiciej, ale nie chciał być tak bardzo na oku. Wolał więc od tyłu, gdzie osobny wchód miała izdebka, bo jeśli nie w kościele, najczęściej był na mieście, u znajomych, albo i w szynku. Wikariuszowskie mieszkanie, dwie izby, stało niemal puste, na różne służąc użytki. Bywało, że tam i gościa, gdy się trafił — ulokowano.

Na folwarku mieściła się klucznica stara, miał izbę Mamert, a kąt jakiś Bartoch. Ten jednak niekiedy się przespał w szpitalu, czasem na dworze — bywało że u Żyda w szabas, bo go i tam do światła najmowano. Ani pościeli, ani schronienia stałego nie miał.

Taki był skład dworu księdza Paczury, gdy mu na chłopskim wózku spłakana klucznica przywiozła dwóch chłopaków prawie równego wzrostu, żółtych, chudych, z najeżonymi głowami. Byli to synowcowie jego: Wacek i Wicek. Biedne dzieci, głodne, wystraszone, spłakane, zziębłe, stanęły u progu, w odartych kaftanach, i drżały...

Spodziewał się ich już ksiądz proboszcz, ale w pierwszej chwili, ujrawszy tak strasznie zbiedzonych, wylekłych, zmizerowanych, łzy mu się w oczach zakręciły. Kazano im w rękę całować i do nóg stryjowi padać, nie dopuścił do tego i obu wyściskał, a słowa jakoś zrazu wyrzec nie mógł. Dopiero nierychło tchnął i uśmiechając się zawołał:

— Niech będzie Bogu chwała! Nauczy się to ministrantury i do mszy będzie służyć aż miło!

Pierwsza mu myśl przyszła o tej służbie bożej.

Na folwarku, jak tylko dojrzano, że się wóz zatrzymał przed bramą i chłopców poprowadzono na probostwo — zbiegło się przez ciekawość, co żyło. Najprzód nadeszła, może najwięcej interesowana, Magdalena klucznica, dla której nowy ciężar przybywający dostarczał do gderania i narzekań obfitego materiału. Z załamanyimi rękami już przez sień kroczyła. Dążył za nią kulawy Mamert, nie mniej kwaśny od niej i zgryźliwy; ze szpitala ciągnął powoli Hruszka, nie śmiejąc wchodzić, ale czyhając, by się czegoś dowiedzieć. Widząc, że wszyscy gdzieś idą, wpadł nie pytając po co i czego głupi Bartoch i drzwi nawet za sobą nie zamknął, choć to była jesień i powietrze już ciągnęło dosyć chłodne.

Otoczyli wszyscy dzieci, przypatrując się im z daleka. Ksiądz Paczura po pierwszym wzruszeniu już przychodził do siebie — i twarz ze smutnej wracała do zwykłego spokoju.

— Magdaleno — odezwał się — Pan Bóg dał nam gości, na asindżkę to pono spada o nich myśleć, bo jejmość, co ich przywiozła, dozoru nad nimi podjąć się nie może.

Podżyła niewiasta, chustką ogromną obwinięta, która tylko czekała, aby jej usta rozwiązano, poczęła wnet szybko:

— Ojczy, dobrodziej! A gdzie mnie biednej, własne dzieci mającej, z pracy rąk utrzymującej się, nieszczęśliwej, nastarczyć dla nich. Biedna sierota... nie jestem w stanie. Póki nieboszczyk żył, ciągnęło się, choć z biedą wielką. Bywało różnie... Dziś — co ja pocznę, co ja pocznę? Bóg widzi!

Łamała ręce, słuchał ksiądz Paczura.

— A któż by od jejmości takiej ofiary wymagał, gdy i własne masz dziatki, na które pracować musisz? To się rozumie, iż synowcowie na mnie spadają, a Bogiem się świadczę, że z wdzięcznością ten dar z Jego rąk przyjmuję. A! Damy sobie rady z nimi! Nieprawda, mościa Magdaleno?

Klucznica, chociaż ją litość brała nad dzieciakami, nie porwała się bardzo ochoczo do zaopiekowania nimi. Głową potrzasała długo.

— A juści! A juści! — rzekła. — Co się musi, to się zrobi... A juści. Nie na gody tu oni do nas przybyli.

— Bo też one do godów nie zwykły — dodała przybyła opiekunka — moja jejmościuniu, za życia nieboszczyka o suchym chlebie nieraz się żyło, a rad był człek, gdy ciepłej polewki bez omasty dostał.

Ksiądz Paczura milczący słuchał. Dzieci się tymczasem strwożonymi oczyma po ogromnej izbie rozglądały.

Bracia sieroty podobni byli do siebie, rok różnicy w ich wieku mało był widocznym; twarzyczki mieli wychudłe i zwiędłe za wcześnie, ręce, które im z krótkich wyglądały rękawów, kości więcej miały niż mięsa. Odzież na obu łatana była, wyszarzana i biedna, obuwie podarte, spodnie, z których powyrastali, sięgały im wyżej kostek. Ostrzyżone, widać na podróż, głowy ręką opiekunki jeżyły się zębato powyrywanych włosami.

Litość obudzało biedactwo — i wszyscy ją uczeni, gdy się im przypatrzyli. Ksiądz się zbliżył, aby z nich dobyć głosu. Spytał, czy umieją pacierze, czy choć cokolwiek z katechizmu wiedzą? Żaden z nich nie ośmielił się odpowiedzieć, ale klucznica zapewniła, że pacierza ich uczyła i miejscowy organista przez miłosierdzie czytać ich nieźle pouczył.

Ucieszyło to bardzo księdza Paczurę, który się odezwał wesoło:

— Ho, ho! Droga tedy otwarta! Dalej już wszystko pójdzie jak z płatka — byle dobra wola.

Chciał objaw tej dobrej woli usłyszeć z ich ust, ale chłopcy się przelekli, głowy pospuszczali i łzy im się tylko potoczyły z oczu. Zobaczywszy to proboszcz nie wymagał więcej.

— — Ale oni głodni być muszą! — zawołał. — Jejmość, moja pani Magdaleno, a nakarmże tę zgłodniałą rzeszę. I panią, co ich przywiozła, też.

Widać było pewne zakłopotanie na twarzy klucznicy, lecz nic nie odpowiadając, szepnęła coś przybyłej do ucha i chciała namówić, by z nią wyszła. Chłopcy, zobaczywszy to, ruszyły przerażone za swą pierwszą opiekunką.

Ksiądz Paczura może by był rad ich wstrzymać, lecz pomyślał, że winni byli ostatnią tę chwilę spędzić z poczciwą kobietą, która im miejsce matki zastępowała, zgodził się więc na to, ażeby szli z nią razem na folwark. Tuż za nimi ruszyli wszyscy ciekawi, a ksiądz Paczura sam jeden w wielkiej izbie pozostał.

Zaprawdę miał o czym się zamyślić i nie dziw, że długo nie poruszony w miejscu, z oczyma wlepionymi w podłogę, jak wryty stał, wzdychając, modląc się może.

Lecz po tej chwili trwogi i zwątpienia jak gdyby mu nagle otucha jakaś do serca wpłynęła — podniósł oczy ku obrazowi Chrystusa i Matki Bolesnej — twarz mu się wyjaśniła znowu. Począł chodzić wielkimi krokami.

W progu ukazał się Matłachiewicz.

— Niech będzie pochwalony — odezwał się.

— Na wieki wieków — rzekł stając proboszcz — a co tam?

— A nic! — śmiało począł organista. — Jegomość, słyszę, ma gości — szyderskim dodał tonem.

— Bogu za to dzięki... Sieroty mi zesłał.

— Albo to my wszyscy tu nie sieroty? — mruknął organista. — Niech tylko jegomość dobrodziej pomyśli, jak tu u nas i na te gęby trudno, co dopiero jak ich tu dwie przybędzie?

— Mój Matłachiewicz — przerwał ksiądz Paczura — nie psujże ty mi dobrej woli, nie nadwerężaj nadziei, jaką w Bogu mam, proszę cię...

Łagodnie to były powiedziane słowa, ale z powagą, która organiście usta zamknęła.

— Zapewne — dodał — a co mnie do tego? Co mnie do tego! Jaż ich karmić nie będę! Z życzliwości dla księdza proboszcza się rzekło, bo na sieroty są różne przytulki.

— To synowcowie moi — odparł proboszcz.

Matłachiewicz spytał o nabożeństwo jutrzejsze i nagle, jakby urażony, wyszedł. Księdzu Paczurze zachmurzyło się czoło. Zaledwie drzwi się za nim zamknęły, gdy Magdalena żwawo wbiegła. Zobaczywszy ją, stanął z rezygnacją proboszcz, pewny, że nowe go spotkają wymówki.

Kobiece serce jednak litościwsze było. Spojrzawszy w oczy księdzu, nie chciała nań gderać stara klucznica — westchnęła tylko. Ręką podparła brodę i stojąc patrzyła mu w oczy.

— Nakarmić to, odziać, fraszka — rzekła jakby sama do siebie — ale kto to będzie tego pilnował? Niech no jegomość pomyśli! Dziś to nic, ale jak się to cokolwiek odgryzie, obezna, oswoi — to tu tego wszędzie pełno będzie i w ogrodzie, i na cmentarzu, i po izbach!

Milczał obwiniony...

— Jakoś to będzie — wybąknął wreszcie — obmyśli się, zobaczycie. To ten, to ów zajrzy... No — a może się gdzie odda do szkółki... Nie frasujcie no się. A jedli?

— Matko miłosierdzia! — przerwała klucznica. Żeby jegomość widział jak jedli, jak chlipali, co chleba spożyli — strach... Gdzieś ich głodem morzyli. Zrobiłam jajecnicę z ostatnich jaj, no to tę i podróżna też jadła. Dzieciom naprędce zgotowało się polewki z okrasą, no i chleb. Jak się wzięli, ażem stojąc patrzyła i dziwiła się.

— Chwalić Boga, chwalić Boga! — rzekł śmiejąc się proboszcz. — Aby u mnie choć głodu nie zaznali. A gdzież my ich pomieścimy?

Zamyśliła się stara Durska.

— Na wikarce by można, ale tak samych jednych — strach. A kogo im tu dać? Bartoch głupi...

— Niech się Hruszka w progu położy.

— Pijaniusieńki...

— Skaranie Boże...

— Ale już tam temu zaradzę — poczęła Magdalena — siana się im zaścielę i kilimek, bo pościeli oni żadnej nie mają.

Radzili tak długo, poczęła i podgderywać klucznica, i postękiwać, proboszcz zawsze w takich razach jeden miał ratunek — brał za brewiarz. Naówczas zamykały się usta i Durska odchodziła, choć mrużąc. Mogła wojować z księdzem Paczurą, ale nie z jego brewiarzem. I tego dnia, nie mając innego na nią sposobu, sięgnął proboszcz po starego przyjaciela, który przed przybyciem sierot na stole był rozłożony. Wyszła klucznica.

Tym sposobem Wicek i Wacek dostali się do stryja na probostwo. Następnego dnia był dla nich jeszcze dniem łez, tęsknoty i trwogi. Odjechała jedyna opiekunka, do której byli nawykli, znajdowali się w miejscu zupełnie obcym: postacie, co ich tu otaczały, nabawiały trwogą, począwszy od samego stryja. Największy pociąg jeszcze i ufność czuli do pani Durskiej, z którą się wczoraj przy jajecnicy i polewce zapoznali — ale instynktowo przestrasz obudzał imponujący Małachiewicz, który na pół głośno smarkaczami ich nazywał, nie mniejszą obawą napełniał widok kulawego, mrużącego Mamerta, pijanego Hruszki i głupiego Bartocha; tego śmiech nawet i wyszczerzone zęby straszne były.

Proboszcz dnia tego dał im swobodę. Dzień jesienny był dosyć ciepły. Tuż stojący kościół, dzwonnica, stary cmentarz, kostnica, ogród, w którym była stara grusza z wiszącymi jeszcze gdzieś ulęgałkami, kaczany od kapusty na ogrodzie wkrótce rozproszyły tęsknotę, a obudziły ciekawość. Z ostrożnością puścili się w tę podróż odkryć po nowym dla siebie świecie, cicho i ostrożnie szepcząc na ucho różne uwagi, jakie się im nastęrczały. Zrazu kościół i cmentarz obudzał pewną obawę. Nie śmieli przestąpić furty dzielącej od niego dziedziniec. Zakrystian, kulawy Mamert, wiecznie zajęty, dobre, gderliwe człeczysko, pochwycił ich tu stojących.

— A poszlibyście ze mną do kościoła, tobyście się pomodlili i Panu Bogu podziękowali, że wam dał w sieroctwie taką opiekę.

Chłopcy uciekliby byli, ale Mamert popędził ich przez furtę przed sobą i zaprowadził niemal gwałtem do kościoła.

Gdy się otwarły jego drzwi i w dali, w głębi, ukazał się ołtarz złocisty, wysokie sklepienia, pod którymi unosił się Chrystus w górze, chorągwie lśniące od galonów, rzeźbione figury aniołów, cała ta wspaniałość małego domu Bożego — chłopcy co dotąd nie widzieli nic, tylko mały, drewniany, ubogi kościółek swej parafii — stanęli zdumieni i zaciekawieni. Pusto tu było i cicho. Cisza dodawała majestatu i uroczystości małej świątyni, która się przez to, że była pustą i milczącą, większą wydawała i wspanialszą. Weszli powoli chłopcy za Mamertem, który, śledząc ich wrażenia, oglądał się na nich. Weszli i pod kruchtą uklękli oba. Złożyli ręce, zaczęli szeptać jedyny pacierz, jaki umieli — od którego się ich wychowanie poczęło:

Ojcze nasz...

W rok potem Wacka i Wicka poznać nie było już można. Pokorne sieroty niemal panowały na probostwie. Blade twarze chłopaków rumieniły się zdrowiem, wypełniły policzki, zajaśniały oczy, wygładziły nastrzępione włosy. Ani Matłachiewicz, ani głupi Bartoch nie przerażał ich wcale, zawojowali Magdalene, w łaskach byli u kulawego Mamerta, a Wicicha i Hruszka nazywali ich paniczami. O księdzu Paczurze nie ma już co i mówić — powtarzał ciągle patrząc na nich:

— Prawdziwe to błogosławieństwo Boże... *Sit nomen Domini benedictum!*¹¹

Potrzeba ich było widzieć, jak gospodarowali raźnie w zakrystii, gdy ksiądz Paczura miał ze mszą wychodzić, jak ubrani w białe jednakowe komeżki z niebieskimi wstążkami, Wacek ze mszałem, Wicek z ampułkami, wiedli stryja do ołtarza, jak Wacek sygnował wychodząc, jak oba potem schyleni ku księdzu, raźnie, głośno, równo odmawiali: *Confiteor*¹²...

W dni uroczyste chlubił się nimi ksiądz Paczura, ich pojętnością, rozgarnięciem, żywością, nawet swawolą. Potrzeba było na nabożeństwo majowe, z którym razem przypadał odpust w Borusławicach, ustroić ołtarze, przygotować lampy, porozścielać kobierce — kulawy Mamert miał w nich pomocników ochoczych tak, że teraz głupiego Bartocha pomocy nie potrzebował wcale. Bartoch z nałogu przybywał, ale nie mając co robić, albo się kładł na wznak pod dzwonnica, lub siadał na progu kościelnym i coś tam do siebie mrucał. Miał obyczaj taki, on co z ludźmi rozmówić się nie umiał, że sam z sobą prowadził gawędy, wśród których często napadał go śmiech dziwny, śmiech niepohamowany, że oburącz sobie usta zatykać musiał. Spojrzali kto naówczas na niego, uchowaj Boże, wnet namarszczył się, zagniewał, zrywał i uciekał.

Chłopcy oba lubili się z dala przypatrywać głupiemu Bartochowi, a niekiedy go nawet drażnili. Lecz raz cisnął kamieniem na Wacka, po czym go dwa dni nie było — i od tej pory strzegli się go

zaczepiać.

Nie było już tu kąta teraz, nie tylko w plebanii, na cmentarzu, w kościele, ale w okolicy, którego by chłopcy nie spenetrowali. Hamować ich trzeba było i karcić, tak to się do wszystkiego rwało. Proboszcz, nie mając kogo innego, za osobną opłatą organistę tymczasowo dał im za nauczyciela pisania i rachunku. Z tym mieli prawdziwą męczarnię. Nie cierpiał ich Matłachiewicz, nienawidzili go chłopcy. Wzajemny wstręt, jaki ku sobie czuli na pierwsze wejrzenie, był jakby przecuciem tych przyszyłych stosunków. Niecierpliwy, przekorny, rad, że im dokuczyć może, organista nie tylko ich po rękach klapał, klęczeć kazał, za uszy targał, ale przed stryjem obmawiał i skarżył, że z nich nigdy nic nie będzie, że na wisusów powyrastają, że słuchać nie chcą, o naukę nie dbają, a o jednej tylko myślą swawoli.

Widać jednak, że proboszcz, znając człowieka, niewielką do tego przywiązywał wagę, bo mu to serca do chłopców nie psuło. Nie zmienił nauczyciela, może dlatego, że w surowości widział pewny środek wykształcenia charakteru. Samą dobrocią wyżyć młodość bez szwanku nie może, tak jak srogością samą się psuje i zsycha. Jedno i drugie do poruszenia serca, nauki cierpliwości i pokory potrzebne. Walką jest życie, a człowiek do niego jak żołnierz musi się sposobić, wszystkiego zażywając, aby na wszystko był przygotowany.

Z księdzem proboszczem chłopaki były tak swobodne, tak szczere, iż się nimi nacieszyć nie mógł i powtarzał swoje: — Prawdziwe błogosławieństwo Boże!

Dobrze mu z nimi było. Wyjeżdżał do chorego czy na chrzciny, gdy dziecka do kościoła przynieść nie mogli — brał zwykle jednego z nich kolejno z sobą, a chłopaki pilnowały się dobrze na kogo szła kolej; tym sposobem się młodzież przetrzęsła, nakarmiono obficie gościa w obcym domu, trochę się chłopcy przecierały i z ludźmi oswajały. Dzikie też już wcale nie były. Gdy proboszcz wracał sam, chłopcy, ledwie się ukazał za bramą, stały gotowe mu pomóc wysiadać, węzełki z bryczki zabrać i po rękach całowały. Nie było bowiem wycieczki, żeby ksiądz Paczura czegoś z sobą nie przywiózł do domu. Znano jego ubóstwo i dobroczynność, że łatwo o sobie zapominał. Każdy mu się coś chciał przysłużyć i choć on o tym nie wiedział, wetknięto mu coś do bryczyny. Często się nierychło postrzegł, iż w nogach coś zawadza, schylał się: — Co to to jest? — I pokazało się, że mu albo faszeczkę masła, albo kobiałkę jaj i sera, albo koszyk owoców wetknięto.

Ksiądz Paczura się uśmiechał: — A bodaj ich! Pocziwe ludziska, zawsze o mnie pamiętają!

Dostatku w domu mimo to nie było, ale i głodem nie marli. Hołłowicz, który trzymał dzierżawę Plebankę, folwark bardzo urodzajny, obarczony był dziećmi i z dobroci korzystał. Przy tym nie najlepiej gospodarzył. Przyszło płacić, to się wypraszał, kwitki składał, o ustępstwa prosił, po rękach całował, a nic nie pomogło to, przyjeżdżała żona z dziećmi, jak zaczęli modlić, musiał ksiądz Paczura ustąpić.

Wszyscy mu mówili dawno, że powinien był dzierżawcę zmienić albo ekonoma pocziwego wziąć, ale o tym proboszcz słuchać nie chciał.

— Bójcie się Boga! — mówił. — Tyle czasu siedzą na tej dzierżawie, gdzież to się podzieje? Trzeba Boga w sercu nie mieć, aby ich rugować. — I Hołłowicz siedział. Żył, dzieci chował, a

ksiądz będę cierpiał, tyle tylko, że mu się wysługiwali i całowali po rękach.

Nigdy szczupłe fundusze tak dotkliwie się czuć nie dały księdzu Paczurze, jak gdy chłopców mu Pan Bóg dał, bo, bądź co bądź, jakieś wychowanie dać im było potrzeba, posłać gdzieś do szkół — a to musiało kosztować. Matłachiewicz ze swą nauką nie na długo mógł starczyć. Nie było w myśli stryja robić z nich uczonych wysoko ludzi, chciał mieć poczciwych i do pracy zdolnych — na to zawsze jednak więcej trzeba było, niż mógł dać organista, który czytać i pisać, i trochę rachunków ledwie umiał, a muzyki i organu z praktyki się tylko nauczył przy krewnym. Chłubił się z tego, że nigdzie nie bywając w szkołach sam sobie wszystko był winien, a jak to się często tego rodzaju ludziom zdarza, więcej o sobie rozumiał, niż był wart.

Znał go ksiądz dobrze i troskał się zawczasu, dokąd odda chłopaków. Wkrótce o tym czas już myśleć było. Odkładał po trosze, bo mu też i pomyśleć stawało się przykro dzieci w świat puścić — zostać samemu.

Gdy chłopcy przybyli, kłopot był zrazu; wkrótce tak się do nich przywiązał, że nie wiedział, jak bez nich wyżyje. Wnieśli z sobą życie do domu, do zakrystii; do kościoła, a wesołe ich śmiechy, jak świergot wróbli w krzewach, potrzebne były uchu i sercu.

Wacek i Wicek roztropni byli oba, podobni do siebie charakterami, a że ciągle z sobą żyli, nabrali jednych obyczajów, ruchów, głosu, tak że gdyby Wacek o pół cala nie był wyższy — trudno ich by było rozpoznać. Młodszy jednak pojęcie miał nieco bystrzejsze i żywszy był, Wacek myślał powolniej, a postępował ostrożniej.

Nie tylko proboszcz, ale i parafianie przyzwyczaili się widzieć tych chłopaków i zajmowali się nimi, a odwiedzając księdza Paczurę podpieszczali ich i psuli po trosze. W istocie, przy sumie, na procesjach, w czasie nabożeństwa, para tych urodziwych chłopcząt w białych komeżkach przyozdabiała uroczystość każdą. Niewinne te twarzyczki, rozmodlone i jasne, mimowolnie aniołków na starych przypominały obrazach.

Na biedę rośli żywo i coraz się to swawolniejsze robiło, a do utrzymania trudniejsze; z Matłachiewiczem coraz szło gorzej i nie było dnia, żeby skargi nie dochodziły proboszcza. Rzeczywiście zaś niewiele oni byli winni, choć czasem figle płatali; tylko organista całą swą mądrość wyczerpawszy wprędce, dalej nie wiedział, co robić z nimi. Chwalił się on łaciną, ale jej tyle umiał, co z kancjonału¹³ i responsoriów¹⁴, nie rozumiejąc, chwycił. Nie chcąc się wydać z nieuctwem, wreszcie w końcu roku, rozgniewawszy się na Wacka, którego Wicek obraniał, trzasnął drzwiami i poszedł oświadczyć proboszczowi, że więcej ich już uczyć nie będzie.

Ksiądz Paczura nic na to nie rzekł, wiedział i sam, że kiedyś na tym skończyć się musi, postękał, pochodził i kazał winowajców przywołać. Stanęli oba u drzwi, bynajmniej nie złęknieni.

— Cóżecie tam znowu spłatali, hę? Matłachiewicz już was uczyć się zarzeka? — rzekł dobrotliwie, ale smutno, ksiądz Paczura.

Wicek się posunął naprzód.

— Niceśmy nie zrobili, Wacek nie winien. Pan Matłachiewicz szuka tylko pretensji, aby bić i łąjać.

— Mów Wacek! O co poszło? — spytał proboszcz.

— O rachunki — odparł starszy. — Pan Matłachiewicz mówił, że jest omyłka, jam trzymał, że jej nie ma. Dopieroż od wiskusów zaczął wymyślać, a omyłki nie było.

— Nie było — dodał młodszy i na stole położył sekstern¹⁵. Pleban nań popatrzał.

— Należało zmilczeć — rzekł — a nie odpowiadać zuchwale, zawsześ winien.

Chciał Wicek coś mówić, ksiądz pogroził z lekka.

— Idźcie, żeby mi tego więcej nie było. Matłachiewicz was uczyć nie chce. Do szkół iść będziecie musieli, nie ma rady.

Skłonili się chłopcy i wybiegli. Nie bardzo ich to zmartwiło. — Do szkół, do szkół! — Brał wprawdzie strach, ale się razem uśmiechało. Jechać w świat, tylu znaleźć towarzyszków i spod linii Matłachiewicza dostać się do prawdziwej szkoły!

Wylecieli jak burza z izby, jak huragan przebiegli sień pustą, w której się ich kroki rozległy i wypadli na dziedziniec, a potem biegiem do furty i na cmentarz.

Cmentarz stary był najulubieńszym miejscem ich narad i przechadzek. W dziedzińcu zawsze coś przeszkadzało, chodzili ludzie, ktoś zawołał, posłano po coś... Czarna krowa, o której chodziły wieści, że bodła, nie dozwalała się przechadzać bezpiecznie. Na cmentarzu, oprócz wróbli na lipach, nie było nikogo. Niekiedy głupi Bartoch legiwał pod dzwonnica, lecz ten im nie przeszkadzał. U muru był rodzaj starego grobowca opadłego czy ołtarza, przy nim leżał ogromny kamień szary, na którym zwykle bracia siadali i tu gwarzyli godzinami. W prawo i lewo porosły dziko chwasty, krzewy, bez, głogi, róże zdiczałe. Zakrywały one tak ten kątek, iż chłopcy się tu od oczu ciekawych” schować mogli. Powyrywali trawy i pokrzywy, i tu sobie zrobili schronienie, które im było najmiłsze. Nawet w deszcz bezpiecznie siedzieć mogli, gdyż rodzaj daszku do muru przypięty zabezpieczał od niego.

Wprost tedy tam nieśli się z tą groźbą, która dla nich była zarazem jakby oknem otwierającym się na świat szerszy.

— Do szkół! Do szkół! — powtarzali biegnąc.

— Pojedziemy do szkół! — bijąc w ręce wołał Wicek.

— I zbędziemy się tego niepoczciwego Matłachiewicza!

— To dopiero! — wołał Wicek. — To dopiero zobaczymy świata, bo jużci nie nigdzie, tylko do Lublina!

Ściskali się z radości.

— No, a mnie będzie żal Borusławic — przebaknął, oglądając się, Wacek.

— Co ma być żal! Wrócimy przecie na wakacje, na święta...

Gwarzyli tak, to się śmiejąc, to smucąc, ale zmianą doli szczęśliwi, bo każda odmiana młodym głowy zawraca, gdy posłyszeli w dziedzińcu ruch jakiś. Domyślając się, że proboszcz ich potrzebować może, pędem puścili się w dziedziniec.

Ksiądz Paczura wyjeżdżał, bryczka była zaprzężona. Sądziło się, że którego z nich weźmie z sobą, kolej wypadła na Wacka, ale ksiądz z dala ręką tylko machnął, co znaczyło, że nikogo nie bierze, powrócili więc smutni na swe miejsca, puszczając cugle marzeniom.

I śmiechu, i sporu, i wrzawy było dosyć pod tym daszkiem i za tymi gałęziami, które spokojny jakiś osłaniały grobowiec.

Proboszcz tym razem ani do chorego, ani do znajomego w odwiedzinie nie jechał: potrzebował się widzieć i rozmówić z Hołłowiczem, którego dwaj chłopcy byli już w szkołach; potrzebował z nim poradzić się o swoich.

Do Plebanki położonej pod lasem było małe pół mili — przebył je ksiądz Paczura zadumany i smutny. Myśl, że się z chłopcami rozstać przyjdzie, przykrą mu była. Ani się też spostrzegł, jak wśród tej zadumy zbliżył się do małego dworku.

Wyglądało to bardzo biednie, bo Hołłowicz, choć od dawna tu siedział, pamiętał, że był na dzierżawie, podpierał, łątał — żył z dnia na dzień tylko. Dworek był stary i niepokaźny, z ganeczkiem o dwóch słupkach przepasanych w połowie i wyrzynanych ze staroświecka. Dach na nim słomą kryty w części był mchem porośły, gdzieniegdzie poodnawiany, aby nie zaciekało. Sam ganek tylko gonty czarne okrywały. Na małym stołku, co otaczał domostwo, w rogach na kołkach suszono hładyszki¹⁶ i wietrzono garnki, dalej rozwieszono były chustki. Z korytka pożywiał się zielem osypanym z wielkim apetytem wieprzaczek, wkoło niego kręciły się kury i gęsi z wyciągniętymi ciekawie szyjami. U studni gospodyni z zakasnymi rękami i podwiniętym fartuchem coś miała z balijkami do czynienia. Dwoje cieląt pasących się na kawałku trawy, usłyszawszy turkot proboszczowskiej bryczki, pierzchły wierzgając z fantazją wielką, pozadzierawszy ogony do góry.

Obejrzała się gospodyni, poznawszy dobrodzieja biegnąca mu już otwierać wrota, a Hołłowicz wdziawał opończę i stał w ganku, gotów sam biec na spotkanie.

Wielki to bowiem gość był zawsze ksiądz Paczura, gdy Hołłowiczów nawiedzał.

Jejmość, otyła niewiasta, która po domowemu i bez czepka na głowie, i bez chustki siedziała, poszła się co prędzej ogarnąć. Dwoje dziewczątek z sieni uciekało też, bo nie były do gościa odziane. W domku zawieruszyło się. Proboszcz! Proboszcz! — wołano na wszystkie strony.

Hołłowicz szczęściem zdołał nałożyć rękaw drugi nim — ksiądz nadszedł, zbliżył się do bryczki, podał rękę księdzu i w ramię go czule ucałował.

— A cóż to za szczęście, że jegomość dobrodziej o swych sługach pamiętał? — zawołał jakby zdyszany ze wzruszenia.

— Jak się macie! Jak się macie! — mruzczał ksiądz Paczura. I wchodzili już do pierwszej izby na lewo, która, choć najparadniejsza, w tym momencie wcale na przyjęcie nawet tak poufałego jak proboszcz gościa przygotowaną nie była.

Jejmość, gdy bryczkę zobaczyła, zajęta była liczeniem motków i część ich i talek¹⁷ zajmowała kawał pokoju. Na głównym stole leżało motowidło, kilka związanych kłębków na krześle. Oprócz tego, na stole gąsior był na pół próżny z jakąś cieczą mętną. Zobaczywszy to. Hołłowicz niezmiernie się zmieszał i na nieporządek babski narzekać, zaczął. Uprzątnął żywo krzesło dla proboszcza. Wnet i jejmość w czepku naprędce narzuconym i chustce, którą się okryła, nadeszła z przeprosinami.

— Niech jegomość dobrodziej daruje, słowo daję — gospodarstwo kłopotarstwo, a czego człowiek sam nie zrobi, nie będzie z tego pociecy.

— Ale nie ma nic, nie trudźcie się! — mówił ksiądz Paczura. — Niech to sobie będzie. Ja na chwilę do państwa, i z interesikiem.

Zmieszał się Hołłowicz, przeczuwał, że ksiądz Paczura o zaległość się mógł upomnieć, i wąsa pokręcił, jakby go sobie chciał urwać.

Hołłowiczowa spojrzała z ukosa bladymi oczyma i nos utarła zaniedbany nieco wśród gospodarskiej troski.

Czekali milczący, westchnął proboszcz. Ręce złożył i zadumany siedział, smutno mu było o tym i mówić.

— Masz waćpan dwóch synów w szkołach? — odezwał się do Hołłowicza zwracając. — Powiedźże mi, rad bym wiedział, co cię to kosztuje, gdzieś ich umieścić?

Hołłowicz zwykł był zawsze, zwłaszcza przed proboszczem, skarżyć się i narzekać: podniósł wnet ręce do góry. Sama jejmość wsparła się na stole i czekała, co powie, aby mu wtórować gorliwie.

— Co oni mnie kosztują? — odparł dzierżawca. — Co kosztują? Nie, niech już jegomość dobrodziej nie pyta! Zjadają mnie niszczą mnie, rujnują, jak Bóg miły! Od gęby sobie człowiek dla, nich musi oddzierać. Kosztują! A! — westchnął.

— Ale przecież? — pytał ksiądz, któremu się twarz zachmurzyła.

Nie mogli Hołłowiczowie domyślić się jeszcze, w jakim celu zadane było to pytanie: dzierżawca musiał być ostrożnym.

— Co kosztują? — powtórzył.

Wtem przerwała mu żona prędko i podkaszując za każdym słowem:

— A! Czy to tam się z tą szarańczą — wyrachować można? Kto to wyliczy! Niby powiedziano, że tyle mają kosztować, a byłże jeden rok, żeby na nas nie zdarli?

Ksiądz Paczura zmiarkował widać, że otwarciej się tłumacząc, prędzej do celu dojdzie.

— Widzicie bo, kochany mój Hołłowicz, ja moich dwóch malców muszę już do szkół oddać. Chciałem się was poradzić — gdzie? Jak? Rachowałem, że mi będziecie pomocą.

Spojrzeli po sobie gospodarstwo i zaraz w istocie zmieniło się usposobienie. Hołłowicz przyszedł podziękować za zaufanie.

— Niech jegomość się na mnie spuści, ja to ułatwię, z duszy, serca, jak najlepiej.

— Jejmość — przerwał nagle — a kawa dla księdza proboszcza?

Choć niechętnie, poszła pani Hołłowiczowa, a dzierżawca się zbliżył do księdza.

— Oddać ich do Lublina, na stancję do dyrektora — rzekł — ordynarię¹⁸ się da, to od umowy, w dodatku za naukę coś, gotowym groszem. Już to prawda — dodał wzdychając — z tą ordynarią! Dawniej inaczej bywało. Dziś czego oni nie wymyślają. Bywało — wyka, krupy, trochę okrasa, słonina, i starczyło, teraz i masła chcą, i w krupach wybredni, i sadło by się im zdało, i suszenina na post, i grzyby, i nie wiem tam już co, choć dzieci tego nie widzą! Ode mnie nawet ogórki kwaszone wzięli! Ale czego człek nie zrobi dla dzieci!

Słuchał proboszcz myśląc, skąd to wszystko było wziąć, a i pieniądze w dodatku za naukę.

— A to ich dwóch jeszcze! — westchnął zakłopotany. Hołłowiczowi żal się go zrobiło.

— Że dwóch to nie ma nic — rzekł — za dwóch zawsze mniej się da razem, jedno przy drugim, mniej niż od jednego wymagają.

Poszli tedy do szczegółów, ile mąki, krup ile, jaka okrasa. Nadeszła Hołłowiczowa z kawą i wtrąciła się do rozmowy, upewniając dobrodzieja, że mąż jej to wszystko ułatwi jak najlepiej. Oboje mieli tę myśl, że proboszczowskich synowców umieszczając na tej samej stancji co własnych synów, coś się im też okroić by musiało. Jedno przy drugim. Nie miał tego na sumieniu dzierżawca, bo za to swój trud i pośrednictwo ofiarował.

Tak pierwsze preliminaria¹⁹ do umieszczenia chłopaków omówione zostały. Rozumiało się samo przez się, iż ordynarię z dzierzawy po dobrych cenach odliczona być miała, choć oboje Hołłowiczowie zapewniali, że jak najtaniej ją porachują.

— Już niech jegomość dobrodziej będzie pewien — mówiła jejmość — że my łask jego dla nas pamiętni, nie nadliczym. Mielibyśmy na sumieniu. A! Niechże Pan Bóg uchowa.

— Jak najsumienniej! — mruczał Hołłowicz, ręce obie zaciśnięte mocno podnosząc do góry, z wyrazem wielkiego przejęcia się sumiennością.

— Ani prószynki cudzej, dzięki Bogu, nie ma się na duszy! — mówiła pani.

Proboszczowi niepodobna się było oddalić z domu na dłużej, umówionym więc zostało, iż dzierżawca chłopców miał odwieźć do miasta i ze swymi umieścić. Właśnie pora po temu nadchodziła.

Chcąc się ze swoimi dwoma, już ze szkół na wakacje przybyłymi, popisać, Hołowicz mrugnął na żonę, która zawahawszy się, wyszła.

W istocie niełatwo ich było tak naprędce odszukać, matka domyślała się, iż młodszy musiał siedzieć w grochu, starszy zaś mógł z fuzyjką pójść do lasu, a tam go, jak wiatru w polu, jak igły w stogu siana — odszukać nie było łatwo. Oprócz tego, aby się przed proboszczem stawić mogli, i około czupryn, i odzieży trzeba było radzić. Młodszy na wsi, dla oszczędności, chadzał bez butów, starszy miał łataną na lato katanę.

Zakłopotana matka wyszła, lecz szczęśliwiej się stało, niż się spodziewała: starszy, wróciwszy z lasu, spał na sianie w szopce — młodszy był nie dalej niż w agrestie za dworkiem. Obu wnet umyto, uczesano, przyodziano i dobrze im polecisz, jak dobrodzieja w rękę mają całować — wprowadzono do izby.

Starszy Hieronimek był jak tyczka od chmielu cienki, wyrosły, chudy, z twarzą długą — wyglądał głupowato, ale swawolnik był i psotnik na całą — szkołę pierwszy, choć pozornie trzech niby zliczyć nie umiał. Młodszy, puciołowaty, faworyt matki, obzartuch, leniwy, niewiele miał inteligencji, ale gdy do ogórków i grochu trafić trzeba było, instykt przedziwny. Oczy miał piwne i kose.

Stawiono obu przed proboszczem, który kilka im zadał pytań, aby też mieć wyobrażenie, jak ich tam uczono. Młodszy, posłyszawszy zadane sobie pytanie, otworzył usta, spojrzął na matkę, potem na ojca, oczy spuścił i zmiłkł. Słowa z niego dobyć nie było sposobu. Matka go tłumaczyła, że był lękliwy. Starszy, gdy kolej nań przyszła, począł się krztusić, jakby miał już coś powiedzieć, odchrząknął, nogą dwa razy tupnął, poprawił kołnierz od koszuli, chrząknął jeszcze raz, powtórzył pytanie, przekręcając je, i z pomocą litującego się księdza wybrnął z biedy. Rodzice byli pewni, że się doskonale popisał. Po czym obu odprawiono na świeże powietrze. Młodszemu, ponieważ się skutkiem natarczywego egzaminu rozplakał, dała matka sera kawałek i zaraz go poszedł przypiekać, bo w ten sposób urządony najlepiej mu smakował. Starszemu pogłaskała głowę i naląła troszkę kawy. Tak się to szczęśliwie skończyło. Proboszcz nie był bardzo zbudowany, wiedział jednak, że takie dorywcze egzamina nic nie dowodzą, a ufał łasce Bożej, iż jego chłopcy, z ochotą do nauki, czasu tracić nie będą.

Oprócz tego myśleć trzeba było o oporządzeniu ich do szkoły. O tym już nic nie wspominając, ksiądz Paczura, kawę wypiwszy, spytawszy o gospodarstwo, zabrał się do powrotu.

W miasteczku Borusławicach był Chaim, krawiec z powołania, do niego się udać nieodzownym się stało. Nie lubił go proboszcz, gdyż chytry człek, złośliwy, na każdej rzeczy coś obciął i nie było najściślej obrachowanej rewerendy²⁰, z której by mu się na parę czapek lub na kamizelkę nie okroiło.

Była to rzecz dowiedziona, zaklinał się, przeczył, chwytno go na uczynku potem. Sukna

potrzebował dużo, zestępowywało się u niego nad miarę, suknie były ciasne, a kamizelka... gdzieś się pokątnie sprzedawała.

Sukno szaraczkowe dobre i mocne miał już ksiądz Paczura dawniej kupione i było go tyle, aby na wyrost można uszyć odzież i żeby na polatanie zostało. Ociągał się tylko z szyciem, bo jak mówiono wyżej, Chaima nie lubił, a innego krawca nie było. Choćby nawet dla bezpieczeństwa kazano mu szyc na folwarku, na oczach Magdaleny, proboszcz przekonany był, że upilnować go nie było sposobu. Musiał się rezygnować na to, aby być oberżniętym.

Następowało obuwie, ba w mieście buty szyc im kosztowało podwójnie. Jedne buty nowe i jedne przyszwyy były konieczne. O te się po bożemu jeszcze umówić było można z Seredowiczem. Seredowicz szewc, katolik pobożny, należący do bractwa i starszyny, śpiewał godzinki w kościółku i na probostwie mile był widziany. Temu zaufać było można, iż skórę da dobrą, podeszwę trwałą i cholewy, które by niejedne przyszwyy wytrzymać mogły. Był on nadwornym probostwa dostarczycielem, robił buty księdzu, buty gospodyni i Mamertowi. Poczciwy, miłosierny człek opatrywał też dla miłości Bożej nawet głupiego Bartocha, któremu każdej zimy dawał stare buty, jak jałmużnę.

Na ostatek szła jeszcze bielizna, którą z zapasu płótna, jaki miał ksiądz Paczura, uszyć musiała sama Magdalena, z pomocą którejś baby z miasteczka. Sześć koszul zdawały się bardzo dostateczne.

Ordynaria, grosz żywy i ta wyprawa, stanowiły wydatek znaczny, lecz nieuchronny. Mówił sobie w duchu ksiądz Paczura, iż na czym innym oszczędzi.

Nazajutrz, nie tracąc czasu, posłano po Chaima, aby miarę brał i na folwarku fabrykację odzieży rozpoczął. Dowód ten nieufności obszedł mocno krawca, ale mu wprost powiedziała Magdalena o ostatniej kamizelce defraudowanej i Żyd warunki przyjął. Z oczu mu jednak widać było, iż czyni to, aby dowiódł, że mimo pilności, on swojego nie zmieni obyczaju.

Tegoż dnia przywołano i Seredowicza, który zapewnił, że buty będą „na urząd”, acz przestrzegł zaraz, że ta młodzież, co na nic nie zważa, w błoto dla swawoli lezie, najlepszego obuwia długo nie ponosi.

Cały ten dzień zszedł na troskach podobnych, którym się chłopcy przysłuchiwali z kątów, a gdy Chaim poszedł sukno stępować, pobiegli za nim, aby mu się przypatrzeć. Rozognione ich wyobraźnie już się widziały w tych nowych sukniach, w nowych butach, odnowionymi od stóp do głów. Przy każdej teraz zręczności Magdalena przypominała im, co kosztują i jak być powinni wdzięczni stryjowi, który tak na nich łoży, nic nie żałuje i sam nowej rewerendy potrzebując, odmawia jej sobie, aby ich poprzyrodziewać.

Dni to były niezwykłego ruchu na probostwie. Do Chaima, który był gaduła, schodzili się wszyscy na folwark, już dla plotek, już dla przypatrywania się robocie, miał bowiem sławę o tyle zręcznego, o ile niesumiennego majstra.

Matłachiewicz ubolewał, że dla tych urwisów, z których nigdy nic być jego zdaniem nie miało, proboszcz tyle itakiego sukna poświęcał. Ujmowała się za nimi Magdalena, szwargotał Chaim, a

chłopcy to przez okno, to od drzwi zaglądali. Dopieroż gdy przyszło przymierzać sfastrygowane, każdy był innego zdania: Chaim bronił swej roboty, Matłachiewicz utrzymywał, że odzienie jak wór leży, ksiądz domagał się, aby było szerokie i na wyrost. Prowadzono obu w tych bez rękawów opończkach z folwarku, jak w procesji, na plebanię, tu się musieli i z jednej, i z drugiej strony prezentować, aż póki ksiądz Paczura wyroku swojego nie wyrzekł. Wszędzie być miały zakładki. Ubranie na długie lata starczyć miało — ano, ta młodzież tak wyrasta prędko!

Już się Chaima robota kończyła, już i powolny a sumienny Seredowicz wkrótce gotowym być obiecywał, gdy dopiero księdzu proboszczowi na myśl przyszło, że tu jeszcze i dwóch skrzynek dla nich było potrzeba, aby mieli gdzie złożyć rzeczy i książki i uczyli sieje utrzymywać w porządku. Nie było gotowych na probostwie, znowu więc troska, aby i suche były, i porządnie okute, a ksiądz Paczura przebąkiwał, że pomalowane by być powinny, przeciw czemu Magdalena zaprotestowała.

— Jeszcze czego — rzekła — żeby ich elegancji uczyć i psuć! I tak jegomość aż nadto czyni dla nich. Do czego się to zdało!

Proboszcz się dał przekonać, i skrzynki kupiono w miasteczku bardzo proste, do kłódek. Obaj bracia poczęli zaraz tegoż wieczora uczyć się zamykania ich i odmykania, przy czym Wickowa kłódka nie wytrzymała. Lament wielki, a litościwa Magdalena w sekrecie kazała ją naprawić. Ślusarz zaręczał, że dopiero teraz trzymać będzie lepiej niż nowa, towar był tandetny.

Słowem, roboty było dużo, troski mieli wszyscy dosyć, a Mamert stękał najbardziej, że mu chłopaków miało w zakrystii zabraknąć i do nabożeństwa. Za złe nawet miał proboszczowi, że dla nich nie wiedzieć jakiej edukacji szukał, gdy czytania, pisanie i ministrantury byłoby dla nich dosyć na życie całe.

— A mało to ludzi z tym żyje, Pana Boga chwali i na zbawienie zarabia, bez zgorszenia ludzkiego! At, takie czasy! Mądrości się wszystkim chce. Aby tylko dusz przez to nie pogubili.

Do tych, co po chłopcach tęsknić mieli, należał i głupi Bartoch. Prawda, że w początkach bywały między nim a nimi nieporozumienia, że kilka razy do pasji go doprowadzili, lecz później i oni mu się strzegli dokuczać, i on się do nich przywiązał. Z daleka lubił bardzo przypatrywać się ich swawoli, ruchami rąk i nóg wyrazistymi jakby dopomagając do niej. Gonił ich oczyma, może zapożyczając u nich wesela. Bawiła go ich zręczność, puszczał się czasem biegać, gdy się na wypródki ganiali, ale dopędziwszy ich, zasapany, uciekał. Z bliska bowiem nie śmiał nigdy do ich zabaw się mieszać. Gdy dzwonił, a chłopcom też napadła ochota do sznurów, nie bronił im nigdy tego.

Przygotowania do wyprawy dla chłopców czyniły go widocznie smutnym. Stawał zamyślony nad skrzynkami, które na słońcu u ściany folwarcznej suszono, wpatrywał się w nich z dala, jakby w pamięci wesoły obraz ich chciał zatrzymać. Wszyscy po trosze, jak on, nie mówiąc o tym, żalowali chłopaków i przewidywali, jak na probostwie bez nich pusto będzie i smutno.

Zbliżała się ta chwila rozstania. Hołłowicz, który pilno się dowiadywał, kiedy wszystko będzie gotowe, przyjechał raz ostatni dla oznaczenia dnia. Ksiądz Paczura, zobaczywszy go, aż posmutniał, nie śmiejąc się do tego przyznać, iż rad był zwlec odjazd dzieci.

— Ale czego bo się tak spieszycie? — rzekł do Hołłowicza. — U mnie jeszcze nie wszystko gotowe, to tego, to tamtego brak, bieliznę doszywają.

— To by im resztę można nadesłać — rzekł dzierżawca.

— Czyż to tam o dzień, dwa chodzi? — rzekł ksiądz wzdychając. — Już bym rad, aby wszystko było jak należy, w porządku. Parę dzionków...

Zamilkł dzierżawca.

— Jegomości dobrodziejowi bo podobno chłopców żal będzie i dodał.

— A pewnie, nie zapieram się, żal... pustka tu po nich zostanie. Ale co robić, dla dobra to ich, egoistą się być nie godzi. Więc kiedy?

— W poniedziałek — wyrwało się Hołłowiczowi.

— We wtorek może?

— We wtorek, ale pewno.

— Co robić! Niech i tak będzie.

Chłopcy bodaj stali pode drzwiami w czasie tej rozmowy i pierzchnęli natychmiast, roznosząc wiadomość po dworze całym. Powtarzano sobie: — we wtorek.

Ksiądz Paczura nie odstąpił od tego, aby chłopcy dnia naznaczonego do mszy świętej mu służyli, po której dać im miał błogosławieństwo i dopiero „w drogę pokoju i szczęśliwości” odprawić. Posmutniał jeszcze biedny stary.

Tymczasem chłopcy w swej izbie pakowali się i rozpakowywali, stały skrzynki otworem, do których i jabłka ofiarne, i różne strzępki najpotrzebniejsze wchodziły. Magdalena ciągle coś przynosiła, proboszcz zaglądał, żeby się przekonać, czy umieli sobie dawać radę. Wicek kałamarz był schował do kufra i dopiero Mamert mu uczynił tę uwagę, że atrament z bielizną niedobrze się godzi. Jeden Małachiewicz, trwając w swej niechęci dla chłopaków, z drugich się wyśmiewał, a sam wcale się nimi nie zajmował.

Nadszedł ów wtorek naznaczony, i rano, mimo że deszczyk kroił, co, jak wnosił już proboszcz, podróż mogło powstrzymać, nadjechał Hołłowicz węgierskim wozem wyładowanym, gdyż i dwu swoich synów zabierał, a siano i owies zwykł był brać z sobą w drogę.

Na przedzie wysłane było siedzenie, a gdy jeszcze upakować przyszło dwie skrzynki Wacka i Wicka, obawiać się zaczął ksiądz proboszcz o osie. Uczynił nawet tę uwagę, lecz dzierżawca mu zaręczył, że nie ugiąwszy się stodołę by uniosły.

Szli wszyscy do kościółka a przodem chłopcy oba. Ksiądz Paczura tak powoli, jakby chwilę wyjazdu odwlec pragnął. W zakrystii już leżały ich dwie komeżki białe, które po raz ostatni wkładać

nieli. Stał Mamert z założonymi rękami, spoglądając na przygotowania do mszy. On już był zawczasu i przykrycie zdjął z ołtarza, i świece zapalił.

W kościółku, na wieść o tej mszy na intencję dzieci, zgromadzili się z plebanii wszyscy, nie wyjmując głupiego Bartocha, klęczącego w kruchcie koło chrzcielnicy. Chociaż msza czytana²¹ być miała, Małachiewicz grać musiał na organach i śpiewać. Z miasteczka też przybył Seredowicz, kilku mieszczan i babek. Im żal było chłopiąt szczególnie dlatego, że ich przy nabożeństwach brak być miało.

Ze wzruszeniem, powoli mszę świętą czytał ksiądz Paczura. Po ostatnim przeżegnaniu, przy którym spojrzął na klęczących synowców, jakby łza mu się zakręciła w oku. Powrócili do zakrystii. Tu, po modlitwie krótkiej, ksiądz włożył komżę i stułę i wyszedł do ołtarza z agendą, pomodlił się dając znak chłopcom, by bliżej przystąpili i cichym głosem nad schyłonymi ich głowami odczytał błogosłowieństwo.

Teraz wszystko było skończone; kulawy Mamert gasił świece wielkiego ołtarza, zasunięto obraz patrona i wszyscy poszli na probostwo.

Skromne śniadanko czekało w wielkiej izbie, do którego i dwu synów Hołłowicza wezwano. Widząc wszystkich smutnych, dzierzawca starał się być jak najweselszym, humoru i ochoty dodawał.

Nie skutkowało to jednak. Ksiądz Paczura coraz to spojrzął na swoich chłopaków, uśmiechnął się do nich i coś szepnął. Młodszy Hołłowicz tymczasem chleb sobie obficie masłem smarował, a starszy z talerza mięso ściągał, bo ich tu nic więcej nie obchodziło.

— Niechże się jegomość dobrodziej już nie frasuje — zawołał dzierzawca, który też darami bożymi nie gardził i gębę miał pełną — już ja ręczę, że lepszego dyrektora i dozoru na całym świecie nie ma niż u Miniewskiego. Przeszło już przez jego ręce dzieci dosyć. Rygor jak należy, dyscyplina zawsze pod ręką.

Skrzywił się proboszcz.

— A! Różdżką dziateczki Duch Święty bić radzi — mówił Hołłowicz — a doroślejszych dyscyplina rozumu uczy.

Chłopcy, którzy dotąd znali tylko linię Małachiewicza, pospuszczali oczy.

Śniadanie miało się ku końcowi, talerze stały zupełnie puste, a masła resztę palcem już do ust młodszy syn dzierzawcy prznosił. Proboszcz wstał, rzucili mu się chłopcy do nóg, bo tak ich Magdalena nauczyła, lecz ksiądz Paczura podniósł ich zaraz i do piersi przycisnął.

— Niech Bóg błogosławi — rzekł stłumionym głosem — prowadzi i odprowadza. Uczcie się, Boga bójcie i wracajcie mi zdrowi.

Szli wszyscy, żegnając się do progu, Hołłowicz powtarzał jeszcze:

— Niech jegomość dobrodziej będzie spokojny.

W sieniach nikogo nie było, ale przed plebanią, choć deszcz ciągle kropił, stali wszyscy. Zapłakana stara Magdalena oczy chustką ocierała; kulawy Mamert usta oddał, aby nie pokazać, iż mu się też płakać chciało. W dali Wicicha i Hruszka, i głupi Bartoch kiwali chłopcom głowami. Z otwartymi ustami, skrzywiony okrutnie, z ręką za pasem, stał Bartoch z oczyma wlepionymi w chłopców. Jednego Matłachewicza, który wprost z kościoła poszedł do miasteczka, nie było.

Zaczęło się tedy pakowanie na ów wóz węgierski, na który siadł naprzód sam Hołłowicz, dalej posunął się starszy syn jego, który miał się przy nim umieścić, młodszy wcisnął się w środek. Siedzenie na przodzie przeznaczone było dla Wacka i dla Wicka, niezbyt może wygodne, lecz dające im czuć obie skrzynki drogie, które tylko trochę sianem przysłano. Gdy się usadowili tak wszyscy, woźnica obejrzał, proboszcz przeżegnał, trzy konie wyciągnęły się dobrze, nim wóz z miejsca poruszyły. Chłopcy kłaniali się jeszcze czapkami i głowami, a stojący ich żegnali błogosławiąc. Proboszcz natychmiast do izby powrócił — wstydził się łez swoich.

Wóz stuknął na progu bramy, wytoczył się i za murem zniknął. A na probostwie zapanowała cisza tak smutna, jakby już tam nikogo nie było.

Następnej niedzieli, jak zawsze na sumę, dosyć się parafian zebrało: Kolatorem²² i najbliższym sąsiadem był pan starosta Andrzej Chryzostom Śniehota. Zwykle nań czekano z sumą, a nigdy na nią nie chybił. Między nim a księdzem Paczurą stosunek był dziwny, bo starosta i wielce szanował, i zapraszał proboszcza, i rad był widocznie pozyskać sobie jego względy — a proboszcz, choć mu okazywał uszanowanie i nie miał powodu do najmniejszej niechęci, mimo dobroci swej dla wszystkich, z dala się od dworu w Zalesiu i od pana starosty trzymał.

Gdy się spotykali, jak najlepiej byli z sobą, bo ksiądz Paczura z nikim źle być nie mógł; przecież poufałości i zażyłości brakło. Starał się o nią widocznie pan Śniehota, unikał jej proboszcz. Przecież, gdy się o staroście zgadało, oddawał mu ksiądz sprawiedliwość wszelką i przymioty jego wynosił. Ale był powód, dla którego mimowolną czuł doń odrazę ksiądz Paczura. Pan starosta miał jedną wadę, nałóg czy manię, bo nie wiedzieć, jak by to nazwać wypadało — był pieniaczem.

Takich już dziś na świecie nie ma. Starosta pieniał się nie dla zysku, nie ze złośliwości, nie przez chciwość na dobro cudze, ale przez dziwną do prawowania się namiętność. Niepokoił tym ludzi, narażał się im, pieniądze marnował, a bez procesu żyć nie mógł.

Opowiadano o nim, że gdy mu raz szlachcic w sprawie o granicę chciał dla miłego spokoju dobrowolnie ustąpić — zbурczał go.

— Chyba punktu honoru nie masz! Jak to może być, ażebyś sobie bez oporu dał brać sprzed nosa, hę? Mnie się zdaje, że mi się to należy, ale to jeszcze nie racja. Któż to wie? Mogę się ja mylić! Nie chcę cudzego dobra mieć na sumieniu. Niech sąd rozpozna przy kim słuszność, musisz się kochanku prawować, to nic nie pomoże.

Proces dla starosty był rodzajem walki, ożywiał go, dawał mu ochotę do życia, wesołość, różność,

gdy mu brakło tego zajęcia, smutniał i nudził się. Kosztowało go to nieraz dużo, ale o to nie dbał. Kupił pono był Zalesię jedynie dlatego, że tu miał widok na trzy sprawy ważne, dwie graniczne o bardzo znaczną dyferencję²³, która się na seciny włók liczyła, trzeci o sumę na dobrach opartą, jakoby spleconą, przy tym uległą już przemilczeniu, o którą się upomniano. Mniejszych różnych spraw, jakie chwycił i prowadził, zliczyć było trudno. Więc jeździł po sądach i trybunałach, naradzał się z prawnikami, sam pisał informacje, wglądał we wszystko, gardłował, przymawiał się od krated²⁴, a znano go z tego, iż prawo na palcach umiał i radzono go się też chętnie. Dom był zawsze pełen mecenasów, regentów i gości. Szczęściem państwo Śniehotowie dzieci nie mieli, a fortunę znaczną, która na te fantazje starczyła.

Sam pan starosta, człek wzrostu bardzo słusznego, chudy, kościsty, trzymał się zawsze prosto, głowa do góry, czuprynę nosił mocno podgoloną i nastrzępioną, wąs też podstrzygał. Zwykł się być chętnie pod barki brać i ręce za pas zakładać, z czym mu było do twarzy i człek był prezencji wielkiej. Przy tym grzeczny niezmiernie, kłaniający się, wesoły, w komplementach przesadnych łacińskich wyegzercytowany i wymowny, anegdota różnych starych i nowych zawsze obfito miał w zapasie. Pić bardzo nie lubił, ale do kielicha, gdy było potrzeba, stanął i tych, co słynęli z tego, że czysto koło szkła chodzili, zawsze pobił. W domu, gdy obyczaj nakazywał, poił, sam wolał trzeźwym być. Tak samo z jedzeniem, nie gardził nim, ale do niego wagi nie przywiązywał. W plikach papierów siedział ciągle,

Gdy mu zajęcia nie stawało żywego, naówczas lubował się w przeglądaniu starych procesów rozmaitych, szczególnie o posiadłości ziemskie, i nikt od niego lepiej nie znał *status causae*²⁵ ordynacji ostrogskiej²⁶ albo sławnego owego procesu kapituły wileńskiej²⁷.

W papierach u niego ład był większy niż w gospodarstwie, w którym sami się ekonomowie rządzą i niemiłosiernie go okradali.

Sama pani Śniehocina, Anna imieniem, z domu Brzechwianka, kobieta była miłująca spokój, cicha pobożna i dobra, a dla jegomości gotowa i cierpieć, i milczeć, i czynić, co kazał, byleby mu z tym dobrze było, toteż może przykładniejszego małżeństwa nad to na świecie nie było. Szanował ją Śniehota i z wielkim był dla niej przywiązaniem, ale miał taki obyczaj niedobry, że mimo to przy niej często na kobiety wyrzekał, prześmiewał i przykrość jej tym czynił. Szło to tak sobie żartami — a pani starościna, ostrzelana już z tymi wybrykami, milczeniem je pokrywała.

Bezdzielni, samotni, krewnych nie mając bliskich, rozrywali się, jako mogli, on procesami, ona wychowywaniem dziewcząt, których u niej zawsze, pod jej okiem, pięć do sześciu bywało w fraucymerze. Gdy z nich która dorastała, przyjętym już było, że starosta dawał dwa tysiące złotych posagu i sutą wyprawę. Sprawiano wesele jak własnemu dziecku i te wychowanki starościnej wszystkie jakoś szczęśliwie jej poszły, a dobrze się za mąż powydawały. Jedna nawet bardzo majątnemu człowiekowi poślubiona została. Starościna zwała je dziećmi swymi, a obchodziła się z nimi, jakby rodzone jej były.

Dwór w Zalesiu, u państwa Śniehotów, już niemal na pański zakrawał, jeździli kareta poszóstną, mieli dworzan kilku, kapelana bernardyna w domu, starego krewniaka *quasi*²⁸ marszałka dworu a służbę pośledniejszą bardzo liczną — zaleski dom też, poprawiony i odbudowany, dosyć się

prezentował pokaźnie. Była w nim i sala z chórkami, i pokojów gościnnych dosyć, i różnych zakomórków a schowek do zbytku — a choćby się zjechało jak najwięcej miłych braci, miejsca dla nich nie zabrakło. Piwnica i kuchnia, zasposobione dobrze, starczyły na wszelkie wypadki.

W stajni kilkadziesiąt koni zawsze było w pogotowiu. Gościnność starodawna uprzejma, braterska, drzwi otworem, a łatwiej kogo zatrzymano gwałtem, niżby się go pozbyć miano.

Ze szczególnym był ksiądz Paczura szacunkiem dla starościny — jednak nie wezwany nigdy do Zalesia nie zajrzał, a po nabożeństwie, bywało, iż się nawet z panem Andrzejem nie widząc, dawał mu do domu odjechać. Wprawdzie Śniehota, mając kapelana w domu, pomocy duchownej tak dalece nie potrzebował, a przecież za proboszczem, którego lubił — tęsknił.

Bywał ksiądz Paczura u nich zwykle na Wielkanoc, na św. Andrzeja i św. Annę, rzadko inaczej. Jednak kolatorowi należne uszanowanie okazywano. Czekano ze mszą świętą w niedzielę na niego, na którą do parafialnego kościoła z obowiązku nigdy przybyć nie omieszkał, choć miał w domu kaplicę. Trzeba było choroby ciężkiej, by Zalesię chybiło, a i w takim razie przysłano kogo i ze dworu. Mieli kolatorstwo ławkę swoją, suknem wybitą, podawano im pierwszym patynę do pocałowania. Szli za celebrującym na procesji. W czasie obchodu Bożego Ciała starosta księdza, niosącego ciężką firlejowską monstrancję, zwykle podtrzymywał. Jednak stosunki były ceremonialne i chłodne.

Z księdzem Serafinem, kapelanem starostów, ksiądz Paczura był w najlepszej komitywie, często gęsto pomagał mu on do spowiedzi i posług duchownych, ale to nie zbliżało go do Zalesia.

Tej też niedzieli chwilę czekać musiano, nim się poszóstna karetka i za nią bryka ukazała. Gdy ją spostrzeżono na drodze, dano znak i głupi Bartek na sumę uderzył w dzwon wielki, za którym mieszczańskie chłopaki ruszyły resztą dzwonoń. Lud, który stał na cmentarzu, zaczął płynąć do kościółka. Mamert świece wszystkie wielkie i małe zapalał. Matłachiewicz już był na chórze, na który kilku swoich wybranych puścił.

Stała landara przed bramą i ukazał się starosta, jak zwykle wyprostowany, z miną pańską, pod rękę wiodąc drobną i małą żonę swą, osłoniętą czarnym welonem. Za nimi szli ksiądz Serafin i dwoje dziewczątek jednakowo ubranych, z paninego fraucymeru, oraz stara Ościńska, która miała dozór nad nimi i ów *majordomus*²⁹, rezydent marszałkujący, pan Prawutyński Hieronim, też okazałej postaci człowiek, który z powodu słabych nóg na lasce się podpierał.

W kościele ustąpili się im wszyscy tak, że mimo ścisku mogli dojść wygodnie do swej ławki, przy której Prawutyński zajął miejsce z boku.

W tejże chwili zasygnowano na sumę i ksiądz Paczura wyszedł z zakrystii, ale — zamiast dwu chłopaków, do których już byli wszyscy nawykli, takich zręcznych, pięknych, z miłymi twarzyczkami, na których serce się patrząc radowało, Mamert dobrał dwóch z miasta dzieciaków, i to z wielką biedą, których ledwie wyuczono jako tako do ampułek i mszału, nie wymagając ministrantury. Jeden, od Seradowicza, chudy był i cienki, a niezgrabny, bo już, na stołku szewcowskim siedząc, nogi sobie pokrzywił; drugi, pędrak mały, co go ledwie za kratkami widać było, pyzaty, ciężki i przestraszony, ledwie szedł. Wszyscy zaraz dostrzegli zmianę, a staroście tak ubytek dwóch serwitorów³⁰ był jakoś

przykry, że mu to w nabożeństwie dystrakcję³¹ robiło. Odezwał się aż, wstając na ewangelię, do jejmości: — Co się to z księdza chłopcami stało? — Naturalnie, starościna odpowiedzieć nie mogła. Inni też w kościele zaraz zauważyli, iż zmieniono służbę przy ołtarzu, wszystkim brakło Wacka i Wicka. Najbardziej jednak bodaj staroście.

Po nabożeństwie i odśpiewaniu pieśni, na którym dotrwali państwo oboje, starosta, co się bardzo trafiało rzadko, szepnął coś żonie i wyszedłszy na cmentarz, zamiast do powozu wprost — skierowali się oboje na plebanię.

Ksiądz Paczura, który się tych odwiedzin nie spodziewał, gdy mu o tym dano znać, pośpieszył za nimi tak, że ich we drzwiach napędził. Szedł też i ksiądz Serafin, i Prawutyński, tylko Ościńska z dziewczętami wprost do Zalesia odjechała. Witano się z wielką grzecnością, a proboszcz, drzwi otworzywszy do sali, zapraszał.

— Nigdy bym jegomości dobrodziejowi moją wizytą naprzykrzony nie był — odezwał się starosta — gdyby nie szczególna okoliczność. Tknęła mnie absencja dwóch chłopaków, do których nawykły oczy nasze. Czy, uchowaj Boże, nie pochorowali się?

— Bo teraz choroby różne dziecinne panują — dodała starościna.

— A, nie, dzięki Bogu — wzdychając odparł proboszcz — *dura lex, sed lex*³², trzeba było oddać do szkół. Czas nadszedł. Ścisnęło mi się serce, zwlekałem... W końcu... trzeba było, trzeba było.

Smutny wyraz twarzy dowiódł, jak po nich księdzu Paczurze bardzo było tęskno.

— Powiem panu staroście — dodał skłonny jakoś tego dnia do otwartości proboszcz — że i dla chudej plebańskiej kieszeni, i dla serca stryjowskiego ciężki to był *casus*³³, ano... co było robić!

Rozśmiał się, twarzy chustką ocierając. Starosta i starościna spojrzeli po sobie.

— A ja księżę proboszczu dobrodzieju — rzekł starosta poważnie — Bóg widzi, patrząc na chłopaków, miałem do was zanieść prośbę. Żartobliwą zrobił minę.

— Oto moja dobrodziejka — wskazał na żonę — zawstydzła mnie, sromoci, nie może językiem, to *factis*³⁴ mnie upokarza. Wychowuje sieroty dziewczęta naumyślnie, aby światu pokazała, co to za nieużyty i twardy człek ten jej mążysko. Cierpiałem, cierpiał, aż miarka się przebrała³⁵ — *vicisti Galilae*³⁶, postanowiłem albo mojej jejmości dorównać, lub ją zawstydzić i — choć dwu chłopców wziąć na wychowanie. Przyznasz jegomości dobrodziej, że jej pięcioro dziewcząt to jeszcze nie dochodzi wartością dwóch chłopaków.

Rozśmiał się i popatrzał po słuchających.

— Chciałem się właśnie — dodał — dopraszać łaski waszej, abyście mi te sieroty wasze powierzyli. A tu — czy moja jejmość zaintrygowała? He? Przyznajcie się!

Proboszcz stał zakłopotany, uśmiechała się pani.

— Gdzież się chłopcy podzieli? — zapytał starosta.

— Wyprawilem ich z Hołłowiczem do Lublina do dyrektora — rzekł ksiądz Paczura.

— Niech i tak będzie — przerwał starosta — ale pozwólcie, aby nie na waszym koszcie byli, lecz na moim, inaczej mi moja jejmość oczy wykałać będzie.

Ksiądz Paczura stał mocno skonfundowany, gdy starosta ruszył go uścisnąć.

— Proszę o to jako o łaskę, jako o środek jedyny utrzymania zgody i pokoju między małżeństwem.

— Panie starosto... — mruzczał proboszcz.

— Nie wymówisz się — nie pomoże! Chłopców biorę na mój koszt, aż do wyzwolenia ich. Inaczej nie będzie. Jest to dla mnie konieczność — jejmość biorę za świadka...

— Ale tak! Tak! — poczęła żywo staroscina. — Dla świętego spokoju, bo ja mu go nie dam inaczej.

Zaczął proboszcz dziękować.

Dawniej inaczej się dobrodziejstwa świadczyły i przyjmowały. Dziś jest więcej dumy w ludziach, bo miłości mniej jest. Dawniej dawał brat bratu, a prosił jak o łaskę, by przyjęto; przyjmowano bez sromu, bo każdy oddawał drugiemu, co wzięł od pierwszego.

Pojęcia i uczucia z obu stron niezmiernie się odmieniły w tym względzie. Duma nie dopuszcza od obcego przyjmować nic, a dziś i brat jest obcym, gdy dawniej obcy był bratem.

Ksiądz proboszcz, zawahawszy się pół chwili, ani mógł, ani chciał odrzucać ofiary możniejszego pana, któremu ona czyniła przyjemność, dla dzieci była rękojmią swobodniejszego rozwijania się, a może lepszej przyszłości.

Oboje starostwo poweseleli, ucieszył się ksiądz Serafin, a że chciano podziękowań uniknąć, zaprosił nazajutrz na obiad proboszcza do Zalesia Śniehota. Kareta podeszła pod bramę dziedzińca i wyjechali. Ksiądz Paczura pozostał w niej długo jak upojony, modląc się po cichu i sam nie wiedząc, jak Bogu dziękować za to dobrodziejstwo.

Jeszcze stał tu, gdy nadszedł Hołłowicz, który był z ekonomem ze wsi sąsiedniej zagadał się na cmentarzu.

— Słyszałeś co się stało? — zawołał do niego proboszcz. — Łaska z nieba spadła na moich chłopców. Starosta ich wychowanie na siebie bierze!

Hołłowiczowi wcale to nie było na rękę; skrzywił się nieco i głową pokiwał, lecz winszować musiał. Cała spekulacja na ordynarii i dyrektorze — upadała...

— Ano — rzekł, — winszuję, jeśli jest czego. Da się to widzieć. Pańska łaska na pstrym koniu

jeździ.

— Daj no pokój, daj, nie denigruj³⁷ przed czasem. Wola w tym dobra jest — niech im Bóg płaci.

Zamilkł Hołłowicz. Biedny człek naprzód by był wolał bodaj swoich dwóch synów dać staroście, potem zatrzymać tych dwu dla ordynarii. Smutno mu się zrobiło. Pomyślał tylko: — Są ludzie szczęśliwi.

Nazajutrz proboszcz, kazawszy nową rewerendę wytrzepać, ustrojony, siadł na bryczkę i do Zalesia pojechał. Ksiądz Serafin go, mówiący pacierze, na gościńcu schwycił — i poszli razem z nim pieszo.

— Widzicie, dobrodzieju mój, a nie mówiłem? — odezwał się ksiądz Serafin. — A nie dobry ze starosty człek? Serce złote! Ma swoje ale... a któż go nie ma? W piersi się uderzmy.

— Albożem ja kiedy, uchowaj Boże, ujmował mu? — zawołał proboszcz.

— Ja tego nie mówię, ano serca do niego nie mieliście. Tymczasem kto go jak ja zna bliżej, na pasek św. Franciszka, patriarchy naszego, ojciec mój — złoty człek. Myślicie, że mu kto poddał tę myśl względem chłopców? Uchowaj Boże! W modlitwie mu przysłała, gdy tych chłopców przed oczyma nie stało. A tak się tym cieszy — rozśmiał się bernardyn — jakby proces wygrał.

— Otóż to, te procesa! — wtrącił po cichu ksiądz Paczura. — Mój ojciec, do czego to? Do czego?

— *Caro infirma*³⁸ — rzekł bernardyn — oto ja księdzu proboszczowi powiem coś, czego sam byłem świadkiem. Toczył się proces w Morochowsczyźnie ze szlachcicem, z Wybranowskim. Zaciął się Wybranowski i choć nie majątny, stawiał mu czoło — do upadłego. On też — w to mu graj. Lat sześć trwało to pieniactwo, wodzili się po trybunałach, kondemnowali³⁹, apelowali, ciągal, rwali, że nareszcie, co łatwo było przewidzieć, Śniehota wygrał. Wybranowski padł tak, że się już na ostatni trybunał fantował i zastawił dwa pasy i karabelę sadzoną. A tu trzeba było koszta jeszcze opłacić. Wyrok wyjęto. Śniehota nasz posmutniał — wprost tedy do Morochowsczyzny, do szlachcica. Gdy przed dworek zajechał, Wybranowski, myśląc, że urągowisko, z szablą wyszedł w ganek, a ten mu na szyję:

— Niech cię uściskam — zrobiłeś mi satysfakcję prawdziwą; nie dałeś się — broniłeś, dojadłeś mi — szanuję. Otóż widzisz, przyjechałem, aby ci wszystko wrócić i dyferencję; i koszta. A mnie to po co? Jam charakteru w waści macał, a nie worka. Przyjaciółmi bądźmy, i kwita.

Odtąd Wybranowski go pod niebiosa wynosi.

Doszli do dworu, a tu ich starosta przyjął i sama starościna serdecznie i proboszcz, rad nierad, dał się ująć dobrocią. Umówiono się o utrzymanie chłopców, do których zaraz starosta posłał Prawutyńskiego, aby opatrzył, co było potrzeba. Sama starościna posłała im bieliznę, suknie — słowem, chcieli, aby im na niczym nie zbywało.

Za to pretendował Śniehota, aby część wakacji spędzali u niego i w czasie świąt choć parę razy z

probostwa przybywali do Zalesia. Tak się to poszczęściło sierotom, a razem i proboszczowi, któremu, by ich wychować jak należy, było ciężko, zwłaszcza przy takim dzierżawcy. Niezły był człowiek z Hołłowicza, ale i on, i żona zbytnio o swoim pięciorgu robaczków pamiętali.

Zaraz tedy na święta Bożego Narodzenia, gdy ich przywieziono, nazajutrz się musieli jechać stawić i paść do nóg staroście. Okarmiono ich tam i ponatykano kieszenie i odprawiono do stryja. Tu była radość wielka, a opowiadanie nieskończone o szkole, o nauce, o różnych przygodach strasznych, jakie przechodzili. Chłopców po wszystkich kątach było pełno, pytała Magdalena, trzymał w zakrystii kulawy Mamert, a biedny głupi Bartosz, jak cień się włócząc za nimi, zęby wyszczerzał i śmiał się z daleka. Gdy ich wesołymi zobaczył, sam też podrygiwał, rzucał rękami, głową trząsał, rychotał w kułak, a gdy nim ta radość owładła do szału, uciekał z oczu ludzkich.

Jeden Małachiewicz utrzymywał, że się tylko w szkole gorszej swawoli nauczyli — wszystkich figlów i psikusów studenckich.

Proboszcz, który ich wziął na ścisły egzamin z łaciny, rad był z nauczycieli. Z historii świętej też Wacek szczególnie wytrzymał najsurowsze badanie. Nie można jednak zaprzeczyć, że czasu świąt było i swawoli dużo. Na żart chodzili po miasteczku z jasełkami, poprzebierani, straszili pod oknami, Wicek się w kozuch na wywrót przystroił i jakieś niebywałe stworzenie reprezentował. Nie było w tym tak dalece nic złego. W czasie nabożeństwa w kościele rażno też dopomagali Mamertowi.

Na Wielkanoc potem przyjechawszy, oni z nim ubrali grób wielkopiątkowy w bocznej kaplicy, a może nigdy nie był tak ustrojony i oświecony jak teraz, nigdy drewniani rycerze nie stali butniej na straży i lampy nie były ustawione misterniej. Zieloności dużo po ogrodach napsuto, aby przybrać grób na podziw pobożnym.

Na święcone i proboszcz, i oni pojechali do Zalesia. Tu zjazd był zawsze wielki i przez tydzień nie schodziła zastawa ze stołów, a niekiedy na Zielone Święta ją odnawiano. Wielkanoc w tym roku przypadała późno, a wiosna wczesnie nadeszła, więc zabawić się było można i w ogrodzie, a u starostwa ogród był staroświecki szpalerowy, w kondygnacjach, ze strzyżonymi drzewami, które podziwienie obudzały. Dwa świerki szczególnie ostrzyżone w kształcie długich pudełek, z gałkami na wierzchu, były dla okolicy cudem świata. Co rok, na wiosnę, przystawiano do nich drabinę i nielitościwie młode gałęzie ogromnymi nożycami postrzygano tak, że biedne drzewa, na zewnątrz nie mogąc rosnać, w środku gęsto zbitymi, czarnymi się okrywały wypustkami — i stały jak z muru ciemnego zbudowane. Oprócz tego duże, długie ulice, jak zielone korytarze, dwiema okrągłymi altanami zakończone, w lecie nie przepuszczające promieni słonecznych, mogły służyć za schronienie w największe upały.

Tu dopiero chłopaki się rozkoszowali, biegając na wyprzodki i przypatrując mnóstwu ptastwa, które się gnieździło po gęstwinie. Gniazd bocianich, czaplich, wronich, nie licząc drobnego skrzydlatego tłumu, co niemiara było. W sadzawkach cembrowanych mogli widzieć rzucające się karasie i liny. Tu też mnóstwo ślimaków dostarczało przedmiotu do ciekawych obserwacji. Brano jednego z nich i przemawiano doń wedle starej formuły:

Ślimak, ślimak — wystaw rogi.

Dam ci grosz na pierogi...

Ślimak z wolna wysuwał rogi spod skorupki i dostawał po nich gałązką, czym skonfundowany, na nowo uciekał, cały chowając się w swym domku. Ogród to był pełen dziwów i czarów, a osobliwszym w nim przedmiotem dla którego widzenia nie żał było przebiec w drugi jego koniec, była grotka cała muszlami wysadzana. Niegdyś tryskała z niej woda, lecz gdy prowadzące rury się popsuły, stała sucha: ściany jej, odziane całe kamyczkami świecącymi i skorupkami osobliwych barw i połysków, podziw obudzały w chłopcach. Ponad nią i dokoła jej rosły różne dzikie krzewy, przypominające nieco to ich schronienie pod murem cmentarnym, w którym niegdyś siadywali. Tu jednak daleko było piękniej — a coś tajemniczego nęciło do niej. Słońce nigdy nie dochodziło do tego kątku, powietrze przesiąknięte było jakąś wilgocią i zapachem dziwnym... Zdawało się, że jakieś poczwary, duchy i widma zamieszkiwać tu i gospodarować musiały, gdy ludzi nie było. Do wrażenia, jakie czyniła grotka, przyczyniało się i to jeszcze, że — jak mówili po cichu dworscy — jeden z dworzan poprzedniego dziedzica z niewiadomego powodu odebrał tu sobie życie. Wiele lat upłynęło od tego czasu, a jeszcze okazywano na ziemi coś, jakby kształt nieforemny ciała ludzkiego przedstawiającego, szczególną okrytego pleśnią, która starta wracała. Tak pamięć nieszczęścia i występku przechowała się widomie. Nikt nigdy stopą nie śmiał dotknąć miejsca tego, ale mu się przypatrywano ze zgrozą. W samym końcu rozległego ogrodu była ciekawość jeszcze większa — wzgórze, na którym niegdyś miało stać zamczysko. Nie pozostało już teraz z niego nic, oprócz stosu kamieni i studni. Była ona kamieniami też ciosanymi ocembrowana, a tak głęboka, że gdy w nią kamyk ciśnięto, trzeba było czekać dobrą chwilę, nim upadł na dno. Chłopcy też nigdy nie omieszkiwali, wszedłszy na wzgórze, rzucić w głąb jej po kamyku.

Kaplica, w której gospodarzył ksiądz Serafin, stała także w ogrodzie, ale była drewniana i po kościółku w Borusławicach wydawała się mała. Staraniem pani samej ubrana była zawsze bardzo pięknie, a na maj pełna kwiatów. Zwykle nawet przez cały dzień dla wpuszczenia powietrza stała otworem, lekką tylko kratką przezroczystą zamknięta. Można się więc było jej przypatrzeć i cudownemu obrazkowi Matki Boskiej w ołtarzu, i pięknym ławkom, i mnóstwu drobniejszych wizerunków, którymi ściany były okryte. W czasie świąt wielkanocnych drugiego już roku, gdy chłopcy tu przybyli i wybiegli oglądać te osobliwości, czas był piękny, dzień prawie gorący, liście na drzewach już spore. Zapędzili się aż pod grodzisko, zwane górą zamkową. Nikogo tu nie było, sami mogli hukać i gospodarować, i dokazywać, jak się im żywnie podobało. Nagle Wicek schwycił brata za kołnierz i wstrzymał go, krzycząc: — Tst!

Stali wśród gąszczy, poza którą szedł szpaler. Właśnie tą ulicą idącą, postrzegli całą gromadkę jakąś w sukienkach białych. Była to wypuszczona na przechadzkę kupka wychowanie starościnej, pod dozorem starej pani Ościńskiej, idącej za nimi. Dziewczątka, wesoło poskakując, zupełnie się tak radowały wiośnie i ogrodowi, jak dwaj nasi młodzi Paczurowie. Skromniej tylko objawiała się ta radość i ciszej a ostrożniej tryskały śmieszki.

Przodem szły dwa małe dziewczątka, trzymając się za ręce, z włosami krótko postrzyganymi, jedna ładna, druga ospowata i brzydka, chorobliwie a blado wyglądająca. Obie miały w rękach po

garści narwanych w cieniu przelaszczek. Za nimi szły dwie drobnie słuźniejsze, osobn stanowice grup, bo lata im juź nie dozwalały uczestniczy w swawoli pierwszych. Na ostatku, przy, a raczej przed sam pani Ocinsk, szła jeszcze starsza, moēe dziesicioletnia dziewczeczka, z kosami zaplecionymi we wstżki niebieskie, spadajcymi jej na ramiona. Ta szła juź jak osoba dojrzała, sama z sob, zadumana, mylca, w rku trzymajc jeden kwiatek, duēy liliowy anemon, okryty srebrnym z wierzchu wosem, wtle to zjawisko pierwszych dni wiosny, ktre wprzody kwiat puszcza niē licie, i trwa... jeden dzien wiosenny.

liczn miała twarzyczk zadumana dziewczeczka, juź prawie nie dziecinn, tak powagi pen, a jeszcze rysami i krojem aniołkowat i dziecięc. Co mylła, na kwiatek patrzyła, to znw gdzie tak w gb, w wiat, jakby czego szukała — co si przez całe Źycie znaleē nie moēe. Oczy jej duēe, czarne, mylce, spod spuszczonej gwki byskały ogniem jakim, juź zwiastujcym myl, cierpienie i rozpoczte zawczasu Źycie.

Oba bracia, skryci za krzakami, przypatrywali si dwm pierwszym troch i dwm drugim takēe pobieēnie, ale ta ostatnia — ta ostatnia, idca tak mierzonym krokiem, powoli, z tym w rku kwiatkiem, z kosami dugimi, z oczyma czarnymi, wymierzonymi wprost na nich — przestraszyła ich niemal. Chcieli ucieka i stali jak wryci. Nie widziała ich sierotka, bo byli schowani dobrze za mode krzaki w gestwinie, ale im si zdawało, Źe na nich tak tymi oczyma strasznymi patrzyła, Źe im co mówiła nimi. Nie rozumieli tej mowy, a przeraziła ich, jak pytanie jakie, na ktre na wiecie odpowiedzi nie byo.

O co ona pyta mogła tymi oczyma czarnymi — ta smutna dziewczeczka? Przeszła cała gromadka i juź j tylko wida byo migajc za krzakami wród zielonych gaeēi, a chopcy jeszcze schyleni stali i zdawało im si, Źe przed nimi cigle byo widmo tego dziewczcia pytajcego oczyma.

Nagle obaj rzucili si ucieka. Strach ich ogarnł. Biegli aē na drugi koniec ogrodu i tu dopiero stanli zadyszani, patrzc si na siebie. Wacek by zadumany, a Wicek gow trzsł. Nie mówili nic do siebie. Odpadła ich ochota do swawoli, spowaēnieli nagle. Źaden z nich drugiemu nie powiedzia o tym zjawisku ani sowa, ale je tak dobrze zapamitali, jakby niejeden, ale sto razy mieli je przed oczyma. I gdy tegoē roku na wakacje przybywszy, pojechali znowu do Zalesia upa do ng starocie, a Źona jego wieczorem, chcc ich zabawi, do wielkiej sali z chorkiem pozwoliła przyjc sierotkom swym z Ocinsk, aby grali w ciuciubabk, piercionek i cztery kty a piec pity — gdy weszła taē sama dziewczeczka z pytajcymi oczyma, poznali j od razu. Spojrzeli na siebie i umiechnli si i zrozumieli.

Tu si dopiero dowiedzieli z odezwania si przypadkowego Ocińskiej, iē to dziewcz zвано: Kocia, z czego Wacek wnisł, Źe mogła mie imi Konstancji, i oba je dobrze zapamitali. W czasie gry, gdy inne dosyc wesoo rozbawiwszy si swawoliły i miały, jedna ta Kocia pozostała powaēn, jak jej wiekowi przystao, zamylon i cho w grach bya bardzo zreczn, bo jej nigdy ani zapac nie byo mēzna, ani na niczym podchwyci — milczco si trzymała i z wielk na siebie pamieci. Chopcy usilowali si zbliēy do niej, ale tak si zrecznie im wymykała, iē musieli tego zaniecha. Strach ich jaki ogarniał patrzc na ni.

Ze wszystkich dziewcztek bya najstarsz, rej teē między nimi wiodła, najstaranniej bya ubran, a z pewnych oznak i troskliwych wejrze starociny wnosi mogli, iē szczegolne u niej miała wzgldy.

Gdy wśród gry kosa się jej jedna rozpuściła, starościna ją do siebie przywołała, postawiła oparłszy o swe kolana i sama jej włosy zaplotła. Dziewczę pocałowało ją w rękę, a pani w główkę.

Wszystko to Wicek i Wacek widzieli i zapamiętali. Na obu ich dziewczę w czasie zabawy żeby też choć raz spojrzęło; dopiero gdy się rozchodzili — Kocia, żegnając, każdemu z nich dała po jednym owym wejrzeniu pytającym, które ich przejęło i zmieszało tak, że się nawet zapomnieli jej odkłonić.

A gdy wrócili na probostwo, nic sobie nie mówiąc, myśleli bardzo niepotrzebnie o tej Koci, posiadawszy w kątach wielkiej izby, że aż ksiądz Paczura, wszedłszy, musiał ich budzić.

— Co wam u licha? Powróciliście jakby starosta połajał, czy co?

— Ale, chowaj Boże! Chowaj Boże! — odezwali się oba razem.

— Cóż was, chyba drzemka porwała?

Wyszli tedy oba w dziedziniec i tak się zadumy skończyły.

II

Upłynął lat dziesięć. W lat dziesięć, mój Boże, co się to stać i odstać może! Ile ludzi odpoczywać idzie, a ilu trudzić się na świat przychodzi! Jak się zmieniają serca i twarze, myśli i uczucia!

. A czasem lat takich dziesięć w cichym kątku przeleci i prawie ich nie ma znaku. Żyje się tu powoli, dłużej, na twarzach nie depczą ścieżek dni, co ciężko idą, łzy rowów na licach nie kopią, śmiech warg nie wykrzywia, i po latach dziesięciu zastajesz tych samych zasuszonych ludzi... jak byli.

Niezupełnie jednak można to było powiedzieć o Borusławicach. Tu wiele zostało i wiele się też odmieniło.

Najprzód ksiądz Paczura, prawda, że trochę więcej suwał nogami, że mu gdzieniedzie włos się srebrzył jaśniej, że gdy brewiarz w ręce brał, odrobinę mu się trzęsły — a jednak do chorych na wózkę jeździł jak dawniej, pełnił swe obowiązki, nie zwalnając się z nich, i wikarego nie trzymał. Z otoczenia jego nieznośny Małachiewicz wyniósł się od lat kilku do Lublina, gdzie roku nie wybywszy, chciał nazad powrócić do Borusławic — ale już miejsce jego zajmował niejaki Drujewicz, który głosu wprawdzie tak dobrego nie miał, lecz na organach grał lepiej i pokorny był, a spokojny. Tyle tylko, że nadto spać lubił.

Mamert kulawy zawsze królował w zakrystii, Magdalena skurczona, bo cierpiała na krzyże, chodziła jak przedtem, wykrzykując: „O panie ty mój miłosierny, zlituj się nade mną”. Nawet głupi Bartek, który się niepomrotnie roztył i jeszcze przez to poczwarniejszym zrobił, żył, dzwonił, po dzwonienu leżał na trawie i śmiał się. Nie przybywało mu rozumu, ale brzucha.

Hołowicz owdowiał i z dziećmi sobie rady dać nie mógł. Synowie i córki górę nad nim brali tak, że powagi proboszczowskiej używać musiał, aby ich poskramiać i władzę swą utrzymywać. Szczególniej mały, który w młodszym wieku takim apetytem się odznaczał, podrósłszy, ciężkim był dla ojca.

Tak było z ludźmi w probostwie i koło niego, a zajrzawszy do kościółka, powiedziałybyś, iż go widziałeś wczora, najmniejsza rzecz z miejsca się nie ruszyła, nic nie ubyło, a przybyło niewiele. Przenośny ołtarzyk Niepokalanego Poczęcia na nowo był odzłożony, jedną chorągiew fundowało bractwo nową i świetną, kilka wotów zawieszono u obrazu, zresztą grobowce owe nieznanych i zapomnianych ludzi, stara chrzcielnica, ławy, konfesjonały — zdawały się być nieśmiertelne, tak na nich czasu ubiegłego nic znać nie było.

A chłopców tych dwu małych w komeżkach, co koło nich chodzili — poznać by teraz nie mógł, kto by ich rosnących nie widział. Obaj już byli pod wąsem, młodszy lat dwadzieścia liczył, obaj szkoły pokończyli z łaski pana starosty i jeden trzymał folwarczek dzierżawą, drugi wszystkimi jego lasami zawiadywał, nie tylko w Zalesiu, ale w innych dobrach.

Lata jeszcze ich bardziej zrównały z sobą, trudno było poznać, kto z nich młodszy był, kto starszy

— z twarzy dosyć do siebie byli podobni, tylko Wacek posepniejszą miał i zamyśloną, Wicek bystrzejsze wejrzenie, mowę i więcej uśmiechu. Porośli oba jak dąbczaki, a kto na nich spojrzał, musiał przyznać, że o urodziwszych trudno było.

Cieszył się nimi niewymownie ksiądz Paczura, a gdy który z nich go odwiedził, on zwykle dosyć powolny, wpadał jakby w gorączkę, biegać chciał, wołał i nie wiedział jak przyjmować. Wiele też on w milczeniu, o czym nikt nie wiedział w świecie, przecierpiał dla nich i przez nich: Bóg jeden policzył te przebyte godziny trwogi.

Bał się dla nich wszystkiego, prób młodości, sideł niedoświadczenia, gorączki serca, zapędów myśli, wpływu ludzi, zarazy świata... Za każdym przyjazdem, nie śmiejąc słowy, badał ich oczyma, potem zapuszczał jak sondę na dno morza jakieś słówko, co z duszy, z głębi wyciągnąć coś miało i drżał — co przyniesie słowo, czy potwór jaki morski, czy zeszlą trawę, czy przezroczystej kroplę wody?

Dziękował potem Bogu, bo, szczęściem, dusze były czyste, serca poczciwe i na pozór szło wszystko tak dobrze, tak pomyślnie jakoś, tak się im obu wiodło, iż więcej życzyć nie było podobna. Wacek polubił polowanie i lasy. Starosta mu dał panowanie nad rozległymi puszciami, w których mógł królować. Wicek się brał ochoczo do gospodarstwa — zamiast go wsadzić na ekonomię, dał zaraz maleńką dzierżawę płatną z dołu, pomógł do zagospodarowania i cieszył się tymi wychowańcami jakby dziećmi własnymi. Lubiała ich obu bardzo pani starościna, mieli łaski u wszystkich. Co rzadko, umieli oni być wdzięczni i proboszczowi, i starostwu, a gdyby za nich życie dać przyszło, nie żałowaliby go. Skinąć tylko było, biegli wyprzedzając żądanie.

Jedna rzecz wydawała się dziwną i smuciła księdza proboszcza. Bracia, którzy długo kochali się z sobą, jak dwoje sierot, co siebie tylko mają na świecie — ostygli od niejakiego czasu dla siebie, zdawali się unikać i nie okazywali tej miłości, jaka ich dawniej łączyła. Nie poróżnili się ani, uchowaj Boże, do waśni między nimi nie przyszło, byli z sobą niby po staremu, a czuć było przecie, że coś między nimi stało.

Gdyby kto na Wacka śmiał słowo rzec w obecności Wicka, ująłby się gorąco pewnie za brata — jak jeden, tak drugi, nigdy żaden nie poskarżył się o nic, a proboszcz przecie czuł, przeczuwał raczej, że już tam między nimi dawnej jedności nie było.

Przyczyny się dobadać ani domyślić nie umiał. Chciał ich poddać jakiejś próbie a składało się tak zawsze, że gdy jednego do siebie zawołał, drugi stawić się nie mógł. Pojedynczo ich badając, do niczego nie doszedł. Czasem sobie mówił, że to mu się może tak zdawało tylko, z wielkiej o nich troskliwości, modlił się do Przemienienia Pańskiego, aby, jeśli co było, na lepsze zmienić się mogło.

W istocie, bracia teraz rzadko się z sobą spotykali. Folwarczek, który Wicek trzymał dzierżawą, o mil trzy był oddalony od Zalesia, Wacek zaś po lasach się włóczył i objeżdżał je, lub w samym Zalesiu przesiadywał. Lasy naówczas, choć ich w większych dobrach dopilnowywano, nie bardzo były zagospodarowane. Taki pan leśniczy głównie strzec musiał, aby obcy włościanie nie wrąbawali się, a gdy las sprzedano, aby kupiec nie wywiózł więcej, niż mu należało. Roboty nie było wiele, wańczosy⁴⁰ i belki poznać, z leśnikami się rozmówić, zapolować, gdy było zwierzyny potrzeba, na rubieżach kopców i sosen ze znakami dojrzeć, od pożaru strzec... Czasu było wiele na spoczynek i

zabawę. Ale Wacek do zabaw wielkiej nie miał ochoty.

W czasie wolnym od zajęcia nastroczał się do wszelkich małych usług dworu, staroście jego skrypta przepisywał, bo charakter miał piękny, czasem do gości przychodził do dworu, gdy ich więcej przyjechało, a regularnie też do stołu go wołano, gdzie rozmową starostę zabawiał. Człowiek z niego może nad wiek stał się poważny i wytrawny, płochości nigdy się po nim żadnej nie pokazało, pobożnym też był bardzo i choć dorodny mężczyzna, gdy trzeba było do mszy świętej księdzu Serafinowi posłużyć, chętnie komeżkę wdziawał. Wszystko to razem łaski mu wielkie jednało u obojga starostwa i zachowanie, którego drudzy zazdrościli.

Można było powiedzieć, że we dworze na równi w łaskach tych stało u państwa dwoje. Jeden Wacek Paczura i druga panna Konstancja Rewnowska, owo dziewczę z czarnymi pytającymi oczyma, które bracia niegdyś z kwiatkiem w rękę idące przez szpaler widzieli. Z dziewczęcia wyrosła ona na śliczną pannę, tylko jej te czarne dawniejsze oczy pozostały pytające, wejrzeniem niepokojącym zdające się zaglądać do duszy. Nie było w okolicy piękniejszej panny nad Rewnowską, to nie tylko starościna utrzymywała, ale wszyscy godzili się na to. Wzrost, postać, rączka, nóżka, kibić, cudowne włosy, wszystko w niej było jakby na wzór dla kunsztmistrza, lecz niczym piękność ta jeszcze przy niezmiernej dobroci i rozumie. Wychowanie u starościnej odebrała ówczesne, nie wykwentne, ale gdy inne dziewczęta tępo i mało co z niego korzystając, umiały niewiele, same z siebie nic do niego dosnuć nie mogąc, ona więcej pono nauczyła się, niż ci umieli, co ją nauczali. Bardzo skromna i cicha, gdy się odezwała, było czego posłuchać, a już same oczy mówiły tyle! Pracowita, spędzała dni nad robotą jakąś, gdy czas pozwalał nad książką pobożną albo nawet świecką jaką — bo czytać lubiła wiele. Starościna nie mogła się nacieszyć tą wychowanką i dlatego może, iż się do niej mocno przywiązała, zapowiedziała wcześniej, że niełatwo ją wyda za męża, aż się znajdzie taki, co w jej przekonaniu będzie Koci godnym.

Rewnowską była sierotą zupełną i bez grosza, rodziny jej nie znano, metryka tylko świadczyła, że szlacheckiego rodu była dziecięciem. Dziwnym sposobem przyszła do niej starościna, bo w podróży będąc do Warszawy, w gospodzie, gdy dwór na noc stanął, ludzie jej oznajmili, że kobieta jakaś, z dzieckiem jadąca, nagle zachorowała i już dzień trzeci coraz miała się gorzej, a zdawała dogorywać. Starościna, jak to była pani niezmiernie litościwego serca, choć ją od tego odwieść chciano, lękając się, aby choroba zaraźliwą nie była — poszła sama do chorej. Znalazła ją w małej izdebce na sianie leżącą, prawie bezprzytomną, z dzieckiem do piersi przytulonym i płaczącym. Próżny już tu był ratunek wszelki — chora, mowę straciwszy, dogorywała. Dowiedzieć się od niej, kto i skąd była, nie umiano. Chłopek, który ją wiozł na najętej furmance, porzuciwszy chorą, sam odjechał. Gdy ta zmarła, starościna się zaopiekowała sierotką. Przy umarłej metrykę tylko dziecka znaleziono i kilka papierów, z których się nic dobadać nie było podobna — prócz że Rewnowską wdowa pochodziła z Podlasia od Białej. Posyłano tam potem, rozpytując przez księży bernardynów dokoła, ale tu o żadnej rodzinie tego nazwiska nikt nie wiedział, ani w Białej, ani koło Łosic ani w Huszczy i Tuczej, gdzie drobnej szlachty wiele. Sierota tak opatrzonym sposobem narzucona starościnnie, jak ona mawiała, z samej woli Bożej, zawsze w szczególnej była pieczy, ale też i powiodło się z nią nadzwyczajnie.

Marzyła tedy starościna, że ją wyda świetnie i nie za lada kogo, a wszyscy wiedzieli, bo to głośnym było na dworze, iż krom sutej wyprawy, nie zwykle dwa tysiące, ale dziesięć tysięcy złotych starostwo pod poduszkę dać obiecywali.

Nie tylko dla tej wielkiej sperandy⁴¹, ale dla samej piękności, statku i wdzięku dziewczęcia, cisnęła się młodzież do Rewnowskiej, ale ona niełatwo do siebie przystęp dawała. Nazywano ją pospolicie dumną, inni żartem przezywali panną starościanką, dosyć, że ci co zabiegali jej drogę, rzadko wejrzenie zyskali. Na dwór też młodzieży uboższej przystęp nie był łatwy, chyba gdy święta jakie wypadły i oficjaliści z dóbr do stołu bywali zapraszani.

Z majątniejszych synów obywatelskich z okolicy spoglądało także wielu ku niej, ale ostrożnie i z obawą, żeby się nie rozmiłować, bo sierotą była bez koligacji i dla nich mało posażną — naówczas rodzice niełatwo byli w wyborze synowej.

Jeden, niby co się tam najśmielej posuwał, był niejaki Prosper Mudłowski, mający wioskę dobrą o mil dwie od Zalesia, kawaler, sam sobie pan.

Ten, zależąc od siebie, bo rodziców stracił oboje, gdyby chciał, ożenić się mógł i zdawało się, że ma jakieś zamiary. Spostrzegła to starościna, poczęto się dowiadywać o niego, różnie ludzie mówili. Nic bardzo dobrego, nic nadto złego... A nie oświadczył się jeszcze i milczał, tylko bywając w Zalesiu oczyma strzelał i do panny kołując się zbliżał.

Lat miał ze trzydzieści, niczego mężczyzna, ubierał się pięknie, gospodarzył dobrze; szeptano tylko, że do kobiet miał zbyt wielką słabość, i że już z sąsiadem bodaj z tego powodu popstrzykał się, aż mu dom wymówiono. Lecz mogły to być plotki. Starosta go lubił dlatego, że go o procesach rad słuchał, a gdy się odezwał, bąka nie strzelił. Starościna by się też może nawróciła — lecz gdy spytała o niego panny Konstancji, nie mogła z niej słowa wyciągnąć, z czego wniosła, że się jej nie podobał. Ile razy o zamążpójściu mowa była, panna Konstancja upewniała, że wcale za męża iść nie myśli i że przy swej dobrodziejce rada pozostać — ani chcąc nic innego. Jejmość jednak, wiedząc, że pospolicie panny tak powiadać zwykły, niewiele na to zważała. Mudłowski bywał, patrzył i tak to sobie wisiało... We dworze znowu bystrzejsze oczy widzieć chciały, jakby dosyć łaskawie spoglądała panna Konstancja na Wacka Paczurę. Szeptano to sobie, choć może na odwrót się miało. Panna, jak panna, a Wacek na nią, to pewna, że ile razy mógł, a miał zręczność — patrzył jak w tęczę. Nie uszło to oczu starościny, a choć Wacka lubiła, pono się jej zdawał dla Konstancji za małą rybą. Wyżej dla swej wychowanki okiem sięgała, a już choćby jednej wioski dobrej spodziewała się. Paczura nie miał nic i trudno było przypuścić, aby mu co skąd spaść miało, bo choć jest przysłowie: „Kto ma księdza w rodzie, tego bieda nie ubodzie” — po księdzu Celestynie nic się spodziewać nie było można. Zbierać nie umiał, a rozdawał tak chętnie, że prawie zawsze więcej, niż miał, rozposażał, i długi mu ciążyły. Na leśniczowstwie zaś u starosty niewiele się było można dorobić, ze skórek lisich...

Nie śmiał się też posuwać Wacek i chyba oczy za niego mówiły, gdy na pannę z dala poglądał; zbliżyć się nie miał odwagi, a nie wiadomo skąd i jak wyrobiła się w nim taka duma, że sama myśl, iż mógł dostać odprawę wstydliwą — trzymała go w oddaleniu. Nie przeszkadzało to przy codziennych lub przynajmniej częstych bardzo spotkaniach wielkiej z obu stron uprzejmości. Panna Konstancja rychlej jego zagadnęła niż on ją, czasem o coś poprosiła i w dłuższej rozmowie jakby go wybadać pragnęła.

Ale tak samo zupełnie była i z Wickiem, który się mniej od brata ukrywał z wielkim dla niej afektem. Często też pod rozmaitymi pozorami zbiegał do starosty, najczęściej w porę obiadową, bo

na obiad przychodziła starościna z Konstancją.

Po nim łatwo było poznać, iż panna mu głowę zawróciła i starościna widzieć to musiała, ale znajdowała to naturalnym i żadnym nie grożącym niebezpieczeństwem. Śmiała się z tego po cichu, mówiąc sobie: — A kto by też Koci nie kochał! At, zwyczajnie młodość! Kocha się, to się przekocha! — Wicek, gdyby nie to, że panna była wielce ostrożną, stałby się łatwo napastliwym; szukał zręczności zbliżenia się do niej, przysługi czynił — i śmieiej spoglądał. Nie można jednak było dostrzec ze strony panny najmniejszej oznaki pierwszeństwa, danej z nich jednemu. Dla obu była równie życzliwą, ale od obu daleko. Wicek najczęściej, dowiedziawszy się kiedy brata nie było w Zalesiu, zbiegał umyślnie naówczas, a gdy oba się razem znajdowali, zimniejsi byli i więcej na siebie patrzyli, szpiegując się, niż na pannę. Jeden i drugi domyślał się, że w bracie miał współzawodnika — to ich widać oziębiło wzajemnie i wielka miłość owa braterska zmieniła się w nieufność, od której do niechęci było już blisko.

Wacek wiedział bardzo dobrze, iż nadziei poślubienia faworyty starościnej mieć nie może, przecież bratu zazdrościł, który zdawał się roić śmieiej, acz i on był w tym samym położeniu. Wicek też, wiedząc, że brata ma panna częściej na oczach, niecierpliwił się tym i burzył.

To był rzeczywisty powód rozbratu między nimi, który proboszcza niepokoił, ale księdzu Paczurze nie przyszło nawet na myśl, ażeby jakaś miłość przyczyną rozerwania być mogła. Gdy mu to coraz bardziej w oczy wpadało — postanowił wreszcie stryj sprowadzić do siebie obu i albo nic nie mówiąc, wybadać ich oko w oko stawiać, albo wprost do wytłumaczenia się zmusić.

Wiadomo, że dzień św. Celestyna, imieniny proboszcza, przypada dnia 6 kwietnia. Ksiądz Paczura nigdy ich nie obchodził, najczęściej nie dopuszczając nawet, aby się dla niego ktoś fatygował; po rannej mszy wyjeżdżał do Hołłowiczów na Plebankę i tam do wieczora przesiadywał. Wiedziano o tym w sąsiedztwie i nikt już się nie wybierał z powinszowaniem, nawet sąsiedzi posyłali wiązania⁴² i bilety; na tym się kończyło. Potem w miesiąc, dnia 4 maja na odpuszcie na święty Florian, ponawiano tylko życzenia. W tym roku ksiądz Paczura nie obawiając się już, aby go najechali goście, bo zwyczaju tego nie było, namyśliwszy się, napisał do obu synowców prawie w jednych słowach zaproszenie, aby mógł z nimi dzień ten przepędzić. Magdalena miała przygotować obiad niewykwinny, do którego pieczona gęś z jabłkami dodaną była, gwoli uroczystości. Ani Wacek, ani Wicek nie mogli odmówić, choć obu zbliżenie się ciążyło. Przyszli do tego zobojętnienia dla siebie i jakiejś obawy stykania się z sobą nieznacznie, powoli — odsuwali się, unikali siebie i ani spostrzegli, jak im to w obyczaj poszło i ludzkie już oczy raziło.

Wacek przybył konno z Zalesia tak wcześnie, że jeszcze proboszczowi, dawnym obyczajem, mógł do mszy służyć — ale już stara owa krótką komeżka ze wstążką niebieską, której używał dawniej, jeszcze leżąca w szufladzie, służyć teraz nie mogła. Mamert ją tylko pokazał, śmiejąc się, jako pamiątkę, a dał inną, dłuższą, w którą przyodziawszy się Wacek, wyszedł sygnując ze mszałem na rękę.

Wicek, któremu dalej było do Borusławic, a musiał w domu wszystko sam powydawać, obroki dla koni, obiad dla czeladzi, bo się na nikogo nie spuszczał — Wicek ledwie na podniesienie podążył i już w ławce pokląkszy, resztę mszy świętej wysłuchał. I to mu już było przykrym, że i tu go brat wyprzedził, choć on temu winien nie był. Po mszy świętej poszedł zaraz do stryja do zakrystii i

całując go w rękę przeprosił, że prędzej zdążyć nie mógł. Przywitani się z bratem milcząco i z daleka, co Paczury oka nie uszło.

— Kawał bo drogi do mnie — rzekł Wicek — i choć, Bóg widzi, wstałem rano, ale póki się wszystko wydało i zadysponowało, choć konie rażno biegły, już na czas nie przybyłem. Na grobli w Żywnowie fura z sianem zagrzeżała i podle niej ledwie się było można przedrzeć, tak wąsko.

— Nic się tak złego nie stało — odparł proboszcz — jeszczeście w porę na przeżegnanie przybyli.

Zatem na śniadanie szli oba za stryjem, przez znajomy ów cmentarz, przypominający swawole dziecięce, przez dzwonicę, w której głupi Bartoch podniesionymi rękami i śmiechem ich witał, przez dziedziniec, na którym stała Magda w czepcu, na ten dzień żółtymi wstęgami przystrojonym. Z gości, jak się spodziewał ksiądz Paczura, nie było nikogo, oprócz starego Hołłowicza, który pozbawiony będąc nadziei oglądania księdza u siebie, sam się do niego wprosił. Ten niewiele komu zawadzał. Ksiądz Paczura wesoły był dnia tego, przy mszy świętej jakiś duch w niego wstąpił, który mu serce rozradowywał. Przypomniawszy sobie wszystkie życia swojego przygody, wszystkie łaski Opatrzności, frasunki, w których został pocieszony, niedole, z których go ręka Boża dźwignęła, i przejęty wdzięcznością, patrzył wesoło na synowców, bo i tych dziwnym trafem, a raczej łaską niebieską, potrafił tak wychować i wyprowadzić na ludzi.

Spostrzegł jednak zaraz, że Wacek i Wicek tak się jakoś ustawili, że ich stół dzielił i jak najdalej od siebie zajęli miejsca. To go nieco zachmurzyło.

— Co to z was za poważni ludzie dzisiaj! — rzekł przy śniadaniu. — Ho! Ho! Jak to niedawno swawoliło się tam pod murem i siadało pod daszkiem... He? Dziś się już ani do ludzi, ani do siebie tak ochoczo i rażno nie śmiejecie.

— Co jegomość dobrodziej chce? — wtrącił Hołłowicz. — A to już każdy z nich ma troski swe.

— Jakie troski? — rozśmiał się proboszcz. — Panu Bogu tylko dziękować, bo im się wiodło i wiedzie, jak rzadko komu! Powinni by się śmiać od rana do wieczora.

Żaden z braci się nie odezwał.

Dzień był dziwnie piękny jak na kwietniowy, słońce świeciło, powietrze było ciepłe, ptaszki śpiewały, okna nawet już tego dnia pootwierano. Kończyło się śniadanie, gdy proboszcz żartobliwie dodał:

— Na pamiątkę dawnych chwil tu spędzonych powinniście ichmość oba — ręka w rękę — pójść razem na cmentarz i pod ten daszek, aby po bratersku, po staremu pogwarzyć z sobą. Słyszę, że się teraz rzadko spotykacie, niechby się dawna poczciwa miłość odświeżyła.

Wacek i Wicek zarumienili się oba, nawykli byli tak słuchać stryja, że słysząc to powstali, trwożliwie na siebie spojrzeli i zabierali się już do wyjścia...

— Rzeczywiście, ja tu jeszcze mam z panem Hołłowiczem coś do pomówienia. Pójdźcie się przejść i pogawędzić z sobą.

Tym fortem, niezbyt wyszukany, ksiądz Paczura zmusił ich niemal, aby się do siebie zbliżyli. Wzięli tedy czapki porzucone u drzwi i milcząc wyszli z izby. Przeszedłszy sień, stanęli w progu, spojrzeli sobie w oczy i nic nie mówiąc jeszcze, wolnym krokiem pociągnęli ku cmentarzowi. Szli obok siebie — Wacek patrzył na drzewa, na których pączki wzbierały, Wicek pod nogi. Koło dzwonnicy spotkali Bartocha, któremu oba, jakby jedną tknięci myślą, dobyli z kieszeni i dali po kilka groszy. Wesoły uśmiech im za to podziękował. Dalej drożyna cmentarna była wąska; Wacek poszedł przodem, Wicek za nim. Nie odzywając się jeszcze do siebie, stanęli naprzeciw drzwi kościelnych. Stąd już mur, kędy dawniej siadywali, widać było i ów kamień upadły, na którym się oba mieścili. Krzewy, osłaniające go w lecie, nie miały jeszcze liści, stały nagie, miejsce więc dobrze stąd wpadało w oczy.

— A co? — odezwał się cicho Wacek. — Czy siądziemy tam znowu?

— Dlaczego nie! — żwawo odparł młodszy. — I owszem, chodźmy...

— Tylko to pytanie — rzekł starszy — czy my się tam teraz pomieścimy oba?

— Spróbujmy — zawołał Wicek i ruszył przodem ku kamieniowi. Wicek siadł pierwszy, ale na samym rogu, Wacek na drugim, obu nie było bardzo wygodnie, lecz widocznie unikali zbliżenia się i otarcia o siebie, bo środkiem dość miejsca zostawało.

— Mnie się widzi — odezwał się Wicek, zbierając na odwagę — że stryj nas tu umyślnie posłał, bo mi kilka razy dawał do zrozumienia, że mu to nie w smak, iż my z sobą nie żyjemy.

Wacek spojrział i zdał się zamyślać.

— To trudno — rzekł nieco zmieszany — kiedy z nas każdy gdzie indziej i ma co do roboty...

— Pewnie — pochwycił Wicek — mnie gospodarstwo zajmuje czasu dużo, a wam około lasów objazdżki. Jam temu nie winien.

— Juścić i nie ja — powtórzył Wacek. — Co innego, gdyśmy dziećmi byli.

— A tak, co innego — począł Wicek. — Jak tu się koło tego muru w piłkę grywało... pamiętasz?

Westchnął Wacek... Zamilkli.

— Prawdą a Bogiem — rzekł młodszy — mógłbyś do mnie, objeżdżając lasy, czasem wstąpić. Wiele to razy tak było, żeś u leśniczego pod nosem moim popasał, a mnie minął.

— Ot, ja nie wiem, czy się to kiedy wydarzyło — zamruczał Wacek — może być, alem pewnie spieszyć musiał.

— E, e! — zaczął Wicek. — Mówmy prawdę, nie chciało ci się.

— No, a uderz się w piersi — odezwał się starszy. — Bywasz często, o i bardzo często w Zalesiu,

a czy kiedyś się tak wybrał, żebyś mnie tam zastał!

— A jam temu co winien! — wykrzyknął Wicek.

— Gadaj zdrów, jakbyś to nie wiedział, kiedy mnie można znaleźć — mówił Wacek — jać przecie mam dni moje, w których objeżdżam lasy.

Wicek ramionami ruszył.

— Dosyc, że jakoś się nam spotykać co dzień trudniej — rzekł. — Ludzie to nawet uważają, że my siebie unikamy, ale — jam nie winien.

— Ani ja, ani ja — przerwał starszy.

— A któż? — zagadnął Wicek.

— Albo ja wiem — mruknął drugi.

I siedzieli znowu jakiś czas w milczeniu, spoglądając w prawo i lewo. W prawo chmura wróbli unosiła się z krzykiem nad zaroślami i starymi krzyżami, w lewo dwie sroki na mur wlaższy odpowiadały im wołaniem szyderskim.

— Wyście nawet gospodarstwa mojego nie widzieli prawie — odezwał się wreszcie Wicek — a słowo daję, mógłbym się pochwalić. Starosta jak ostatnią razą zajechał do mnie, nie mógł dworku poznać i zabudowań. Tak go to zdziwiło, że na dzierżawce tyle sobie pracy zadaję, iż chyba na gniazdo kwilę. Ano, dalipan, nie byłbym od tego! — rozśmiał się Wicek i spojrzął na brata.

Wacek siedział pochmurny długo.

— A czemuż nie ma to być — rzekł cicho — powinszuję.

— A wam się to też nie śni? — odparł Wicek. — Boć to pono po starszeństwie iść powinno...

— O! Ja o tym nie myślę — odezwał się Wacek. — Z czym? Jak? Któraż by mnie zechciała? Żeby zostać panią leśniczyną i mieszkać ze mną na folwarku? Ani mi to w głowie. Wyście sobie lepszą część obrali, łącniej panią dzierżawczynię znajdziecie.

— Nie byłbym od tego, byle po myśli. Dalipan — śmiejąc się mówił Wicek i przysunął nieco do brata — no, co mam się z tym taić przed wami? Pamiętacie ten dzień, gdyśmy to stojąc za szpalerem pierwszy raz piękną Kocię z kwiatkiem w ręku zobaczyli? Od tego czasu, Bóg mi świadek, na chwilę mi ona z myśli nie wyszła. Pokochałem się w niej, kocham. Albo się z nią ożenię, albo z żadną!

Wacek pobladł, drgnął, spojrzął ostro na brata i rozśmiał się sucho, szydersko...

— Na zdrowie waszeci! — zawołał. — Ale — zapewne! Nic złego ci się zachciało! Patrzajcie, jak wysoko sięga myśl i ochota! Zapewne! Panny Konstancji byś za żonkę pragnął! Czemu nie, czemu nie!

— Albo co? — rzekł zarumieniony mocno Wicek. — A cóż to znowu tak niedostępnego? Księżniczka udzielna czy królewna? Miły Boże! Taka sierota jak i ja.

Ruszył mocno ramionami i wstał, ale pomyślawszy nieco, usiadł znowu.

— Co ci się roi — rzekł z goryczą — czyż nie widzisz, co dla niej starościna ma na myśli? Durzysz się nadaremnie, boć to na dłoni, że z tego nic być nie może...

— Albo — albo — odezwał się Wicek — zobaczmy. Gadajmy otwarcie, co tu mamy sobie mydlić oczy? Wy byście mnie chcieli odstraszyć, bo wam się samemu jej chce! Niby ja tego nie wiem!

Z zaognionymi oczyma zwrócił się ku bratu Wacek i rzekł popędliwie:

— Ano, tak! Tak! Nie puszczę! Pewnie, że ją nie mniej kocham i adoruję od tej samej godziny, co i ty. Zapierać się nie będę, tak jest! Ale ani ona moją, ani twoją nie będzie... Nie będzie! — powtórzył z boleścią.

— Gadajmy spokojnie — odezwał się Wicek — otośmy już zyskali, że między nami *clara pacta*⁴³... Wiedziałaś ty o mnie, wiedziałem ci ja o tobie. Juści się o pannę bić nie będziemy, kiedy, jak mówicie, obu nie chce.

— A żadnemu z dwóch jej nie dadzą, choćby i chciała — dodał Wacek. — Co to gadać daremnie! Ona od siebie nie zależy, starościnie wszystko winna, a pani dla niej wymaga wiele.

— No, jakeś mój brat — zerwał się Wicek żywo — jakeś brat i jakeś poczciw, mów otwarcie. Kocha ona ciebie? Gadaj prawdę jak na spowiedzi. Serce mi pęknie, niech pęka, ale Bogiem się klnę, nie mruknę i ustąpię.

Z podniesioną głową słuchał Wacek brata uważnie, mieniła mu się twarz.

— Tyś poczciwszy ode mnie — rzekł wyciągając rękę, którą Wicek pochwycił i ścisnął. — Bóg zapłać, klnę ci się na wszystko — czy ona mi sprzyja, nie wiem... Nie wiem.

Westchnął, spuszczaając — oczy.

— Albo ja ją rozumiem? — mówił. — Juści dobrą jest dla mnie, ani słowa. Są takie dni, że spojrzysz, zagada, serce poruszy — zdaje się, któż ją wie, może i dobrze życzy... Przyjdzie drugi dzień, stroni, nie odezwie się, jakby nie widziała. Człowiek na przemiany desperuje i szaleje — a nie wie nic.

— A! — zawołał Wicek, ręce łamiąc. — Tak jest i ze mną! Nie wiem do dziś dnia, czym jej miły, czy wstrętny, ale to wiem, że czy tak jest, czy owak, ja jej kochać poprzestać nie mogę, bo... bo nie mogę! — wybuchnął. — Bo... nie mogę...

— Toć i ze mną — dodał Wacek smutno — a żebyśmy dla niej mieli sobie przestać być braćmi, niechaj tego ludzie nie mówią! Wszystkoć to daremnie. Ona nie dla nas... Ani dla mnie, ni dla ciebie.

Ja to wiem, że z inną żadną, choćbym sto lat żył, nie ożenię się. Tak mi Boże dopomóż.

— Jam to sobie dawno powiedział i poprzysiągł — mruknął Wicek. — I dobrze, żeśmy się tu rozmówili otwarcie, jak na braci przystało, nie miej ty mi za złe afektu mojego, tak jak ci twego nie biorę za złe — ani ty, ani ja nie' winniśmy... Przeznaczenie!

W milczeniu ręce sobie znowu podali i ścisnęli.

— Dziwna dziewczyna! — mówił Wacek. — Widuję ją częściej od was, a nie rozumiem. Mieni się jak pogoda, choć niby zawsze jest jedna... W tych samych oczach na przemiany mróz i skwar, światło i ciemność...

— Może ona kogo innego miłuje? — westchnął Wicek.

— Myślicieź, że ja nie śledził i nie badał? Przecież mi o to szło bardzo, żebym pewnym nie był. Jako żywo! Nie ma nikogo! Kogóż by miała znowu ulubić, czy nie Mudłowskiego, który wsa kręcąc wzdycha do niej — myśląc, że ją wioską skusi? Na Mudłowskiego i patrzeć nie chce. Starościna z biedy by go może i forytowała⁴⁴, choć o nim brzydkie rzeczy gadają, boć nie darmo mu dom w Zaparkach wypowiedzieli... Zresztą kto? Nie ma nikogo.

Nie mówił nic Wicek, brat po chwili kończył:

— Patrząc jej w oczy, nieraz myślę sobie: gdybym ja też mógł widzieć, co one gadają? Spojrzę raz, przysiągłbym, iż mówi: „Sprzyjam waszeci”. Ledwie to schwycił, ledwie pomyślał, już z nich co innego się odzywa: „Co waćpan sobie myślisz? A to pięknie? Ani mi waćpan w głowie!” Zdaje się jakby ledwie się przyznawszy, zawstydzila się i rewokowała⁴⁵.

— Toż i ze mną, słowo w słowo — westchnął Wicek.

— Jawna rzecz — dodał starszy — że kiedy obu jedno mówi, obydwu z nas chyba nie chce...

— Albo ja wiem? — dodał Wicek. — I wy, i ja szalejemy za nią, a to dziewczyna jak lód — żeby człek konał, jej się usta nie rozwiążą!

Zwierzeniom tym nie byłoby końca, bo bracia teraz ochoczo się sobie spowiadali, znowu do dobrej przyszedłszy zgody, i oba również się czując biedni, gdyby proboszcz, który już był o nich niespokojny, nie pociągnął na cmentarz za nimi. Zobaczywszy ich z dala na tym kamieniu, obok siebie siedzących znowu w dobrej zgodzie i porozumieniu, a tak żywą zajętych rozmową, rozrzewnił się starowina, Bogu dziękując, i nie byłby im przeszkodził do dalszej rozmowy, gdyby za nim Magdalena z rozpuszczonymi już czepca wstęgami nie przywlokła się.

— Jezu ty mój miłosierny! Na spacer acaństwo się wybrali, kiedy obiad już gotów i gęś się zesmali na niwecz.

— Dawajcież wazę, dawajcie — odezwał się ksiądz Paczura — ja ich pościągam zaraz.

I poszedł wolnym krokiem ku murkowi, z dala wołając:

— Mości panowie, gęś się przypiecze. Proszę do stołu.

Twarz mu się śmiała... Niewiele kroków uszedłszy, słaby staruszek już, że na dworze było ciepło, potniał i czoło sobie ocierał, ale w duszy też ciepło mu było i Bogu dziękował, że mu się jego pocziwa strategia tak szczęśliwie udała.

— Chodźcie, ichmości, pożywać, co Bóg dał — powtórzył z uśmiechem. — Podajcie mi ręce z obu stron i prowadźcie, tak prędzej staniemy u celu, bo pod waszą opieką raźniej będę suwał nogami.

Wacek z jednej, Wicek z drugiej strony pospieszyli mu podać ręce — twarz starego promieniała. Patronowi swojemu dziękował, że mu dał myśl szczęśliwą i skutek jej tak pomyślny.

Z dala Hołłowicz, który się sam jeden pozostał w wielkiej izbie, gdy na rozkaz proboszcza pospieszono z wazą, która już na stole stała, wyszedł oznajmić o tym.

— Księżę proboszczu dobrodzieju — *hora canonica*⁴⁶. Wazę przyniesiono. Czekam sam jeden...

— Idziemy, jak widzisz — rzekł ksiądz Paczura — a raczej ja lecę, niesiony na rękach tych dwóch podpór mojej starości. Z nimi się tak lekki czuję, jakbym istotnie miał ulecieć.

Weszli tak na probostwo. Hołłowicz, który starszą swą córeczkę, lat już osiemnaście mającą, zażywną kwoczkę, rumianą, gadatliwą, śmiejącą się, swawolną, wielką miał ochotę wydać za jednego z synowców proboszcza — schwycił asumpt do dalekiej ku matrymonialnym widokom przymówki.

— Jeszcze by jejmości dobrodziejowi lżej i weselej było, gdyby szanowni jego synowcowie pomyśleli o zagospodarowaniu się po bożemu. Taż to ichmość dobrze pod wąsem, warto było o gniazdkach pomyśleć.

— Człowiecze! — zakrzyknął ksiądz Paczura wesoło. — A to mi dopiero zaśpiewałeś. Ho! Ho! Nie psujże mi młodzieży, będzie na to czas, będzie. Niech no pierze wprzód na gniazda przyzbierają! Niech pracują! Nasi dziadowie dopiero się szpakowaciejąc żenić byli zwykli.

— A od czegoż przysłowie — przerwał Hołłowicz. — „Kto rano posiał wcześniej się ożenił, nigdy nie żałował”.

— Przysłowie inaczej mówi — poprawił proboszcz — bodaj w Rysińskim⁴⁷ go czy w Knapskim⁴⁸ kiedyś weryfikowałem: „Kto rano wstał, wcześniej posiał i za młodu się ożenił, nigdy nie żałował”. A wiesz, asindziej, jak się to tłumaczy? Oto żebyście wstawali i sieli wcześniej, co się zaś tycze ożenienia — zachowajcie młodość i czystość serca, zawsze z nimi, choć pod siwym włosem, ożenienie będzie młode!

— Jak mi Pan Bóg miły — rzekł, łapczywie zupę zajadając, Hołłowicz — ksiądz proboszcz ze swoją dialektyką zawsze mnie w mysią dziurę zapędzi... No, niech sobie będzie, jako chce. Ja wiem, że młodu się ożenił, bo mi się był ledwie wąs wysypał; nie żałowałem tego. Niech jej Bóg

świeci, mojej nieboszczce, drugiej takiej nie ma i nie było na świecie.

Wnet rozmowa, gdy proboszcz sam nalał na ten dzień wyniesionego spod klucza wina i kieliszki się wypróżniły, żywszą się stała; Hołłowicz ją szczególniej dykteryjkami podsycał, choć nie były pierwszej świeżości i doboru. Wacek i Wicek uśmiechali się także.

Z gęsią razem, która ani niedopieczona, ani przepieczona nie była, Hołłowicz podniósł się i zdrowie księdza proboszcza wychylił. Chłopcy przyszli stryja w rękę pocałować, a że stara Magdalena stała jeszcze w progu, nalano i jej kieliszek, który, ściskając za kolana księdza Celestyna, po kropelce wysączyła.

Właśnie nadchodził ów odpust w Borusławicach, dnia 4 maja, na który zwykle synowcowie dla posługi stryja zjeżdżali i dla nabożeństwa — gdy jednego dnia starosta kazał do siebie powołać Wacka w pilnym interesie.

Wacek wcale pana Śniechoty nie utemperował w zapale procesowym, owszem, z latami zdawał się stawać jeszcze zapamiętałym pieniaczem, jakby się obawiał, że już mu czasu nie stanie na to, co porozpoczynał. Toczył naówczas proces z Sanguszkami o jakąś zastarzałą pretensję nabytą, przelaną przez rodzinę, która się nigdy z niej grosza wziąć nie spodziewała. Zastarzałą tę sprawę wzięwszy na siebie starosta, obrachował się z *alterum tantum*⁴⁹ kosztami, rachunkami, miał niby wyzyskać krocie. Sanguszkowie, ludzie spokojni, już chcieli odczepnego dać kilkadziesiąt tysięcy, ale o tym ani chciał słuchać.

— Zapewne — rzekł — nie wykręcą mi się sianem te magnaty! Nie boję się ich prepotencji⁵⁰, choć wiem, że mają swoich deputatów w trybunale. Ja też nie wypadłem sroce spod ogona i przyjaciół znajdę. Mają oni grosz, mam i ja go... Zagramy tedy od acana do acana, a obaczmy komu tużę usłużą!

Tymczasem, gdy przyszło do zregistrowania i spisu dokumentów, z rozpatrzenia się w nich luka się w nich okazała. Jawnie i oczywiście fascykuły⁵¹ dwa czy trzy u przeszłych posiadaczy przez kogoś ściągnięte zostały; nie dziś ani wczora się to dokonało... Starosta miał niezmierny spryt w dochodzeniu dróg, jakimi papiery chodziły albo chodzić mogły. Rozumując — *ille fecit cui prodest*⁵², trafiał zawsze szczęśliwie na pochwycone akta i nieraz mu je się udało wyszukać. Teraz też, znając dawne familijne stosunki, czuł, że papiery u sukcesorów rodziny Matuskich na Podlasiu znajdować się, *ni fallor*⁵³, były powinny. Utkwiło mu to tak w głowie, że gdyby na jedną nogę nie był zasłabł i nie dostał obrzęklizny takiej, że ją obwinęta na stołeczku trzymać musiał — byłby sam zaraz siadł do powozu i po te papiery zaginione w świat wyruszył. Szło bardzo o to, ażeby się całe staranie i poszukiwanie nie rozbębniło po świecie, aby zręcznie papiery dobyć pod pozorem genealogii i nie dać z siebie wziąć haraczu.

Kogo tu posłać? Wacek mu się zdawał najroztropniejszym i najwłaściwszym do tego. Powołano Wacka.

— Kochany mój Paczuro — odezwał się starosta, zobaczywszy go we drzwiach — jeżeli ty Pana Boga kochasz, usłuż mi. Dam ci konia z rzędem — bez żartu... Patrz, jak mi noga nabrzękła, nim się odsmaruję, a odejdzie, *periculum in mora*⁵⁴.

Począł mu tedy tłumaczyć, o co szło i jak miał starać się o to. Wacek słuchał pilno. Kazał mu wysłuchane powtórzyć, powtórzył Wacek.

— Siadaj na bryczkę — rzekł — weź grosza, ile potrzeba, wybierz się przystojnie, na drogę nie żałuj sobie. Ruszaj zaraz, wracaj prędko, a bez papierów mi się nie staw, bo cię znać i widzieć nie chcę. Żart na bok — choćby je spod ziemi wygrzebać przyszło, to mi ich potrzeba.

Tak zagadnięty Wacek pomyślał nieco, do Pana Boga westchnął, i po południu w drogę wyruszył.

Już jak mu się tam w niej działo, opowiadać nie będziemy, bo to do rzeczy nie należy, dosyć że do Matuskich przybywszy, którzy około Wisznic mieszkali w kącie zapadłym, gdy dla rozwiedzenia się lepszego do karczmy zajechał — od arendarza dowiedział się, iż właśnie we dworze obchodzono wesele starszej córki, która za Litwina jakiegoś wychodziła.

Karczma była pełnusiętka ludzi gościnnych ze dworu przybyłych i wozów a bryczek, na które już nie było miejsca w folwarku. Zgryzł się tym mocno Wacek — trafił jak kulą w płot właśnie. Gdzież tu się było dopytać, jak doczekać?

Jeszcze stał przed karczmą tak zadumany, co z sobą pocnie, a arendarz oparty o bryczkę badał go, bo to tam w tej okolicy gość z daleka, i nieznajomy, był rzadki — gdy ode dworu podjechał syn gospodarza, młody Matuski, aby zadysponować coś Żydowi, i zetknął się z Wackiem.

— Co? Jak? Kto? Ciekawość go wzięła, skąd tu w taki czas nieznajomy się trafił. A że wesele już drugi dzień trwało i młody Matuski był dobrze podchmielony, w złocistym humorze, wnet się do bryczki przyparł.

— Aresztuję waćpana, miły bracie! — zawołał. — Ktośkolwiek jest, nie pytam, u nas na Podlasiu prawo takie: kto w wesele wpadł, ten się z nim weselić musi, nic nie pomoże. Zabieram was do dworu! Tak mi Boże dopomóż, choćby konie gwałtem wyprzęgać przyszło.

Paczura mu się przedstawił, a tego mu trzeba było, aby go przyaresztowano. Więc u arendarza wyprosiwszy izbę, którą od bachurów uwolniono, tłumoczek kazał zanieść, wymył się, odział, wyświeżył, najlepsze odzienie wziął i z Matuskim, który już nie puszczając czekał nań, puścił się do dworu.

Dwór był stary, koszlawy, niepozorny, pod słomą, ale w nim świeciło we wszystkich oknach, dymiło ze wszystkich kominów, wrzało i gotowało się; już nie dojeżdżając do niego słyhać było basetłę, a bliżej całą muzykę i cymbały.

Okna stały pootwierane, a wewnątrz widać było wywijające pary i starych z kielichami do góry podniesionymi. Ścisk był ogromny, w sieniach pełno, ganek jak nabity, w nim latarnie dwie, ze stajni pożyczone, słabo oświecały kielichujących sąsiadów. Za dworem palono z moździerzaków na

wiwat!

W dziedzińcu nawet czeladź na trawie płaśała, korzystając z muzyki, która, przez okna otwarte wybuchała na podwórze. Chwilami wśród tej wrzawy podnosiły się krzyki jeszcze silniejsze nad nią, nad muzykę i moździerze. Wiwat! Zdało się, że domowstwo stare rozsada.

Był to już, jakeśmy mówili, dzień wesela drugi, wszyscy pod hełmem, rozochoceni, humory królewskie, serdeczności takie, że jak się w ganku wzięli ścisnąć przyjaciele, oba się na ławę walili. Dopieroż śmiech... W prawo, w salce, widać było beczkę węgryzyna, na widełkach stojącą, z której raz w raz napełniano gąsiorki, a drudzy wprost do niej szklanki przystawiali.

Choćby człowiek żelazny był albo marmurowy, gdy w taki popadnie kipiątek — czterma by go literami nazwać trzeba, żeby nie poczuł w sobie ducha i żeby się nie rozgrzał.

Wacek jeszcze jak żyw w opałach takich nie bywał. Gdy go Matuski na ganek wprowadził — nie pytano ni kto, ni co, ni skąd; gospodarz ojciec, człek jak baryła, czerwony, przystąpił doń z kielichem i naprzód zdrowie jego wychyliwszy, począł go konwinkować⁵⁵.

— niesprawiedliwość by się nam stała, a równości szlacheckiej krzywda, gdybyś asindziej nie wyrównał się z nami co najmniej kieliszkami trzema. Jakem pocziw, za kołnierz wyleję, a zechcesz się bić — no to stoję...

Wacek wypił, węgrynek był lekki i połykać się dawał dobrze, a on głowę miał nie dla proporcji. Ucieszyli się wszyscy, więc nuż go sobie z rąk podawać, aby tak godnego obywatela wyściskać. Myślałby kto, że go od wieków znali. Ale co tam — kość z kości! Szlachcic prawy... Za kołnierz nie wylewa... Zaczęto go kochać niezmiernie.

— Wpadłszy między wrony, krakaj jak i ony! — mówił sobie Wacek. Wzięli go z ganku do tańca, a że żwawy był i chłopak urodziwy, tu go znów porywano i musiał wszystkie panie w ręce całować, a mało z którą nie przetańcować.

Kobiety także nie bardzo dopytywały, kto go rodzi i skąd, bo mu z twarzy dobrze patrzyło i rażny był, a słowa mu nie brakło. Caluteńką noc porwany tak w czarodziejskim owym kole spędził, jedząc, pijąc, tańcząc, śmiejąc się, ścisnąjąc i nie mogąc prawie oprzytomnieć, co się to z nim działo...

Gdy dzień się zaczął robić, pozamykano okiennice i dotańczono do słońca. Na ostatek nóg zabrakło, ci, co pili, pospali się w ganku, młody Matuski, litość mając nad podróżnym, zaprowadził go do szopy na siano, gdzie już dery i kilimki były posłane — i tu na spoczynek legli. Czas było. Na Wacku koszula, choć wykręcać, mokrusieńka, a pot się z czoła lał, ledwie dyszał. Młodemu jednak z tym i zdrowo, i dobrze... Padłszy na siano, zasnął kamiennym snem do południa.

Wstali dopiero do wódki i przekąski, bo po hulatyce kieliszek wódki i ogórki kwaśne naówczas uważane były za najlepsze lekarstwo. Nie od rzeczy bywał i bigos, gdyż siły wyczerpane krzepkiego pożywienia wymagały. Jedli też wszyscy tak uczciwie i sumiennie, że wkrótce na stole nic nie było, a muzyka *iterum iterumque*⁵⁶ do przerwanego tańca wabiła i Matuski już w pierwszą parę polskiego prowadził starą podkomorzynę.

Wacek tego dnia, po spędzonej nocy w gronie miłych gości, był już tu jak w domu. Znał wszystkich z twarzy, uśmiechały mu się panie, choć prawdą a Bogiem połowa osób nie wiedziała, jak się nazywał, połowa wiedząc zapomniała, a on, oprócz gospodarza i jego rodziny, nikogo by nazwać nie umiał.

Dzień ten trzeci jakoś był spokojniejszy, wszyscy się pomęczonymi czuli. Wacek też ze starszymi siadł w ganku na lawie. Stateczny jakiś bardzo człek, podżyły już, z podbródkiem długim, czoło ogromne, wąs spuścisty, który głąskał ciągle — siedział obok niego. Rozmawiali o różnych rzeczach, podobali się sobie wzajemnie, aż ów sąsiad o nazwisko i procediacją⁵⁷ go zagadnął.

Powiedział mu o sobie Paczura, nie tając, kim był, ani się zbyt panosząc. Ten też wzajem mu się zarekomendował, jako... pan Benedykt Rewnowski.

Wacek aż podskoczył: — Co? Rewnowski?

Obraził się niemal sąsiad:

— A cóż to znów moje nazwisko acindzieja w taki podziw wprawia. Czyż go to nigdy w życiu nie słyszał?

— Przebacz mi pan — rzekł Wacek — obraży w tym nie ma, ani go to dziwić powinno; właśnie że mi to nazwisko znane jest, dlatego mnie, gdym tu je spotkał, tak zdziwiło.

— O la Boga! — ozwał się sąsiad. — A gdzieś to asindziej Rewnowskich spotkał — boć, o ile wiem, Rewnowskich herbu Równia nie ma więcej, ino ja jeden jedyny. Miałem brata, ten się nieszczęśliwie ożenił, majątność stracił, żonę słyszę odumarł, a ta z córką, już temu lat kilkanaście będzie, podziała się i jak w wodę wpadła. Cośmy się naszukali, śladu nigdzie nie znaleźliśmy. Tym nas to bardziej obeszło, że nam samym z jejmością Bóg, co dał dziątek, to pozabierał.

Mówiąc to patrzył Wackowi w oczy.

— Ile lat temu, jak bratowa pańska z owym dziecięciem zniknęła? — zapytał.

Obliczył na palcach Rewnowski, niezmiernie zaciekawiony pytaniem.

— A nie wiadomo panu, jak na chrzcie było imię owej córeczce? — dodał Wacek.

— Jak nie ma być wiadomo, kiedym metryki o to wertował! — rzekł sąsiad. — Imię jej było Konstancja...

Paczura w ręce uderzył i za głowę się pochwycił.

— O cudowne zrządzenie — zawołał — ja znam synowicę pańską!

Zerwał się Rewnowski, za ramiona go chwytając.

— Zbawco ty mój, dobrodzieju! Mów! Gdzie? Jak?

I nie czekając odpowiedzi, począł na cały głos wołać:

— Jejmość! Jejmość! Basieńku!

Mimo wrzawy głos ten widać doszedł do powołanej i wbiegła niespokojna w ganek kobiecina, małego wzrostu, otyła, z jasnymi włosami, niemłoda, ale jeszcze rumiana i świeża, z twarzą i drobnych rysach i nosku zadartym, który niegdyś bardzo być musiał wdzięczny.

— Co mój aniele? Co? — zaczęła wołać.

— Basieńku! Złoto moje! Cud, ten oto pan... jakże? — Paczura — zna naszą synowicę zaginioną, Kostusię Rewnowską.

Oboje przypadli do Wacka: — A mów! A zlituj się!

Nie rękając tedy za nic, całą historię panny Konstancji, tak jak ją niejedną raz z ust samej starościny słyszał, opowiedział Wacek — i dopiero mu teraz na myśl przyszło, że wprawdzie sierocie mogło to przynieść szczęście, ale nieochoybnie ją od niego oddalić. Ścisnęło mu się serce, ale już nie było co czynić, tylko dociągnąć z opowiadaniem do końca. A tu i inni cisnąć się zaczęli i tumult powstał dokoła, bo sobie tę historię cudowną z ust do ust podawano. Stary Matuski wziął z tego asumpt do kielicha, za zdrowie państwa sędziowstwa Rewnowskich i ich synowicy. Nie było już najmniejszej wątpliwości, iż to dziecię zaginione w wychowanicy starościny znaleźć się miało. Wacek jednak czynił tę uwagę, że niemało już rodziny poszukiwano, że właśnie w tych stronach o nią dopytywano, i że starania były nadaremne.

— To źle nas szukali — rzekł sędzia — a do tego dodać trzeba, że w zapadłym kącie mieszkamy i gdyby istny fortuny kaprys nie przyniósł tu oto właśnie na te dni waćpana, pozostałaby ona sierotą, a my bez wieści o niej.

Umówił się zaraz Rewnowski, iż sam miał z Wackiem jechać do starostwa Śniehotów, a gdy w nim przyjaciela sobie pozyskał Paczura, nie wahał się już wyznać przed nim, z czym tu przyjechał, rady prosząc i pomocy.

Sędzia był człowiekiem bardzo rozumnym i w obywatelskich sprawach biegłym, nakazał tedy Wackowi milczenie i sam się z Matuskim o to mówić podjął, rękając, że jeśli papiery są, to je mieć będzie. Trzeba jednak było pochmiele weselne przeczekać i jeszcze z państwem młodym przenosiny odbywać.

— Na to już nic nie pomoże — dodał sędzia — kiedyś grzyb, leż w kosz, trafiłeś na wesele na Podlasiu, tu ci nie darują, musisz dopić i dojeść, co należy, boby się ludzie za pokrzywdzonych uważali.

Stało się, jak pan sędzia Rewnowski powiedział. Całe towarzystwo prosto stamtąd, gdy już ostatnia beczułka węgryzna z lagrem⁵⁸ była dopita, ruszyło na przenosiny. Pan młody nie chciał się gorzej od teścia pokazać, więc pito *de noviter repertis*⁵⁹. Węgryzn lekki niczym by był, ale tu trafili na stare miody, tak zdradzieckie, że szły do ust jak ulepek dziecinny, pił każdy chętnie, bo mu

smakowało i do głowy zaraz nie szło — a gdy przyszło wstawać, nogi były jak popodcinane. Historie się więc tu działy, bo po tych miodach ludzie spali dwadzieścia godzin, niektórzy jak bobaki, a gdy się przebudzili, dziwna rzecz, głowy mieli lekkie, żołądki gotowe do jadła, i czuli się jakby cudownym lekiem orzeźwionymi. Jednak w powtórny starciu z tymi butelkami ostrożniejsi już byli i z respektem małymi kieliszkami cmoktali.

W drugim tygodniu dopiero Rewnowski mógł przystąpić do interesu swojego klienta. Poszło gładziuteńko. Matuski, wydawszy córkę wedle myśli, był bardzo szczęśliwy, papierami więc starymi wygodnie miłemu gościowi rad był serdecznie. Poczęto szukać w szafie i osobliwym szczęściem owe fascykuły brakujące, takimi samymi tasiemkami powiązane jak u starosty, znalazły się od razu. Matuski śmiejąc się ofiarował je, dodając:

— Szczęście, że ich pod placki nie użyto, bo na nie kolej była niedaleka, a dla mnie najmniejszej wagi nie miały.

Tak wyprawa ta na Podlasie, nieco z powodu wesela przeciągnięta, skończyła się triumfem Wacka z jednej strony, z drugiej niepokojem. Rewnowski go już nie odstępował, umówili się tylko, aby naprzód na probostwo do księdza Paczury zajechał i tam pozostał, dopóki by Wacek nie uprzedził starościny i panny Konstancji dla uniknięcia zbytniego wzruszenia. Na to zgodził się sędzia i po dosyć spiesznej podróży, około południa (było to jakoś w połowie maja) — stanęli w Borusławicach.

Ksiądz Paczura, który już o Wacka był niespokojny, bo i starosta się niecierpliwił, słał a dowiadywał się, czy o nim słychu nie było — powitał go nadzwyczaj uradowany. Rozumie się, że i gościa nieznanego, swoim zwyczajem, przyjął sercem całym. Cóż dopiero gdy się dowiedział, co to za gość był i co on wiozł ze sobą. Z podziwienia wyjść nie mógł nad osobliwym zrządzeniem Bożym.

Sędzięgo tu zostawiwszy, Wacek, nie mając czasu odpoczywać, natychmiast proboszczowskimi końmi pobiegł do Zalesia.

Starosta, dowiedziawszy się o nim, byłby z niecierpliwości wyszedł naprzeciw, gdyby go obrzękła noga nie zatrzymywała. W progu zobaczywszy Wacka, ani witał, wołając tylko:

— Są papiery? — Są!

— A toś mi łebski! — krzyknął starosta — dawaj, co żywo...

Nie pytając ani jak je dostał, ani dlaczego tak długo bawił, ani o nic więcej, stary natychmiast okulary nałożył i drżącymi rękami schwycił fascykuły, które szczęściem przy sobie miał Wacek. Już po tasiemkach poznał, że były z tej samej kancelarii i to go rozradowało, począł przerzucać żywo rękami, które mu się z radości trzęsły, lice mu się rumieniły — szczęśliwym był na chwilę.

— Jak mi Bóg miły! Złotym jesteś człowiekiem! Konia z rzędem mieć będziesz... i jeszcze coś w dodatku.

Wacek począł się tłumaczyć, iż zabawił długo z powodu wesela, i opowiadać *gradatim*⁶⁰, jak do

papierów przyszedł. Zdało mu się to najlepszym sposobem przygotowania starosty do drugiej nowiny, nie mniej niespodziewanej od zdobycia papierów. Starosta słuchał dość roztargniony, ale gdy przyszło do poznania się z Rewnowskim, w ręce piasnął i począł na cały głos wołać:

— Jejmość! Jejmościuniu!

Pani starościna, siedząca aż w trzecim pokoju, posłyszała i przestraszona nieco nadbiegła, myśląc, że się, uchowaj Boże, co stało. Zobaczywszy Wacka, trochę się uspokoiła.

— Mów *ab ovo*⁶¹ — zawołał starosta — mów.

Wacek znowu rozpoczął opowiadanie. Słuchała go jejmość poruszona. Nazwisko usłyszawszy, krzyknęła z lekka i przeżegnała się, widać było, że ją jakaś trwoga ogarnęła. Nie wiedziała, czy się cieszyć, czy płakać, boć najukochańszą wychowanicę swą, którą jak dziecię miłowała, utracić miała. Pobladła, spuściła oczy, milcząc odmawiać się zdawała jakąś modlitwę...

— Nie powiem, żebym ja waćpanu za to odkrycie była wdzięczną — odezwała się — ale Bóg tak chciał, by sierota znalazła rodzinę, a ja żebym miała zrzeczność ofiarę dopełnić.

Zamyślona, przeszła parę razy po pokoju.

— Chodź waćpan — odezwała się do Wacka — sam jej to opowiesz, ja nie mogę.

Łzy z oczu jej płynęły; płakała rzewnie. Szedł Wacek posłuszny, zmuszony po raz trzeci powtarzać swoją przygodę. W pokoju starościny siedziała panna Konstancja u krosien. Nim do niego weszli, jejmość starannie oczy otarła i od progu odezwała się:

— Oto pan Paczura z drogi powraca. Posłuchaj no Kociu, kogo on tam spotkał i co mu się trafiło. Może to i ciebie obchodzić będzie.

Panna Konstancja zarumieniona patrzyła na starościneę i wchodzącego, któremu głową skinęła.

— A cóż to się mnie tyczyć może — odparła po cichu i obojętnie. Waclaw usiadł nieco z dala, drżał. Myślał, co przynosi z sobą i z ust mu nie szły wyrazy. Pani starościna czekając stała.

— Mów waćpan... Tak czy owak, powiedzieć przecie potrzeba.

Na pół cicho wymówione wyrazy doszły widać uszu panny Konstancji, która pobladła. Teraz ją to dopiero uderzyło, że coś istotnie jej się tyčącego mógł przywieźć Wacek. Złękniiona wstała od krosien. On milczał.

Tym razem nie chciał już wchodzić w szczegóły i rzekł po namyśle:

— U państwa Matuskich wypadkiem spotkałem się z panem Benedyktem Rewnowskim, który dowodzi, że jest stryjem pani.

Panna Konstancja słuchała, jakby nie wierzyła uszom.

— Ja miałabym na świecie krewnych? — zawołała. — Stryja? Ale czyż to może być?

On sam to przyznaje — odezwał się Wacek — a tak mu pilno było poznać panią, że ze mną razem przyjechał. Zostawiłem go na probostwie w Borusławicach.

Stała Konstancja niema, spoglądając to na mówiącego, to na starościny, aż w końcu do nóg się jej rzuciła.

— Dobrodziejko moja — odezwała się, płacząc — nie wiem czy mam stryja, ale w tobie znalazłam matkę i dla mnie ty nią być nie przestaniesz nigdy!

Splakały się obie. Więcej smutku niż radości to przyniosło. Wacek naówczas oświadczył, że sędziostwo Rewnowscy byli bezdrietni, majątni, wielce na Podlasiu poważani ludzie — i że to znalezienie rodziny za szczęście uważać się mogło.

— Mój Boże! Ale oni mi ją zechcą odebrać — wołała starościna — a co ja bez niej pocznę...

Panna Konstancja równie poruszona płakała. Obowiązki względem rodziny i poszanowanie dla tych, co ją reprezentowali, takie naówczas było, że sprzeciwić się oddaniu synowicy stryjowi i przeczyć mu do niej praw nikt nie mógł ani pomyśleć.

Niemal z wyrzutem spojrzało dziewczę na Paczurę.

— Nie dziękuję panu — rzekła po cichu — ale tak Bóg chciał, byś był narzędziem woli Jego.

Wyszła panna Konstancja ze starościny zaraz, a w kilka minut cały dwór już wiedział, co się stało, i wieszowano zapłakanej.

Z panem sędzią umowa była, aby on, spoczawszy, w parę godzin po wyjeździe Wacka, przybył do Zalesia. Tak się też i stało. Sędzia ubrany odświętnie, przy karabeli, wyświeżony, wygolony, w karmazynowych butach, stawiał się w ganku, gdzie nań i marszałek dworu, i Wacek oczekiwał, ażeby go zaprowadzić do państwa, już przysposobionych na przyjęcie jego. Strwożona wielce panna Konstancja wyprosiła sobie, ażeby dopiero po chwili przyjść mogła.

Jak sędziemu, tak staroście na swadzie nie zbywało, a bez frazesów i komplementów nie mogło się obejść przy pierwszym poznaniu. Sędzia na karabeli zawiesiwszy czapkę, stanąwszy w pozycji malowniczej, skłonił się staroście.

— Za szczęśliwy ten dzień i, zaprawdę, *albo notanda lapillo*⁶² konsyderuję⁶³ gdy mi fortuny łaska dozwala przestąpić progi domu JW. Państwa Starostwa i cześć im moją złożyć, do której dziwne a *inpenetrabiles*⁶⁴ Opatrzności dekreta wdzięczność mi *coniungere*⁶⁵ nakazują. Niechże łaskawym sercem przyjętym będzie tych afektów wynurzenie i czołobitność moja.

Na co starosta, nie mogąc wstać i na nogi swe wskazując, odpowiedział nie z mniejszym animuszem:

— Widzisz mnie waćpan dobrodziej podwójnym utrapionego cierpieniem, gdy *aegritudine*

*fractus*⁶⁶ nie mogę, jak bym chciał, tak dostojnego uczcić gościa. Lecz choć nogi posługi odmawiają, serce do stóp jego składam najuniżeniej.

Starościnę w rękę pocałowawszy, tak dalej wiódł sędzia:

— Łaskawy *nuntius*⁶⁷ który mnie tu poprzedził, wyraził już zapewne, co mnie tu do domu JW. Państwa sprowadza. Cud łaski Bożej, której dekreta są niezbadane... Sierotą tu przybyłem, z odzyskanym dziecięciem i sercem przejętym *beatitudine et gratitudine*⁶⁸ odjadę...

Złożył ręce jak do modlitwy, gdy wtem właśnie, wylękła a blada, weszła krokiem nieśmiałym panna Konstancja, oczyma już z dala trwożnymi nowego mierząc opiekuna, który acz nie wiedząc jeszcze kto była, domyślił się synowicy i ręce ku niej wyciągnął. W twarzy sędziego tyle było dobroci, w oczach łzy widoczne... jakby krew przemówiła.

Pod wrażeniem tego przyjęcia, tak serdecznego, poruszyła się ku niemu i panna Konstancja, do kolan jego przypadając, lecz wnet ją w ramiona pochwycił.

— O! Jakże pięknieście ją państwo wychowali, jaki cudny z niej kwiatek! — zawołał. — Niech się napatrzę, niech nacieszę, a nade wszystko niech *ex corde intimo*⁶⁹ naprzód i uroczyście poręczę, iż w nas znajdziecie nie stryjostwo, ale afekta rodzicielskie i miłość ojcowską a macierzyńską!

Płynęły łzy wszystkim przytomnym, a nikt już się na słowo zdobyć nie mógł; starościna z głową spuszczoną usiadła smutna, za rękę chwytając wychowanicę, jakby się lękała, ażeby jej nie odebrano.

Wszczęła się wnet rozmowa o bracie sędziego, a ojcu panny, i jego losach, starościna zachowaną okazała metrykę i papiery, które poświadczały jak najmocniej, iż istotnie sierota była synowicą sędziego. Starosta jednak długo o tym prawić nie dał zaraz o innych przedmiotach *de publicis*⁷⁰ poczynając i o stosunkach obywatelskich, rodzinach, koligacjach, a na ostatek o swoich procesach.

Sędzia, który też z prawem do czynienia miewał i, jak każdy niemal szlachcic naówczas, był *iuris peritus*⁷¹, mógł staroście stawić czoło. Puścili się w opowiadania i kontrowersje, które obu żywo zajmowały. Starościna tymczasem z Kostusią szeptały po cichu. Dopiero się od gospodarza uwolniwszy mógł sędzia, na osobnej rozmowie z synowicą, poznać i ją bliżej i przekonać się, jaki to skarb mu dała w niej Opatrzność. Przy czym ponownie ręce starościny ucałował, dziękując za to wychowanie dane sierocie, jakiego by się i pańskie dziecko nie powstydziło.

Taki wieczór upłynął cały, a starosta zapowiedział odchodzącemu do gościnnego pokoju sędziemu, iż go nie puści uczcić chce w domu swoim. Panna Konstancja, uspokojona nieco, odeszła ze starościna.

Rozumiało się samo z siebie, iż dni kilka sędzia tu zabawić musiał, a starościna zapowiadała, iż teraz mu wychowanicy nie odda, ażby po nią z żoną przybył. Chciała też się z tą myślą oswoić.

Wacek, choć go nazajutrz do towarzystwa sproszonego wokował⁷² starosta, wymówił się tym, że lasy kilka tygodni stały nie opatrzone i że objechać, co ważniejsze przynajmniej, jest obowiązkiem.

Do dnia więc ruszył smutny jak noc i sam nie wiedział, jak naprzód się do brata skierował. Prawda, że folwarczek jego w lesie był położony, otoczony lasem, i droga dalej tamtędy wiodła.

Wicek na maleńkiej swej dzierzawie, namiętnie, powiedziec można, gospodarzył, cały będąc oddany temu zajęciu od rana do nocy. Dworek, który odnowił z gruntu, maleńki, schludny, wybielony świeżo, na nowo pokryty, bardzo się ładnie prezentował. Całe zabudowanie dworskie gęsto się około niego skupiało. Tuż była stodoła z drzewa tartego stara i w dobrym stanie, obora w kwadrat zabudowana, w pośrodku której bydło mogło swobodniej pobrykać, szopy na siano, stajnie, chlewy, daszki na pokrycie drzewa... Wszystko to, połączone płotami, stanowiło jedno obejście i gospodarz miał na oku chudobę i mienie swe całe. We dworze naprzeciwko pod ręką też była czeladź. Prawda, że, uchowaj Boże ognia, w takiej ciasnocie wszystko szło razem w perzynę, ale Bóg od tego chował. Na dachu, do komina wiodąca, stała drabina i wycierać go nie zapominano, a z ogniem obchodzono się tak, jak się z ogniem obchodzić powinno i popioły wyrzucano tylko tam, gdzie nic od nich zapłonąć nie mogło.

Na gospodarstwo Wickowe miło było spojrzeć, bo i czeladź pucowałato a rumiano wyglądała, i bydełko się lśniło szerścią, jakby wodą zlaną, i konie były tłuste, i stworzenia wszelkie wypasione były i wesołe.

Dziedzińczyk jak zwierzyniec wyglądał. Nie brakło na dachu gołębi, na płotach kur i krzyczących jak muezziny⁷³ mużułmańskie godziny kogutów, i sunących chodem otyłych stworzeń kaczek, i złośliwych gęsi, i indyka, któremu się zdawało, gdy się napuszył, że on tu był królem. Najbrzydsze ze stworzeń, kłapouche nawet świnię, wyglądały wyelegantowane i jak umyte.

Rozumie się, że ten dobrobyt powszechny głośnymi krzyki i butą wielką się wyrażał. Stworzenia te chodziły niezmiernie zajęte, śpiesząc się, nadymając i zuchwale stając do walki. Dwa koguty były dla starej gospodyni wiekuistych skarg powodem, bo po całych dniach naprzeciw siebie z dziobami ku ziemi stały i czubiły się potem tak, że piór pełno leżało na pobojuwisku. Dwa psy podwórzowe, Kruczek i Żuczek, niby nadzorcy tej rzeszy, zwykle na przyzbie lub u proga leżały, ze spokojem stworzeń, których żołądek nie jest próżny.

Właśnie był Wicek przyjechał z pola i chłopak mu konia wodził po podwórzu, a on się kromką razowego chleba z solą do obiadu przysposabiał, gdy Wacek u bramy stojąc, zawołał:

— Jest pan?

Wybiegł ze drzwi z odpowiedzią on sam i ręce wesoło wyciągnął, ale zobaczywszy marsa na twarzy brata, podbiegł mu naprzód wrota otworzyć.

— A cóż! Podróż? Chyba bez skutku, żeś taki posepny? Wacek z konia zsiadł.

— Gdzie zaś! — zawołał. — Skutek podróży osiągnięty, nawet taki, jakiego się nikt z nas nie spodziewał. Wiozę ci nowinę, z której bodaj i ty, jak ja, nie będziesz bardzo rad.

Szli razem, pod ręce się pobrawszy, do dworku. Izba, w której Wicek przyjmował, czyściuchną była, lecz ubożuchną, znać w niej zaraz kawalera było, trochę myśliwca, a lubiącego ład człowieka.

Prawda, sprzęt nie wykwinął ją zajmował, ale wymyty, czysty, świecący niemal. Nie walało się tu nic, bo każda rzecz miejsce swe miała.

— Mówże, mów — odezwał się Wicek — co się to stało...

Po raz nie wiedzieć już który Paczura musiał bratu rozpowiadać swoje osobliwsze na wesele do Matuskich przybycie i ową przygodę nie do wiary z Rewnowskim. Wicek włosy, słuchając, na głowie rozrzucił i kręcił się jak oparzony: nie rzekł nic, ręce tylko potem załamał, wlepił w podłogę oczy i odszedł milczący.

— Hej! Hej! — rzekł nierychło. — Jedyłą pociechę oczów naszych stracimy! Bóg widzi, wyrzekłem się ja wszelkiej nadziei — ale choć w niedzielę na mszy, choć u stołu starostwa popatrzeć na nią, jakby się człek nektaru napił. Tydzień człowiek żył potem, przypominając. I to przepadło.

— Ha! Lepiej może — rzekł Wacek — biorą nam ją losy, abyśmy się nie durzyli daremnie. Wie Bóg, co robi. — Ano, prawda — westchnął po chwili — że mnie też życie obrzydnie, ochota od pracy odpadnie. Chce się czegoś w świat, aby zapomnieć...

— Jasna to rzecz — odezwał się Wicek — że teraz już o niej ani pomyśleć. Bogaciż to ludzie?

— Zawsze wiosek parę mają, a sąsiedzi i o kapitałach przebąkują...

— I trzeba też było — dorzucił, w stół uderzając ręką, Wicek — abyś to ty był tak szczęśliwym i familię jej odnalazł.

— Oj! Szczęśliwym! — wtórował ironicznie starszy. — Pięknie szczęśliwy!

— Któż to wie! — przebąknął Wicek, spoglądając nań z ukosa. — Może ci się Rewnowscy wywdzięczyc zechcą... Ty... ty jeszcze masz choć asumpt do jakiejś nadziei, aleja... ja...

Padł Wicek na ławę. Choć starszemu do lasów było potrzeba, jak zaczęli mówić o pannie Konstancji, zagadali się niemal do wieczora. Dopiero słońce już zachodzące zobaczywszy, Wacek konia sobie podać kazał i w las z desperacką miną pokłusował. Wicek się tak zapomniał, że parobczak dopiero, przychodzący po obroki, obudził go z zadumy; porwał klucze i pospieszył do gospodarstwa. Ale teraz, teraz mu ono prawie było obojętnym — myślał tylko, co począć... To się wyrzekać chciał panny Konstancji, nic nie mówiąc nikomu o tym, to znowu na odwagę mu się zbierało, żeby się jawnie oświadczyć, a harbuza dostawszy, mieć już spokojne sumienie. Ta myśl go coraz bardziej rozpałała.

— Dlaczego, nim ona wyjedzie ze stryjem, nie mielibyśmy szczęścia popróbować?

Ale bez brata uczynić tego nie chciał i bez narady z nim. Żał mu teraz było, iż mu tego nie powiedział, a nimby się z nim spotkał, czasu dużo mogło upłynąć.

Wiedząc drogę, którą się puścił Wacek, choć wieczór już był późny, konia kazał kulbaczyć i poleciał. O półtorej mili w chacie leśnika na noclegu spodziewał się schwycić brata. Tak mu pilno

było, że konia zhasał, i gdy do chaty przybył, szum⁷⁴ na nim stanął. Zaraz po koniu, którego do wody prowadzono, poznał, że go tu zastał.

Zdziwił się Wacek i nastraszył.

— A ciebie tu co przygnało?

Spostrzegł, że ten był jak w gorączce.

— Co mnie przygnało? Nazywaj, jak chcesz, *mente captus, stultus, asinus*⁷⁵ jestem, jak ksiądz prefekt mawiał w szkole. Nie mogłem wytrzymać; przybiegłem na radę. Daremna rzecz... ja, ja... choć popróbować muszę, nim nam ją zabiorą. Słuchaj mnie. Cóż to, ubogiemu się nie wolno swatać do majątniejszej? Odmówią, wyśmieją — mniejsza o to; wszystko to lepsze, niż się z tym brzemieniem nosić.

Wackowi, słuchającemu, piersi się też podniosły.

— Nie gadaj no! — przerwał. — I mnie się tego samego zapragnie, jak Bóg Bogiem! Masz słuszność. Dadzą odprawę, korona nie spadnie z głowy, pójdę w świat.

— Ano — powtarzał zamyślony — co ma być, niech się sobie stanie... Wicek spojrzał nań z wyrzutem.

— Więc oba będziemy szczęścia próbowali? — zapytał.

— Czemuż nie!

— Któryż wprzód? — podchwycił młodszy.

— Słuchaj Wicek — zawołał drugi — kiedy ci to na myśl przyszło, że rychlej wskóra, kto pierwszy przyjdzie — to ty jej nie znasz... Albo to jej pilno? Albo taka jak ona da się słówkami ująć? Ale... ale...

— Prawda to, zatem — porywczo zaczął młodszy — zatem po starszeństwie... na waści kolej, ja odstępuję, ale spiesz się, daję ci dzień, dwa, do niedzieli, jeśli chcesz. W niedzielę przyjadę do Zalesia i — na pieniek głowę. Stań się wola Boża... A pamiętaj — dodał — że rezolucja ta nie z czyjej wyszła głowy, tylko z mojej.

— Myślisz, że ja tak samo nie chciałem uczynić? — odparł Wacek. — Bóg mi świadek — wahałem się tylko, wahałem, a tyś mi swoją rezolucją podbił bębenka. Kiedy ginąć, to ginąć... Ano potem, gdy mi rekuzę da, starostę pożegnaj — nie chcę tu być. — Popatrzał na Wicka, który stał o płot oparty. — A ty?

— Albo ja wiem, co zrobię? Mnie trudniej — odezwał się młodszy. — Dzierżawy tak pośród roku porzucić niepodobna, ja się domęcze do czasu, ano w Zalesiu nogą nie postanę! — dodał gwałtownie. — My tam tę truciznę pijemy, od której szalejem. Patrzymy się jej w oczy i duru dostajemy od nich. Komu się w głowie kręci, ten nie wie, że łązić nie powinien. Tak, nie postanie

tam noga moja, a jak umrę z tęsknoty za nią, no to co? Chyba po mnie stary stryj i stara Magdalena zapłaczą. A może głupi Bartoch... Świat się beze mnie obejdzie! Oba jakoś w desperackim byli usposobieniu.

— Słuchajże — dodał, konia swojego dosiadając, Wicek — masz do niedzieli czas. Ruszaj przodem i szczęść ci Boże.

— W szczęście nie wierzę — poważniej i spokojniej rzekł Wacek — ale masz słuszność, człowiek wiedzieć powinien, jak stoi. Tak lepiej. Po co się okłamywać.

I rozstali się, ręce sobie podawszy.

Była sobota — mrok padał, starościna siedziała na poufnej, cichej rozmowie z sędzią, który pochylony ku niej, coś jej półgłosem, dobitnie bardzo opowiadał, takt ręką wybijając na kolanie.

Kiedy niekiedy słyhać było głos podniesiony mimowolnie i natychmiast przechodzący w szept poufny. Widocznie przedmiot to był ważny nader, jeśli nie dla pani starościny, która opowiadania słuchała z pewnym rodzajem rezygnacji obojętnej, to dla sędziego, animującego się bardzo.

Panna Konstancja, jakby dla nieprzeszkadzania rozmowie, usunęła się była ku trzeciemu oknu i przez nie na dziedziniec spoglądała. Okno było otwarte, z podwórza zalatywała woń bzów rozkwitłych i czeremchy. Słowik niedaleko nucił swą wieczorną piosenkę. Cicho było, a tak rozkosznie smutno, jak bywa na wiosnę. Natura nawet gdy w rozkwicie, gdy najweselszą jest, gdy się śmieje — ma łzy na powiekach, ma niewypowiedzianą na zielonych szatach tęsknijcę. Życie się podtrzymuje śmiercią i ból graniczy ciągle z rozkoszą... Czy słuchała panna Konstancja słowika, czy się napawała powietrzem, czy myślała może, jak jej przykro będzie to miejsce, od dzieciństwa ukochane, porzucić? Łza zdała się wzbierać pod powieką, oczy jej patrzyły, nie widząc, myśli gdzieś były daleko.

Z obawą i nieśmiałością, po cichu, jakby walcząc z sobą, zbliżał się ku niej Wacek. Szedł i siły mu się zdało braknąć — i stawał, rumienił się, bladł, aż wreszcie zdobywszy się na odwagę, przystąpił.

Panna Konstancja zwróciła powoli ku niemu główkę, jakby się go spodziewała, nie okazując zdziwienia.

Przystąpił blisko, popatrzał i szepnął cicho:

— Czyż pannie Konstancji nie smutno będzie nas opuszczać?

— A! Bardzo... bardzo — rzekła cicho — myślałam o tym właśnie. Stryj jest dobry dla mnie, nie wątpię o stryjence — ale kto mi serce mojej anielskiej starościny zastąpi!

— Nie stracisz go pani!

— Daj Boże! To wiem, że moje przy niej zostanie. Było mi tu jak w raju, ale człowiek do niego

stworzony nie jest. — I westchnęła.

— Pani trochę żal będzie Zalesia — mówił Wacek — ale nam tu wszystkim po niej choć z tęsknicy umierać...

Począł troszkę; oczy miała spuszczone i nic nie odpowiedziała.

— Czyż pani nie czuła, nie widziała — ciągnął po chwili — jak ją tu kochano?

Rumieniła się twarz panny Konstancji, spojrzała trwożliwie ku staroście, jakby pragnęła być odwołaną, ale sędzia i ona zajęci byli tak mocno rozmową!

— Panno Konstancjo dobrodziejko — dodał — mnie odjazd pani, jak nożem w serce — zabije... Ja... ja, o mój Boże, choć niegodnym się jej czuję, ja... pani się domyśli... Dla mnie bez niej szczęścia nie ma na świecie.

Mówił jękając się, przerywając, łykając wyrazy, a panna słuchała, oczu nie podnosząc, tylko widać było w niej poruszenie, które hamować usiłowała. Ręce jej drżały.

Skończył — nie mogąc długo doczekać się odpowiedzi, szepnął:

— Przebacz mi pani, jeżeli ją obraził.

Wtem powieki jej się podniosły — oczy miała mokre. Chciała mówić i wahała się...

— Ja od siebie nie zależę — rzekła.

— A gdybyś pani od siebie zależała? Niechże wiem wyrok mój! — zapytał Paczura.

— Gdybym zależała od siebie — zaczęła drżącym głosem — nigdy bym nie mogła ręki oddać nikomu, choćbym serce nawet oddała. Taka jest dola moja. Nie mogę powiedzieć, dlaczego... Pan byś nie zrozumiał. Jeśli mi wolę zostawię — ja za mąż nie pójdę.

Wacek spoglądał na nią, chcąc odgadnąć przyczynę; nie dała mu przegłądać się w swych oczach i dodała żywo:

— Ja panu spryjam, mam dla niego przyjaźń prawdziwą, zachowam mu ją na całe życie — wierz mi — ale żadnej nie dam mu nadziei, bo nie mogę, bo mi się nie godzi.

Podawała mu rękę, spojrzała bystro i odeszła. Wacek pozostał jak wkopany w ziemię. Co to znaczyć miało? Oświadczała mi przyjaźń, którą przez całe życie zachować obiecywała — a nadziei nie czyniła? Dlaczego za mąż wcale iść nie chciała? Wacek nie mógł z tego zrozumieć nic, wiedział tylko, że dostał osłodzoną odprawę, i że nic się już nie miał spodziewać.

Różne myśli błąkały mu się po głowie skołatanej, stał nie wiedząc, co pocznie. Dopiero głośniejsze coraz opowiadanie sędziego z tego snu go rozbudziło, obejrzał się, panny Konstancji nie było w pokoju — wyszedł i on, a raczej wywlókł się do ganku i upadł na ławę.

Tu powtórzył sobie, co słyszał. Znał nadto dobrze pannę Konstancję, aby mógł na chwilę powątpiewać o tym, że mówiła stanowczo i że słowo jej się zmienić nie mogło. Sam wywołał je — skończone było wszystko... Miałże tu pozostać? Zdało mu się to niepodobieństwem. Trzeba było Zalesię opuścić i w świat ruszać. Chciał tylko wprzód wypowiadać się stryjowi ze wszystkiego, wytłumaczyć mu przyczynę, a potem — zaciągnąć się do wojska. Tym sposobem straciłby z oczu miejsca, pozbył wspomnień i może by mógł, zapomniawszy przeszłości, odżyć kiedyś na nowo.

Jeszcze z tymi gorzkimi myślami wzdychając walczył, coraz mocniej utwierdzając się w zamiarze zaciągnięcia do cudzoziemskiego choćby autoramentu, bo do kawalerii przystęp był ubogim niemożliwy, gdy sędzia się, nagadawszy ze starością, zjawił w ganku i postrzegłszy Wacka, wesoło przysiadł do niego, klepiąc go po kolanie.

— Co tu asindziej tak medytujesz, *solo basso*⁷⁶, he! Ponure myśli, he?

— Zachciałeś pan; jest zawsze myśleć o czym.

— A pewnie — rzekł sędzia — tylko młody powinien zawsze wesoło na świat patrzeć. Wszystko przed nim! He? — spytał.

Wacek zmilczał.

— Ja do waćpana mam interesik — dodał sędzia, przysuwając się bliżej do niego. — Dawno się już z nim zbieram.

Obejrzał się dokoła — sami byli.

— Winienem panu wielkie szczęście, kochany panie Paczura, *volens czy nolens*⁷⁷, oddałeś mi przysługę, za którą całym życiem wdzięczen będę — niemniej, Bóg widzi, chciałbym moją *gratitudinem*⁷⁸ okazać ci jawnie.

Wacek rękami strzepnął.

— Ależ posłuchajże — dodał sędzia. — Krzywdy ci nie wyrządę tym, co powiem. Asindziej mi się podobasz. Sytuację jego wiem, że nie masz nic. Że ci Bóg nie dał, temu winien nie jesteś. Starosta go szacuje, kocha starościna. Hm! Rozumiesz asindziej. — Tu mu się do ucha pochylił. — Jeżeli pannę sobie zyszczesz — ale to warunek *sine qua non*⁷⁹, jeżeli Kostusia zechce pójść za waszeci, masz moją rękę.

Wacek, pochwyciwszy ją z wielkim zapałem, pocałował.

— Tylko warunek *sine qua non*, aby ona sobie tego życzyła, bo my jej żadnego gwałtu zadawać nie chcemy. A com rzekł — *inter nos*⁸⁰. Przyjedź nas potem odwiedzić, pozostań, zabaw, staraj się... Jeśli wola Boża będzie...

Po pierwszym strapieniu doznany jakby snem zdało się to i marzeniem. Wackowi — nie posiadał się z radości. Przed chwilą zrozpaczony, powiedział sobie, że nadziei tracić nie powinien.

— A, panie sędzio dobrodzieju! — zawołał. — Nad zasługi mnie uszczęśliwiasz... dobroczyńcą moim jesteś. Mamże się taić? Od dzieciństwa kocham się w pannie, życia dla mnie bez niej nie ma.

— A ona? — spytał sędzia.

— Nie wiem — począł zmieszany Paczura, nie chcąc się przyznać do odmowy — nie wiem... Ani śmiem się, spodziewać. Jednak pod protekcją pańską, przy łasce jego, któż to wie, dostąpię może szczęśliwości tej. Kochałem ją sierotą...

— Jam bo się tego domyślał zaraz — rozśmiał się sędzia, który to brał wesoło — domyślałem się z wejrzeń na nią ciskanych. Młodzi się zawsze zdradzają. Bądź asindziej dobrej myśli... Panna skromna, niełatwo się jej wydać z afektem. Możesz się starać. A to rzecz twoja, żebyś się wystarał. I — jakoś to będzie! — rozśmiał się, Telepiąc go po ramieniu. — Mnie się coś zdaje, że to pójdzie po myśli.

Zawołano na wieczerzę, poszli, a Wacek jak pijany siadł w końcu stoła. Miejsce panny Konstancji nie było zajęte, starościna oświadczyła, że ją trochę głowa boli i że do stołu przyjść nie miała. Zeszła wieczerza cała na opowiadaniu procesu o nabyciu dóbr, dwaj prawnicy niezmiernie się rozgorączowali, spierając się o jakąś formalność i znaczenie prawne intromisji⁸¹, ale Wacek z tego i słowa nie słyszał.

Nazajutrz rano, ledwie z łóżka wstał, gdy Wicek się zjawił. Stanąwszy w progu spojrzął mu w oczy badająco, czytać z nich chciał wyrok swój. Brat podszedł ku niemu na pół wesoły, pół smutny.

— Nie gadaj mi długo — zawołał młodszy, widząc, że się Wacek zbiera na opowiadanie szerokie — tak czy nie?

— Ależ posłuchaj! Ani tak, ani nie!

— Nie mówiłeś z nią?

— Owszem — miej cierpliwość! .

— Niech cię... z twoją cierpliwością, ja jej nigdy nie miałem! — wołał Wicek.

Musiał jednak zebrać się na nią, bo brat mu uczciwie i szczerze począł swą rozmowę z panną Konstancją powtarzać.

— Tak mi Boże dopomóż — rzekł — słowo w słowo ci mówię, jak mi odpowiedziała!

Wicek się zerwał.

— Ano wola Boża, mogę ja popróbować! — krzyknął.

— Teraz słuchaj dalej — począł Wacek i spotkanie swe z sędzią, rozmowę z nim znowu dosłownie powtórzył.

Zbladł słuchając Wicek.

— Szczęśliwyś — rzekł — co mam mówić na to! Czyż mnie to ma zagradzać drogę? Nie wolnoż mi się odezwać do niej? Szczęścia próbować? Mów...

Wacek się namarszczył — widać było, że mu to nie szło w smak.

— Ja ci zabronić nie mogę — rzekł sucho. — Cóż mnie do tego? Nie mam prawa drogi ci zapierać.

— A jaż ci twojej nie zagradzam! — zawołał młodszy.

— Przepraszam — odezwał się z goryczą Wacek — juścić! Nie chce mnie ona dziś — toć się rozmyślić może, gdy mi wolno będzie zbliżyć się do niej i gdy mi ludzie, zamiast przeszkadzać, jak dotąd starościna, pomagają zechcą. Możesz ją teraz podchwycić, korzystając z momentu... albo ja wiem... Ano — rób co chcesz!

Przechadzał się żywo po izbie. Wicek się zadumał i czoło w rękach ukrył... Widząc go tak zafrapowanym, Wackowi przykro się zrobiło.

— Ja ci drogi nie tamuję — powtórzył — rób co chcesz.

Nie odpowiedziawszy nic, Wicek wstał ze stołka, zawrócił się i wyszedł z izby. Sam nie wiedział, co pocnie. W kapliczce ogrodowej dzwoniło pierwszy raz na mszę świętą. Czasu było dosyć na nabożeństwo, ale nie mając co czynić z sobą, ku niej się skierował Wicek.

Ludzie dworscy i niektórzy ze wsi nawet, poczynali się przede drzwiami gromadzić. Ksiądz Serafin szedł powoli do zakrystii. Unikając rozmowy i spotkania Wicek wszedł nieco w głąb ogrodu, zamierzając za drugim dzwonkiem pójść do kaplicy. Ledwie kilka kroków uszedł, gdy przed sobą zobaczył nagle z książką od nabożeństwa w rękach pannę Konstancję. Przestraszył się razem i uradował, zdawało mu się, że samo przeznaczenie stawiało ją na jego drodze, aby los się rozstrzygnął. Był jak w gorączce... Ona go witała, badając ciekawie oczyma.

— Dzień dobry!

— Panno Konstancjo dobrodziejko — począł żywo Wicek; oglądając się dokoła, czy ich kto nie słucha, przysunął się ku niej tak, że się o krok cofnęła — panno Konstancjo dobrodziejko, dla mnie to dzień albo będzie w życiu najlepszy, albo najniezwyklejszy. Pani... Panna trwożliwie się obejrzała.

— Co panu jest?

— Co mi jest? Oszalałem po prostu! — rzekł Wicek. — Panią nam zabierają... Czyż pani nie wiesz tego i nie widzisz, że ja się kocham śmiertelnie... że ja...

Złożył ręce na piersiach.

— Zabij mnie jednym słowem! — dodał. — Chwyciłem chwilę przyjazną, postępuję sobie jak wariat... Wiem to... ale w istocie szalonym się stałem przez tę miłość.

Zarumieniona, niespokojna, panna Konstancja zdawała się chcieć uciekać. Po namyśle podniosła oczy ku niemu.

— Widziałeś się pan z bratem? — spytała.

— Dlaczego to pytanie?

— Zapytaj go, proszę, com mu wczoraj odpowiedziała — mówiła Konstancja głosem smutnym — zapytaj go... i te same słowa, nie wyjmując, weź dla siebie. Sprzyjam panu, mam przyjaźń dla niego, zachowam mu ją wiernie, ale nadziei nie czynię — nie mogę.

To mówiąc, gdy Wicek chciał odpowiadać jeszcze, przesunęła się drożyną i pośpiesznym krokiem udała się ku kaplicy. Gonić było niepodobna.

— A więc obu nam jedna odpowiedź — rzekł w duchu — obu jedna odprawa. Ha, no! Z tą różnicą tylko, że on na to nie zważa i może się starać a zalecać — a mnie zamknięta droga na wieki.

Powlókł się do ławki pobliskiej i siadł na niej. Zdało się mu, że się znalazł nadto obcesowo, że sam może był winien, że pannę nastraszył takim wybuchem; powiedział sobie, że ją przecie jeszcze dnia tego spotkać może i odnowić rozmowę.

Drugi i trzeci raz zasygnowano do kaplicy, a Wicek nie słyszał, dopiero chłopak, który go tam siedzącego zobaczył, oznajmił mu, że czas na mszę, i napędził. Wszedł biedny, stanął u drzwi i modlić się nawet nie mogąc, przetrwał oparty o ścianę aż do końca...

Przed nim klęczała starościna, panna Konstancja, kilka sierot i sędzia, który z rozłożonymi rękami, na pół głośno z namaszczeniem odmawiał po łacinie modlitwy. Wacek stał także z boku, z twarzą smutną, nieustannie oczyma rzucając na brata, którego czerwoność i niepokój zdradzały poruszenie wewnętrzne. We drzwiach się wychodząc spotkali, lecz nie przemówili do siebie. Dnia tego gości było kilku, towarzystwo liczniejsze i, mimo zabiegów, Wickowi do panny bardzo się trudno zbliżyć było, co go do największej doprowadziło niecierpliwości.

Usiłując badać pannę Konstancję, Wicek z niej nic poznać nie mógł: miała, jak zwykle, twarzyczkę poważną, wyraz zamyślony, oblicze spokojne. Ani go unikała, ani mu okazywała gniewu, którego się obawiał. Ku wieczorowi dopiero, gdy Wacka odwołał starosta dla jakiejś skryptury⁸², udało mu się przysunąć do panny Konstancji.

— Pani się na mnie nie gniewasz?

— Za cóż? Nie wiem!

— A, dziś rano nie byłem przy zmysłach! — zawołał. — Wprawdzie i wieczorem toż samo czuję, to samo bym chciał powiedzieć — ale na kolanach błagam o miłosierdzie.

— A ja rano i w wieczór jedną mam tylko odpowiedź — odezwała się panna — wierz mi pan. Życzę mu jak najlepiej.

— A, zabijasz mnie pani...

— Panie Wincenty! — z wyrzutem odezwała się panna.

— Więc to nieodwołalny wyrok, dla nas obu? Z lekka zarumieniło się lice panny Konstancji.

— Nie może być inaczej — rzekła cicho.

— Nawet, gdyby mój brat miał zręczność, pozwolenie, czas... starania się o zmianę? — zapytał Wicek.

Pytanie to zdawało się niepokoić ją; podniosła oczy.

— Skądże pan wnosisz, że to być może? — zapytała.

— Mam powody do tego... A! Zazdroszczę mu. Zdaje mi się, że go nienawidzić zacznę, że choć bratu... wrogiem się stanę.

Gdy to mówił, przestraszona panna ujęła go za rękę.

— Na miłość Boga — szepnęła — ani pan mów, ani myśl podobnie! Czynisz mi przez to boleść największą.

I przerwawszy chwilę, dodała żywo:

— Daję panu słowo... tak, najuroczystsze... To się zmienić nie może, ale pan mi dać musisz słowo, że ku bratu gniewu, zazdrości mieć nie będziesz. Daj mi pan słowo... ja proszę, ja się tego domagam. Słowo?

Stłumionym głosem Wicek jęk raczej wydał niż słowo i odszedł. Panna pośpieszyła do starościny.

Tak się ten dzień skończył. Wicek, nie mówiąc z bratem, chciał odjechać do domu. Z dala spostrzegł, że powracającemu od starosty panna Konstancja kilka słów rzuciła przechodząc, i Wacek dopędził go na ganku.

— Czekaj — rzekł — potrzebuję mówić z tobą, proszę cię...

Zeszli oba razem w dziedziniec. Widać było, że starszy pełen był żalu i rozdrażniony.

— Cóżes to splótł przed panną Konstancją? — zawołał, zbliżając się. — Jakim prawem mogłeś jej o tym mówić, co się mnie tyczyło, a do ciebie nie należało?

Powiedział to głosem drżącym i gniewnym.

— Chciałeś mnie tym sparaliżować! Pannę uprzedzić, żeby się miała na baczości. Taki z ciebie brat!

Wicek słuchał, gryząc wargi.

— Tak jest — wygadałem się — potwierdził.

— Więc kwita z przyjaźni — dokończył Wacek, obracając się do niego tyłem. — Bywaj zdrów.

Ani słowa nie odpowiedziawszy, Wicek poszedł do stajni, zaprzęgać kazał i wyjechał. Wacek stał długo, wzburzony cały, i nierychło mógł wrócić do dworu, gdzie nań starosta czekał.

Tak znowu przyjaźń braterska rozbiła się o tę dziwną miłość obu — bez nadziei. Wacek już o wojsku nie myślał, bądź co bądź, choć mu panna Konstancja powiedziała wręcz, że staraniem jej postanowienia nie złamie, postanowił być cierpliwym.

Na pozór spokojniejszego charakteru i łagodniejszego usposobienia, w istocie był gwałtowniejszym od brata, a przynajmniej mocniej stał przy swoim. Zapamiętałe kochając, zapomniał się do tego stopnia, iż ufając w poparcie sędziego, mówił sobie: — Nie zechce mnie, nie pójdzie za nikogo, ktokolwiek się ośmieli posunąć do niej, wyzwę na rękę i obetnę. A zabije on mnie — co mi tam! O życie nie stoję!

Jeszcze dni parę, wstrzymywany ciągle, zabawił sędzia, wreszcie pożegnał starostwo oboje, czule się polecił synowicy i obiecując przyjazd swój z żoną zabrał się do odjazdu. Wacek nadskakiwał mu, jak mógł, służył i widocznym było, że o łaski jego zabiegał. Uderzało to wszystkich, widziała to i panna Konstancja. Nie tylko w Zalesiu tak tańcował około niego, ale wyjeżdżającego przeprowadził do Borusławic, do stryja, zapraszając go, aby na probostwo wstąpił.

I księdza na chwilę na stronę wzięwszy, wszystko mu wyznał Wacek, nic nie mówiąc o bracie; wyśpiewał i to, iż mu sędzia protekcję swą przyrzekł. Ksiądz Paczura, rozrzewniony, uściskawszy synowca, sędziego już nie wiedział, jak przyjmować i gdzie sadzić. Ręce przed nim składając, choć nie mówił za co i dlaczego, oświadczał się z wdzięcznością, powtarzając ciągle, iż w modlitwach swych wspominać ich będzie codziennie. Przy zręczności też rozwiódł się z pochwałami synowców, a szczególnie starszego, opowiadając o jego najlepszym sercu, statku i wszelkich przymiotach. Sędzia też potakiwał. Podano butelkę, zjawił się jakoś do niej Hołłowicz, który zabawić umiał, czas przeszedł wesoło, a Wacek, jeszcze na konia siadłszy, sędziego z pół mili dalej przeprowadził. Tymczasem Wicek, wróciwszy do domu zgryziony, rozmyślał, co z sobą ma czynić. Dumy w nim było przynajmniej tyle, co miłości.

— Nie chce mnie ona? Nie będę jej lazał w oczy, nie zobaczy mnie więcej. Skwitował brat z przyjaźni niechże będzie z nami kwita. Nie potrzebuję do Zalesia jeździć, ani się im na oczy nastęczać.

Raz tę myśl powziąwszy, Wicek nazajutrz zajadle się znowu wziął do gospodarstwa. Następnej niedzieli nie było go w Zalesiu, nie przyjechał i na drugą. Zamiast do kaplicy, ruszył do stryja. Ksiądz Paczura obu ich zarówno kochał, a zdawało mu się zawsze, że tego, którego nie widział,

miłował więcej. Już był stęskniony do Wicka. Zobaczywszy go, począł gderać.

— Kochany stryju, w domu roboty przez wierzch głowy, a czego nie dopatrzę sam, to przepada.

— Ależ niedziela, dzień Pański.

— To prawda, a śwynie i w ten dzień w szkodę chodzą — rzekł Wicek, śmiejąc się.

Tu stryj począł mu, myśląc, że nie wie o niczym, opowiadać o szczęściu Wacka, i o tym, jakie mu obietnice czynił sędzia.

— O tym ja wiem — odparł Wicek — ale z tego nic nie będzie.

— Jak to? A to dlaczego? — pochwycił proboszcz zdumiony.

— Dlatego, że Sanna mu wręcz oświadczyła, że go nie chce — rzekł Wicek.

— A ty skąd to wiesz? — zawołał ksiądz Paczura zdumiony.

— Z ust samego Wacka — mówił młodszy. Pochlebia on sobie, że pannę nakłoni, ale...

Posmutniał proboszcz. — Dlaczegoż on mnie o tym nie mówił nic? — Tego nie wiem — krótko urywając dokończył Wicek.

Uderzyło to księdza, iż brat o bracie jakoś się wyrażał kwaśno; przykro mu się zrobiło i pomyślał, że nazajutrz też starszego weźmie na konfesatę⁸³.

Cały dzień Wicek zabawił, ale on, co zwykle wesołym bywał, teraz chodził jak struty, odzywał się mało, wzdychał, i w końcu proboszcz, pogłaskawszy go po głowie, zapytał:

— Co tobie jest, ty mój zabiegliwy włodarzu? Czy szkodę masz w gospodarstwie? Czyś chory? Mów. Może ci potrzeba czego? Tobyśmy ci pomogli. Wicek go w ramię pocałował.

— Ale nic mi nie jest — rzekł ze śmiechem wymuszonym — ot, zwyczajnie, planetami na mnie humory przychodzą, co mam zważać na to! Chciałbym się z tej okolicy wynieść, powiem szczerze.

Ksiądz Paczura się przeżegnał.

— A toż co? — spytał. — Chcesz biedy szukać? Nadto ci tu spokojnie i dobrze? A gdzież znajdziesz drugiego starostę i drugą taką dzierżawę, gdzie cię o tenutę⁸⁴ nie pytają? Oszalałeś czy co?

— A, wszystko to dobre — rzekł Wicek, kręcąc się — to prawda — ale co na takim gospodarstwie zrobić można? Maciek zrobił, Maciek zjadł... Wolałbym gdzie u starosty w oddalonych dobrach rządcą być.

— Tak, i przez tę chciwość dla grosza, mnie i okolicę, gdzieś wzrósł, porzucić — wstydzilibyś się. Porzuć te grzeszne myśli i panu Bogu dziękując za to, co jest — siedź na miejscu. Wiesz

przysłowie o kamieniu... Ludzie, co się bardzo kręcą, rzadko się czego dobrego dobiją.

Wicek się już nie sprzeczał więcej i odjechał wieczorem, ale w myśli mu to tkwiło, ażeby się z okolicy wynieść. Chciał o tym mówić ze starostą, szło mu tylko o to, ażeby się w Zalesiu z panną Konstancją ani z bratem nie spotkać. Czekał sposobności.

Tymczasem pannę Konstancję musiało to uderzyć, że już Wicka więcej nie widziała i że wyraźnie od Zalesia unikał. Posyłał po niego Śniehota dowiadywać się, złożył się robotą w polu i niedobrym zdrowiem. Nie pojechał.

Wreszcie raz panna, która grzeczną zawsze będąc dla Wacka, unikała z nim rozmowy sam na sam, raz się do niego zbliżyła z pytaniem.

— Cóż to jest panu Wicentemu, że się ani pokaże?

— A, ja nie wiem — odparł Wacek.

— Przecieżbyś pan o bracie wiedzieć powinien. Nie widziałeś go pan?

— Nie widziałem.

— Ale to się nie godzi! Czyż nie jesteście z sobą jak dawniej?

— Od czasu, jak mnie zdradził, znać go nie chcę — rzekł Wacek. Panna Konstancja zarumieniła się zniecierpliwiona.

— Jeżeli ja mam być między braćmi powodem do niezgody — odezwała się — słowo panu daję, że do niego nie przemówię, nie spojrzę nawet.

— Cóż panią tak Wicek obchodzi! — począł starszy.

— Tyle co i pan — rzekła spokojnie panna Konstancja. — Zrobiłabym to dla waćpana z nim, co robię dla niego z wami. Jeżeli się panowie nie pogodzicie, nie będziecie po dawnemu... jak mnie pan żywą widzisz, ani spojrzę, ani przemówię.

Tych słów dokończywszy, na odpowiedź już nie czekając, odeszła żywo, a Wacek, mocno wzburzony, pozostał w miejscu. Z rana sobie powiedział: — Cóż go jeszcze będę przepraszał? A! Niedoczekanie...

Trwało to postanowienie dwa dni, a gdy w przeciągu ich panna w istocie ani spojrzała, ani odpowiedziała na przywitanie, ani nawet widzieć się go nie zdawała, chwyciło go to za serce.

— Nie bądź pani tak okrutną — rzekł po cichu, trzeciego dnia. — Choć mnie to Bóg wie co kosztować będzie, pojedę jutro do brata, i będzie zgoda.

Panna Konstancja obejrzała się nań z uśmiechem łagodnym, kiwnęła mu główką, potakując, i odeszła.

Drugiego dnia rano Wacek na konia siadł i do brata jechał. W domu go nie zastał, bo teraz, zajadłe owo gospodarstwo prowadząc, od rana do nocy siedział sam przy robotnikach i obiad sobie, jak dla parobka, w dwojczkach nosić kazał na pole.

Koszono właśnie błotne łąki i Wicek, na grobli siedząc, przypatrywał się robocie, gdy zobaczył kłusem nadbiegającego brata. Popatrzał nań, ale sądząc, że przejeżdża tylko tamtędy, zaraz głowę odwrócił i nie patrzył nań nawet.

Usłyszawszy, że Wacek poza nim staje — też nie drgnął.

— Słuchaj Wicek — odezwał się, zsiadając z konia starszy — przyjechałem do ciebie umyślnie. Skrzywdziłem cię, bom miał żal, aleś i ty mnie za skórę zalał — jeśli winien, przepraszam... Nie chcę waśni braterskiej — daruj mi, uściśnijmy się i niech będzie zapomniane na wieki.

Wicek i tak już samotnością i smutkiem był roztkliwiony, posłyszawszy te dobre słowa, głosem serdecznym wymówione, zerwał się i skoczył bratu na szyję.

— Wacku, to ja cię proszę o przebaczenie! Jam winien! Daruj ty mnie! Dwoje nas jest, jednej matki dzieci na świecie, niech nas lada waśń nie rozdziela. Daruj...

Ściskając się, obaj łzy w oczach mieli, Wickowi serce biło mocno.

— Więcej ci powiem, Wacku kochany — rzekł — ja ci z drogi ustąpię, namyśliłem się — nie mam tu co robić. Panna obu nas nie chce, a mnie to już najpewniej; co mam siedzieć i truć się? W świat pójdę! Mam do starosty zaufanie, kocham go jak ojca, powiem mu wszystko i poproszę, by mnie puścił. Gdy z oczu wam zejdem, tobie będzie lżej... a może i ja zapomnę!

Chciał Wacek mu perswadować i powstrzymywać, ale ten się opierał.

Siedząc na grobli, gadali z sobą do wieczora, rozstali się po bratersku, serdecznie, i Wacek spokojny, z lekkim sumieniem do Zalesia odjechał.

Wicek, przy swoim stojąc, dobrał sobie godzinę dla widzenia się ze starostą, i pod wieczór, gdy on zwykle w swojej kancelarii nad papierami siadywał, poszedł do niego. Że już mrok padać zaczynał, nie zniecierpliwiał się stary, iż mu robotę przerwano, okulary ściągnął i witającego zagadnął:

— A toż co cię za chandra napadła, żeś przez kilka tygodni ani nosa nie pokazał? Malkontent, czy co, u kaduka...

Skłonił mu się Wicek do kolan.

— Malkontentem bym się nazwać nie mógł — rzekł — chyba niewdzięcznikiem. Niech mnie starosta ojcowskim sercem wysłucha.

— Praw... no, co tam...

— Młodość, ojciec mój a dobrodzieju — począł Wicek. — Niechaj to, do czego się przyznam jak przed ojcem, zostanie przy panu moim.

— Sekret! No, proszę! — rozśmiał się stary. — Praw, a na półmisku szeroko nie rozkładaj.

— O to się zakochał bez nadziei, panie starosto dobrodzieju — wprost wyznam, w pannie Rewnowskiej. Ona mnie nie może chcieć, a ja tu patrząc na nią, coraz mocniej szaleję. Dlatego przybyłem prosić łaski pańskiej, niech mnie pan gdzie do dalekich dóbr wyszle, abym tu nie był.

Starosta zdumionymi popatrzył oczyma.

— Rozum nad lata! Jak Bóg miły — zawołał. — To się waści chwali. Jeszcze mi się nie trafiło spotkać takiej miłości, co od obiektu swojego ze strachu ucieka. Ale masz asindziej rację. Panna Rewnowska za ciebie nie pójdzie, a ty głowę darmo będziesz tracił.

Pomyślał chwilę.

— Cóż ty chcesz z sobą robić?

— W świat uciekać!

— Hm — mruknął stary Śniehota — mam ja koło Horodła za Bugiem wioskę, a tam mnie wszetecznie kradną, choć pszenicę rodzi jak złoto. Puszczę ci ją dzierżawą, bo rządca ci się być nie zechce.

— Dlaczego nie? — odparł Wicek.

— Nie wypada, spadłbyś z dzierżawcy na gubernatora — jakbym cię zdegradował. Ułożymy się... Jakoś to będzie.

Wicek go pocałował w rękę.

— Ale bo to i dziewczyna niepocziwa — rozśmiał się starosta — głowy pozawracała wszystkim. Albo się omylił, lub i Wacek za nią szaleje, znam jeszcze kilku takich. Chodzi to skromne jak trusia, a kędy popatrzy, pożary wznieca! Dziewczyna jak lania, rozumek nie dla proporcji... i statek wielki. Każdy by chciał nad nim odnieść triumf, a panna jak skalać I śmiał się dobrodusznie starosta.

— Ale mnie pan nie zdradzi! Nawet przed panią starościną! — dodał, do kolan chyląc się chłopak.

— Bądź spokojny — śmiejąc się rzekł starosta. — Jak w Wergiliuszu⁸⁵ stoi: sam *expertus, miseris succurrere disco*⁸⁶... Sza! Umalujemy te przenosiny. Niech się panna nie domyśla, boby jej to do nosa poszło, że aż kawalerów rozpędza! Fiu-fiu!

Chciał starosta zaprosić na wieczerzę Wicka, ale ten się wymówił, i zaraz, z nikim się już nie widząc oprócz brata, odjechał do domu. Pomimo danego słowa starosta *sub rosa*⁸⁷ tegoż wieczoru wygadał się przed jejmością. Pani jednak przed Konstancją nic nie wypowiedziała. Wicek już się za Bug wynosił.

III

Smutny to był dzień zaprawdę dla Zalesia, gdy po tygodniowym pobycie w nim oboje państwo Rewnowscy, zabierając z sobą synowicę, na Podlasie wyjeżdżać mieli. Dopiero się to uczuć dało, jak jedna twarz, jedna milcząca i skromna panienka, której na pozór widać tu ani słyhać nie było, wiele miejsca w sercach zajmowała — jak jej oczom wszystkich braknąć miało. Nie mówiąc już o starościnie, która po kątach płakała, za każdym spotkaniem ścisła wychowanicę, a uśmiechać się musiała temu, co się jej szczęściem nazywało — nie mówiąc o staroście, który sam przez się i dla żony był markotny — nie mówiąc o nieszczęśliwym Wacku, nie wiedzącym, czy się ma smucić, czy cieszyć — cały dwór był we łzach i żalach. Sama panna Konstancja chodziła blada, z sercem ściśniętym, bojąc się okazać, co cierpiała, aby dobrych państwa Rewnowskich, co ją jak dziecko tulili do siebie, nie zasmucać.

Na ten dzień uroczysty rozstania zjechał ze mszą świętą do kaplicy ksiądz Paczura. W dziedzińcu stały już powóz i bryka wyładowane, ludzie się koło nich kręcili, a we dworze snuły się smutne twarze, nie chcąc wierzyć, żeby panna Konstancja na zawsze straconą być miała.

Obiecywali też Rewnowscy przyjeżdżać z nią często. Proboszcz pocieszał jak umiał, starościnę.

— Moja mościa dobrodziejko, choćby i z własnym dziecięciem rozstawać się trzeba. Taka kolej ludzkich losów.

— Wiem, że jej tam dobrze będzie, bo to ludziska i serca złote, ale — zawsze... zawsze...

Wzdychano tak i stękano. Zaczęła się msza w kaplicy na intencję podróżnych. Wacek do niej służył. W czasie mszy kilka razy słyhać było, jak starościna i panna Konstancja zaszła się od płaczu. Trzymała chustkę na oczach, utulić się nie mogła. Stara Ościńska, którą łyzy cudze zawsze też rozrzewniały, i sama żalując Koci, beczała głośno.

Pobłogosławił proboszcz odjeżdżających. Czekają na nich jeszcze śniadanie.

Starosta, który już mógł chodzić, acz nogę jedną miał w aksamitnym bucie, udawał niezmiernie wesołego, aby nie dać się żonie i drugim rozrzewnić do zbytku. Podżartowywał z panny, że tak jak Zalesię teraz opuszcza, wkrótce i stryjostwa porzuci, bo jej tam długo na koszu siedzieć Podlasiaki nie dadzą.

Wesołość ta nadrabiana, jakoś echem się w nikim nie odzywała. Sędzina tylko Rewnowska, szczebiotliwa zawsze, coś chciała też wesołego mówić, próbowała się uśmiechać, pocieszać, a i to nie szło? Sędzia, widząc to, za czapkę wziął i pożegnanie się zaczęło. Padła do nóg panna staroście, potem starościnie, która o mało nie zemdląca, przyniesiono lawendogry⁸⁸, pannę Konstancję sam sędzia musiał pocieszając prowadzić i po wznowionych jeszcze pożegnaniach siedli wreszcie do powozów — ksiądz przeżegnał z ganku, ruszono. Długo jeszcze, długo chustkami z ganku i z powozów znaki dawano sobie, aż na zakręcie drogi znikły one...

— Moja jejmościuniu kochana — rzekł starosta, całując w rękę żonę — dobrze to, że asindźka masz takie złote serce, ale to dla niej samej męka. Proszę mi nie płakać.

Tego dnia jednak w każdym kącie łez było pełno. Najprzykrzejsze było położenie panny Marianny Bertańskiej, sieroty, wziętej w miejsce panny Konstancji, która czuła dobrze, iż jej zastąpić nie potrafi. Mieszała się biedna, płakała, biegała i desperowała. Dziewczę było niczego też, roztropne i skromne, ale do tamtej porównać się nie mogło.

Wacek milczący około proboszcza, którego zatrzymano, asystować musiał; Wicka już od dawna nie było, bo się z łaski starosty na ową dzierżawę za Bug wyniósł i znaku życia, jakby naumyślnie, nie dawał.

Gdy tu takie lamenta po sierocie — w drodze sędziowstwu Rewnowskim ze swą zdobyczą nie było lepiej. Panna Konstancja, choć pracuje nad sobą, aby łzy powstrzymywać, coraz to się rozbeczy jak dziecię. Sędzia począł opowiadać wesołe dykteryjki, ale ich nikt nie słuchał.

Wieś państwa Rewnowskich, między Wisznicami a Włodawą położona, w której zwykle przemieszkiwali, nieładnie się nazywała. Z prastarych czasów mianowano ją Muchomory, może dlatego, że istotnie ogromne lasy otaczające ją w ten rodzaj grzybów obfitowały. Nazwisko i samej sędzinie, i jemu miłym nie było — z dawna myśl miał Rewnowski przeważać Benedyktowem albo Benedyktopolem. Lecz ludzi odzwyczaić od starego miana rzecz niełatwa. Najlepszym tego dowodem były owe Czołhany na Teofilpol przewane, których nowe imię dukatami opłacano, a stare bizunem pędzono precz, i pół wieku trzeba było, nim się to dało ugruntować. Muchomory też zostały Muchomorami tymczasem. Majątek był duży, ziemi do zbytku, sosnowego lasu, ba! i dębiny dosyć, łąk niemało, acz niskich, ziemia za to nie bardzo rodziła. W lata mokre podtapiało i prząło, w posuchę znowu gorzało wszystko. Rowy kopano i kopano, a z wodą i jej dystrybucją nie umiano sobie dać rady. Wszelako to, co Bóg na wioskach jego dawał, starczyło obficie sędziemu na szlachecki żywot w tym kącie spokojnym.

Kupowało się naówczas tylko to, czego już w żaden sposób dom dostarczyć nie mógł, cukier, bakalie, korzenie, wino... Zresztą w domu robiono, czego on potrzebował. Życie było skromne na pozór, dostatnie bardzo. Nie miało ono połysku i świetności, ale oparte było na tęgich podstawach. Sędzia gospodarzem zbyt zabiegliwym nie był ani opieszalym. Wglądał po trosze we wszystko, a życia sobie posuchą ani ulewą nie psuł.

Dom w Muchomorach niski, z dachem wysokim, niezmiernie był długi, bo wąski. Zbudowano go tak niegdyś i zostawiono, jakim Bóg dał, przystawując kletki, nie troszcząc się o fizjognomię. Komórek też w nim było dużo, jedno o wschód cały niżej, drugie o dwa podniesione. Nie było jednostajności i w innych rzeczach; sufity z belkami, płócienne i podrzucane na trzcinę, świadczyły, że w różnych czasach powstały. W dwóch pokojach były szpalery w okładzinach drewnianych, w innych ściany gliną wyrównane i bielone. Po alkierzach sosnowe dyle, z których się ściany składały, tylko mech w środek między nie powtykany przybierał.

Tak i ze sprzętami w domu. Dopatrzeć między nimi było można pewnie XVII wieku sięgające i nowsze, były piękne i od siekiery ociosane. Na kominkach i szafach obok srebrnych pucharów złocistych, stały gliniane kufle i zielone szkło proste. Ani sędzia, ani sędzina tego odziedziczono

dawnego porządku zmienić nie widzieli potrzeby. Przybywały czasem rzeczy, innymi obdarowywano przyjaciół, rzadko co kupiono. Nie mając dzieci, państwo Rewnowscy otoczyli się byli z dawna rozmaitego rodzaju rezydentami, których już teraz pozbywać się nie było sposobu — nikt też o tym nie myślał.

Nie wymagająca to była ta ludność graczalistów⁸⁹, ale dosyć liczna. Każdy niby się czymś zajmował, w rzeczy zaś najlepiej jedli i plotki nosili. Więc na pierwszym miejscu stał Rewnowski Hilary, starzec, krewny daleki czy imiennik, zwany dziaduniem. Ten się już ledwie włóczył, i to o kiju, a czasem o dwu, nogi miał jak kłody. W szarej kapocie, podpasany pasem nicianym, koloru nijakiego, w pół przegięty, zgarbiony, łysy, brodę i brwi miał niezmiernie wybujałe, głos gruby, tubalny i wyglądał wcale nieładnie. Był to jednak najlepszy z ludzi, pobożny, cichy i wdzięczny. Szanowano w nim wiek i niedolę. Żołnierzem niegdyś był i dużo o Leszczyńskim⁹⁰ mówić umiał.

Drugim z kolei był Hadziakiewicz, zwany Halaburdą (ale po cichu); niespokojna dusza, łatwowierny, gorączka, lecz ile razy co zmalował, płakał, do winy się przyznawał, i w godzinę nową burdę wyprawiał. Sędzia, lubiący spokój, dawno by się go z domu pozbył — ale mawiał naiwnie: „Jak ja go wypchnę, kto go weźmie, pytam... Zmarłby gdzie chyba u Żyda pod ławą”. Hadziakiewicza sędzia mógł zburzyć i głowę mu zmyć, jak chciał, od niego ścierpiał wszystko. Był to w spokojnych Muchomorach prawdziwy *turbator chori*⁹¹.

Ledwie już wzmiankować warto trzeciego, skromnego i rzadko się ukazującego, niby rezydenta, niby kapelana, Sebrańskiego, który miewał czasem lekkie napady obłąkania, nieszkodliwe nikomu. Dlatego mu mszy świętej odprawiać czasem długo nie było wolno, a gdy sobie to pozwolenie wybłagał, z radości i rozkoszy u ołtarza we łzy się rozplęwał. Pobożny był nadzwyczajnie, rozrzewniony zawsze, chodził z rękami prawie ciągle zaciśniętymi jak do modlitwy i szeptał też nieustannie coś po cichu. Grosza mu nie można było dać, bo pierwszemu ubogiemu oddał go natychmiast, a raz odzież z siebie wszystką tak rozdarował, że przez tydzień ze swej izdebki nie mógł się ruszyć. Dziwiło go to, iż drudzy się temu dziwowali, znajdował naturalnym wywłaszczenie siebie dla ubogiego. Ksiądz Sobrański nosił pasek i włosien nicę, co piątek wstrzymać go od dyscyplin nie było podobna. Gdy na niego przyszedł ów czas obłąkania, naówczas skarżył się, że go zewsząd otaczały złe duchy i wskazywał je po kątach. Napadały go trwogi i modlitwą dopiero mógł się uspokoić. Ksiądz Sobrański pokazywał się rzadko, unikał ludzi, a gdy trochę w domu bywało tłumniej, nic go już z izdebki, której ściany całe były oblepione obrazkami i modlitewkami, wyrwać nie mogło.

Około sędziny bawiła najprzód pani strukczaszyzna⁹² z Olgierdowiczów Pomorska; osoba niegdyś bogata, przywiedziona do bezdomnego ubóstwa, które ją jednak z godności i uczucia dostojęstwa wysokiego rodu nie uleczyło. Sędziowstwo oboje sadzili ją na pierwszym miejscu, honorowano biedaczkę i wybaczano jej słabości różne — starając się, aby nie czuła przykrego położenia. Strukczaszyzna chodziła zawsze w sukni na robronie⁹³ (łataniej), niby strojna, wykrygowana, bielila się i różowała, lubiła opowiadać o czasach dawnych i dawała sobie tony ogromne. Czyniło ją to śmieszna, ale biednemu wiele się przebacza. Uchybienia swej godności, pośledniejszego miejsca u stołu itp., nie mogła znieść. Wspomnienia młodości, gdy jeszcze piękną była, najmilszym były jej rozmów przedmiotem.

Ułomna mocno, ale twarzy wcale ładnej i oczu czarnych rzadkiego blasku, z długimi chudymi rękami, panna Micka — była przy kluczach i zastępowała panią sędzinę. Była też to osoba dobra i usłużna, miała tylko tę słabostkę, iż się jej zdawało, że się wszyscy mężczyźni w niej kochali. Romansową była i nazywała się sama tkliwą.

Na ostatek Rózia, daleka kuzynka jegomości, ruchawa, śmieszka, dosyć lekkomyślna dziewczeczka, której trzeba było pilnować ciągle, aby nie popełniła jakiej niedorzeczności — dopełniała rejestru dworu i rezydentów. Na folwarku tuliło się jeszcze pomniejszej rzeszy kilkoro, która się tylko w wigilię do opłatka pokazywała.

Gdy państwo Rewnowscy dowiedzieli się o synowicy i w Muchomorach rozeszła się wieść, że ową, za straconą mianą sierotę, odzyskano — przyznać trzeba, iż nikomu na myśl nie przyszło jej zazdrościć, ucieszyli się wszyscy szczęściem gospodarstwa, którzy w sierocie jakby własne widzieli dziecię. Ksiądz Sobrański, któremu mszę odprawiać było pozwolono, odprawił dziękczynną; spłakał się stary Rewnowski, winszując, Hadziakiewicz klął się i przysięgał, że zawsze przeczuwał, iż dobrym sędziowstwu Bóg musi zesłać pociechę. Strukczaszyzna z góry zapowiadała, iż pannę dobrych manier nauczy.

— Bo to — dodała — niech sobie mówią, co chcą dziś już tej manieri ludzie nie mają, co była na saskim dworze; ani się uklonić, ani uśmiechnąć, ani chodzić, ani siedzieć dziś żadna nie potrafi. Inaczej było za nieboszczyka króla jegomości... A co za elegancja! Dziś do czego kobiety podobne! Dam już nie ma.

Sędzina swym zwyczajem głową potwierdzając kiwała. Panna Micka cieszyła się nowej przyjaciółce, przed którą spodziewała się spowiadać ze wszystkich nieszczęśliwych amantów, którzy jej nie dawali pokoju, a Rózia! Rózia może rachowała na to, że gdy wszyscy będą nowo przybyłą zajęci, ona swobodniej na ganek wybieży bałamucić prowentowego pisarza⁹⁴.

Gdy państwo Rewnowscy wyjechali już po Konstancję, rolę gospodyni domu, której sobie wydrzeć by nie dała nikomu, objęła strukczaszyzna. Ona siadała na pierwszym miejscu u stołu. Stary Rewnowski, nieco głuchy, zajmował miejsce przy niej i opowiadań jej tym cierpliwiej słuchał, że rzadkie słowo z nich do ucha mu wpadło.

Hadziakiewicz na wyjeźdźnym dał był sędziemu najuroczystsze przyrzeczenie, że w czasie jego niebytności awantury nie zrobi — i upierał się przy tym, iż go dotrzymał, bo tylko jednego Żyda pobił i za pejsy wytargał za to, że broniąc się, psa podwórzowego kijem potracił i jednego stróża bizunem skropił za to, że mu odpowiadał.

— A tego boja ścierpieć nie mogę — rzekł — to darmo! Żeby mi cham miał pod nos dmuchać.

Dwa te epizody według niego bynajmniej przyrzeczenia danego nie łamały.

Ponieważ bytność państwa Rewnowskich u starostwa przedłużyła się jakoś nad miarę i rachubę, oczekiwano w końcu z wielką niecierpliwością powrotu co dzień, co godzina, sprzecząc się o to, w której porze dnia przybyć mogli. Hadziakiewicz się klął i przysięgał, że nie mogą inaczej przyjechać, tylko na wieczór, dowodząc to noclegami i popasami, jedynymi możliwymi na gościńcu. Etapy te

skazywały jadących na nieodzowny, według niego, przyjazd wieczorny. Panna Micka, która i Hadziakiewicza między innymi posądzała o miłość ku sobie, uśmiechając się usiłowała go przekonać, iż prawdopodobniej nie przyjadą rano, ale wybrawszy się z Zalesia, mogą, zmieniając noclegi na popasy *et vice versa*⁹⁵, przybyć na obiad.

Strukczaszyzna nie miała o tym stanowczo wyrobionego zdania, jednak z obiadem zawsze przyczekiwno i w kuchni był zapas taki, aby uchowaj Boże potrzeby, obiad się sklecił naprędce. Kucharz, poczciwy pijaczyna, zostawał pod dozorem i arendarz miał przykaz wódki mu nie dawać do wieczora.

Przez pół dnia niemal w ganku pod słupami widzieć zawsze było można albo starego Rewnowskiego, albo Hadziakiewicza, albo pannę Micką w mitenkach⁹⁶, z kluczami, wyglądających, azali nie jadą.

— Dosyć, że ich jak nie ma, tak nie ma — wzdychając i z gracją jedząc obiad, mówiła strukczaszyzna. — Żeby tylko, uchowaj Boże, jakiego nieszczęścia!

— Ale co znowu, jak Boga kocham! Niech mnie diabli wezmą, szelma jestem — wołał Hadziakiewicz — zawsze pani strukczaszyzna coś takiego wymyśli! Jakie nieszczęście! Co? Gdzie! Cóż? Wywróciliby się? Oś trzała? Koło się rozsypało? O la Boga! Wielkie nieszczęście... Rozbójników że po lasach nie ma ani o powietrzu nie słyhać. A! Co tu gadać! Szelma jestem...

Stary Rewnowski dopytywał, o co chodziło, i kładziono mu do ucha — a on głową kiwając, pokaszliwał.

Właśnie jednego dnia siedziano u stołu przy obiedzie i strukczaszyzna sięgała po flaszeczkę z tłuczonym cukrem dla posypania naleśników, gdy wpadł Niczypor, chłopak z kredensu i krzyknął:

— Państwo jadą!

Wszyscy się zerwali od stołu.

— Gdzie? Jak to może być! O tej porze! Strukczaszynie flaszeczka z fioletowego szkła wypadła z ręki, potoczyła się i padła na podłogę. Szczęściem, tylko się cukier wysypał, bo sitko z niej spadło, flaszeczka od serwisu została. Rewnowski dojadł naleśnika i dopiero powstał, swoich dwóch kijów szukając, Hadziakiewicz bez czapki już był w pół dziedzińca, a ksiądz Sobrański w kącie, ręce złożony, modlił się po cichu.

Niczypora pchnięto, aby obiad natychmiast na nowo gotowano. W całym dworze popłoch się zrobił, z oficyny przybiegało, co żyło, nawet kucharz z różnem, na którym już kurczęta *proprio motu*⁹⁷ na pierwszy odgłos wbite — sterczały.

Czeladź, nie poodziewana a ciekawa, walczyła ze wstydem a ochotą widzenia państwa i „naszej panny” z niesłychaną ciekawością, a gdy się ukazała — widać było po twarzach, że oczekiwań nie zawiodła, że je przeszła swą pięknnością i wyrazem dobroci a skromności.

Sędzina z pośpiechem i szczebiothwością zwykłą zaczęła zapoznawać:

— Pani strukczasyna dobrodziejka... moja Kocia... a prawda? A co! Nie mówiłam? Micko kochana, uściśnijże ją, Róziu, chodź tu zaraz, weź tę chustkę... Jak się ma ksiądz Sobrański?... Zdrów widzę... Rózia, chodź bo tu...

Witał się i sędzia ze swymi, ale naprzód uczcił strukczaszynę ucałowaniem jej ręki.

— Cóż, jakże scjatyka⁹⁸? Ulżyło? — spytał. Hadziakiewicz się kłaniał do kolan.

— A słowa mi dotrzymałeś? — pytał sędzia.

— Święcie! — odparł Hałaburda — święcie.

Stary Rewnowski, któremu się na wolnym powietrzu udało to dosłyszeć huknął tubalnym głosem: — Tylko Żyda pobił i stróża.

— Widzisz! — pogroził sędzia.

— Niech śród ziemi pójde — bodajem skiś, szelma jestem — nie naruszyłem słowa — krzyknął Hadziakiewicz. — Co prawda, to prawda. Żyd się na Parola kijem zamachnął. Żeby on pańskiego, szlacheckiego psa miał bezkarnie poniewierać! A niedoczekanie jego! Grzmotnąłem i coś się za pejsy potargało... a przecież poszedł o swej sile. Stróż znowu — odpowiadał! Żebym ja to miał znosić! Chamie ty jakiś! Wlepiłem mu! Cóż to za burda? To burda? To jest sprawiedliwości wymiar — bodaj mnie kaczki deptały, szelma jestem.

Wśród tej wrzawy na ganku wchodziła prowadzona do domu panna Konstancja, dla której przy mieszkaniu sędziny przygotowano, wyświeżono, wykadzono najpiękniejszy pokoik. Nie było tu zbytku nigdzie, nie mogło być i w nim, ale świeżutko, ładnie i wonno; urządziła go panna Micka. Zaraz też ona, Rózia i sędzina powiodły tam Kostusię. W ciągu podróży już ona była do swej nowej opiekunki, jak ona do niej, przystała. Sędzia był w synowicy rozkochany, sędzina płakała z radości. I na twarz smutnej sieroty wystąpił też promyk wesela. Nie mogła nie odpowiedzieć sercem na tyle dobroci i miłości, na które jeszcze zasłużyć nie miała czasu.

Nim obiad improwizowany podano, musiała panna Konstancja i sędziną obejść cały dom, a nawet zobaczyć kawał ogrodu, który był raczej poczciwym sadem starym, pełnym drzew owocowych, z jedną w pośrodku altaną lipową. Równać się on nie mógł z pięknym owym w Zalesiu, ale też tu wszystko było skromnie i po szlachecku.

Sędzina, chcąc sad swój pochwalić, zaręczała, że lepszych sapieżanek nigdzie nie było, i że jabłka bursztówki „chyba równie” doskonałe rodziły. Wskazała na maliny nawet i na kwatery agrestem i malinami powysadzane.

— Już to tu wszystkiego — dodała panna Micka — mamy pod dostatkiem. Z łaski Bożej, chyba ptasiego mleka brak.

Konstancja chwaliła wszystko, aby zrobić przyjemność sędzinie, która jej natarczywie patrzyła w

oczy.

Cała reszta dnia zeszła na oględzinach i wtajemniczeniu, na bliższym zabieraniu znajomości. Strukczaszyzna, zabrawszy głos, coś ze swej autobiografii udzieliła, komunikując, jak wielki podskarbi koronny u nóg jej klęczał, a że był dosyć ciężki, wstać potem nie mógł, aż mu rękę podała.

Z dala w kątku modlący się ksiądz Sobrański wydawał się dziwnie trochę, ale sędzina szepnęła na ucho Konstancji, że się go wcale obawiać nie było powodu.

Sędzia, jak wszyscy domatorowie, znalazłszy się w swoim kącie znowu, czuł się szczęśliwym. — Wszędzie to dobrze, a w domu najlepiej! — powtarzał z rozrzewnieniem. A co wyszedł i postrzegł nową postać jaką, z którą się jeszcze nie witał — wołał, uśmiechał się i pozdrawiał wesoło.

Dopiero wieczorem wytoczyły się skargi i uzbierane pod niebytność państwa żale. Panna Micka oskarżała Rózię o płochość i miłostki z pisarzem, a oprócz tego o bałamucenie wdowca ekonoma. Hadziakiewicz miał spór z prowentem o obroki. Ekonom z arendarzem sprawę wnosił o wódkę podejrzanego pochodzenia, itp. Wszystko to odłożono do rozstrzygnięcia spokojnego czasu.

A że po sąsiedztwie gruchnęła już była poprzednio wieść i zapowiedziano przybycie panny Konstancji, niepodobna było nie sprosić miłych sąsiadów i nie ukazać im a nie pochwalić się synowicą. Żądała tego sędzina, pochwałała strukczaszyzna myśl tę, sędzia się godził, a panna Konstancja musiała milczeć, choć to okazywanie jej miłe być nie mogło.

Uprojektowano obiad i nieściąganie tłumne dalekich i najdalszych, ale bliższego tylko sąsiedztwa, a *primo loco*⁹⁹ Matuskich, w których domu Wacek Paczura oznajmił szczęśliwą wiadomość Rewnowskim. I obiad przecie taki bez występu, bez piramid i cukrów, bardzo prosty, choćby z leguminą i kremem, na wsi się nie daje bez pewnego przygotowania. O mięso się trzeba ubezpieczyć, bo tu częściej chude krowy biją niż tłuste woły, cielę domowe na rzeź wybrać, drób oznaczyć i tysiące drobnych rzeczy przygotować. Sędzina na pieczyście zrazu forytowała prosięta, przeciw czemu zaprotestowała strukczaszyzna, znajdując je smacznymi, ale nieprzyzwoitymi. Powodem do wyboru prosiąt było, że sędzia je bardzo lubił, więc się mógł przy gościach pożywić: usunięto jednak te istoty mniej szlachetne i zastąpiono je indykiem ogromnego wzrostu, który od dawna takie burdy wyprawiał jak Hadziakiewicz i pozbyć się go pilna była potrzeba. Ponieważ karuczek¹⁰⁰ był w domu, zapowiedziano więc cytrynową i różową galaretę, zawsze bezpieczniejszą od kremu, którego charakter niestały nigdy się na energię jego spuścić całkiem nie dozwalał.

Sędzia co do wina dał dyspozycję sumaryjną. Miano jeszcze do kawy poobiedniej upiec sucharki. Na obiad wybrano niedzielę. Sam Rewnowski w ciągu tygodnia miał objechać i sprosić sąsiadów. Lista ich z domowymi wynosiła osób około dwudziestu.

Nadszedł dzień ten uroczysty; pogoda mu sprzyjała. Konstancję z pomocą i radą strukczaszynej ustrojono — szczęściem — niezbyt przesadnie. Jej we wszystkim było i zawsze pięknie. Wyprosiła się od zbyt napszonego ubrania, wybrała jak najprostsze, a dobra sędzina pozwoliła jej w tym dogodzić swej fantazyjce.

Już się goście zjeżdżać poczynali, a sędzia w ganku przyjmowaniem ich był zajęty, gdy z wielkim

podziwem swym ujrzał tak rychło wcale nie spodziewanego tu Wacka, który też szczególnym trafem na ten dzień przybywał.

Jak się to stało, wytłumaczyć musimy. Po wyjeździe panny Konstancji wszyscy w Zalesiu po niej tęsknili, ale Wacek rady sobie dać nie mógł. Chodził w gorączce i jak oszalały. Starosta go kilka razy niecierpliwie zapytał: — Co ci jest? Co za giez cię ukąsił?

Nie odpowiedział z początku. Drugiego czy trzeciego dnia zastał go nad przepisywaniem dokumentu, z piórem w rękę, tak zamyślonym i pogrążonym, że nie usłyszał, jak pan Śniehota nadszedł, stanął, obserwował go długo, wreszcie za ramię pochwycił, wstrząsnął nim i krzyknął:

— Co tobie? Czyś zdrewniał? Gadaj? Co to takiego jest? Ja mruków nie lubię. Boli cię — mów...

Wackowi w istocie tak dolegała ta miłość, iż mu się zdało, że lepiej uczyni, gdy się do niej przyzna staroście. Pocałował go w rękę:

— Panie starosto dobrodzieju — rzekł — co mam taić? Głowę straciłem... Jestem zakochany w pannie Konstancji Rewnowskiej.

Starosta się w boki wziął i śmiał się.

— Jak Bóg miły! A to coś osobliwego! I ty! No proszę! A panna?

— Panna zbyła mnie ni tym, ni owym, ale sędzia uczynił mi nadzieję i przyrzekł swą protekcję. Tymczasem kto wie, co tam wypaść może. Młodzież ją otoczy, uprzedzi mnie kto...

Starosta śmiał się ciągle.

— *Mirabilia*¹⁰¹! Co to jest młodym być! Hej, hej! Głowa się pali... Ano, o cóż asindziejowi idzie? Jeżeli ci sędzia uczynił nadzieję, nie będę przeszkadzał, ruszaj smalić cholewki — ja tu i tak z ciebie pociechy mieć nie będę, bo głowa i serce gdzie indziej. Z Panem Bogiem.

Widać było, że starosta trochę był markotny; odwrócił się, pochodził.

— Niech mi lasy powyrąbują... cóż robić! Dla miłości twej warto jaką sosnę poświęcić. A żebyś ode mnie jak pasternak goły nie jechał, muszę ci dać na wyprawę.

Otworzył biurko, dobył rulon i wcisnął mu w rękę.

— Dosyć, że ta Konstancja nie tylko nas opuściła sama, ale jeszcze nam ludzi pozabierała ze sobą — westchnął z cicha. — Taka to pociecha, gdy człek wychowuje sieroty.

Starosta poszedł zaraz opowiedzieć o tym żonie, która o lepszej partii marząc dla swej faworytki, nie mogła się wydziwić sędziemu, co ją za Wacka już wydać przyrzekł i protekcję mu obiecał. Choć go lubiła staruszka, ale z Kostusią porównywać się nie mógł jej zdaniem.

Jak tylko odprawę od starosty dostał Wacek, nie mógł już wytrzymać, a natychmiast się wybierać

zaczął i tak się dobrze uwinął, że na ową niedzielę stanął w Muchomorach.

W oknie naówczas stojąca panna Konstancja z sędziwą, gdy go poznała, zaczerwieniła się jak piwonia i odeszła pomieszana, boć łatwo się było każdemu domyślić, co tu młodego chłopca tak pilnie pędziło.

Witając jednak sędzinę, Wacek się wytłumaczył, że go starościna przysłała dowiedzieć się, jak państwo dojechali i — o zdrowie panny Konstancji.

Tym sposobem wykładawszy się trochę, Wacek, widząc pannę zakłopotaną swoim przybyciem, a napastliwym być nie chcąc, usunął się na bok i z Hadziakiewiczem, trochę mu znanym z wesela Matuskich, rozpoczął rozmowę.

Goście tymczasem napływali, a mężczyźni zwłaszcza, co który zobaczył synowicę państwa sędziowstwa, to za głowę się chwycił i w pochwałach rozlewał. Junoną zwali ją jedni, Wenerą drudzy inni Dianą — i cała mitologia zużyta została na uwielbienia. Sędzina śmiejąc się szeptała: — A co? Nie mówiłam! Nie ma równej.

Młodzież kołem ostapiwszy panie, które w jednym kątku siedziały, wejrzeniami strzelistymi aż inkomodowała¹⁰² nieszczęśliwą ofiarę, która oczu nie mogła podnieść, żeby nie spotkać wzroku natrętnych. Mieszało ją to mocno. Niektórzy tak byli niedyskretni, iż półgłosem nucili hymny, których nie mogła nie słyszeć. Już się zabierano iść do obiadu, przy którym swobodniejszą być sobie obiecywała umęczona panna Konstancja, gdy szum się zrobił w sieni i w pokoju zaczęto się odzywać:

— A to kasztelanie Pocij!

— Słowo daję! To taranty Pocija — mówił inny.

Gospodarz, który kasztelanica i małoznał, i wcale nie zapraszał, zdziwiony poszedł ku gankowi. W istocie był to kasztelanie, który na drodze się spotkał z panem Wasiutyńskim, jadącym do Muchomorów. Ten mu wyśpiewał, że jedzie bardzo piękną pannę, świeżo przybyłą tu spod Lublina, oglądać. Kasztelanie, kawaler młody, płochy człek, panicz wielki płci pięknej miłośnik, *stante pede*¹⁰³ postanowił towarzyszyć. Wasiutyńskiemu, na bryczkę go swą wsadził — i pojechał.

Młodym był pan Pocij, jak wiadomo, znacznego rodu i wielkiego imienia. Wychowanie w domu odebrał francuskie, a już i za granicą bywał, szlacheckie więc towarzystwo i jego obyczaje dosyć sobie lekceważył. Zdało mu się, że zaszczyt czyni dworkowi, do którego zajedzie. Ubrany modnie, po francusku, w peruce, którą podróż nieco nadwerżyła, we fraku haftowanym, koronkach, łańcuszkach, błyskotkach, wyglądał trochę niewieścio przy zawieszistej szlachcie wąsatej. Lecz strój ten już naówczas w wyższym towarzystwie bardzo był pospolity, w mieście niemal powszechnie przyjęty i znamionował, wedle pojęć ówczesnych, postępowych ludzi. Ci, co się starego ubrania trzymali, za zacofanych byli miani. Kobiety zwłaszcza bardzo łaskawymi oczyma patrzyły na żaboty koronkowe, mankiety i białe ręce, które spod nich wychodziły.

Wysiadając już kasztelanie śmiał się, nie wątpiąc, że impresję¹⁰⁴ uczyni niemałą.

— Nieproszony gość! — zawołał, witając się z sędzią. — Ale zaszczycając się przyjaźnią jego i respekt mając dla domu państwa, chciałem im z przyjaciółmi powinszować szczęśliwego, o którym słyszałem, ewenementu¹⁰⁵.

Sędzia pokornie dziękował, triumfalnie wprowadzono go do pokoju, przed sędzinę. Strukczaszyzna jak indyk nadeła się, zobaczywszy eleganta, i miny robić zaczęła, aby zwrócić na siebie uwagę. Kasztelanie jednak dość roztargniony, szukał oczyma solenizantki dnia tego i znalazłszy ją, ku niej zaraz przylgnął. Nawykły do tego, że go panie piękne z nadskakującą grzecznością przyjmowały, zdziwił się trochę chłodowi, jakim go panna Konstancja powitała — lecz to go tylko większym jeszcze natchnęło animuszem. Przysiadł się do niej z natarczywą rozmową, ale w tejże chwili do stołu oznajmiono i odstąpiwszy jej musiał prowadzić sędzinę, przy której też go posadzono.

Wackowi dostało się miejsce, jeśli nie przy panie, to naprzeciw, lecz niewiele z tego skorzystał, gdyż oczu prawie nie podnosiła, i ona jakoś smutna a zadumana siedziała. Kasztelanie, nie mogąc wprost panie się zalecać, która mu niezmiernie w oko wpadła, usiłował się z dowcipem i konwersacją popisać przed wszystkimi, mówił wiele, nie zawsze do rzeczy, śmiał się sam, aby drugich do śmiechu pobudzać, pił, zabawiał, dowcipował i w istocie strukczaszynę zachwyił. Przypominał jej kawalerów owych czasów szczęśliwszych, gdy się oni jeszcze w niej kochali i słowo w słowo tym samym trybem błyskotliwym zalecać usiłowali.

Pan Pocięj z tego aplauzu starej pani nie bardzo był rad, wolałby jedno wejrzenie panny Konstancji, a ta widocznie go unikała. Mocno go to obeszło. W takim dworku pod strzechą znaleźć taką obojętność, takie lekceważenie dla kawalera, co w Warszawie miewał niesłychane sukcesy, srogim było ciosem. Wziął więc na kiel...

Po obiedzie na chwilę się zetknąwszy z sędzią, wyraził mu uwielbienie gorące dla panny Konstancji, a zarazem poddał myśl, że w takiej kompanii wesołej, jużci by też i muzyczkę warto postawić, aby się młodzież rozruszała.

Sędzia nie był od tego — posłano do Wisznic po miejscowych muzykantów, którzy na weselu Matuskich dowiedli, że choć nietęgo grali, ale dwa dni i dwie nocy bez spoczynku mogli pełnić swe obowiązki.

Kasztelanie, o którym już z boku Hadziakiewicz się wyrażał w swoim języku, że zaszłapał¹⁰⁶ w istocie był mocno zajęty i namawiając do muzyki, chciał zyskać pretekst, aby tu dłużej zabawić. Na muzykę trzeba było czekać, potem, gdy się towarzystwo zaangażowało¹⁰⁷, niełacno było przestać. Spodziewał się faworem tańca do panny zbliżyć, popisać z figurą i zręcznością i — głowę zajechać. Nie chciał ruszać z Muchomorów, nie postawiwszy na swoim. Serce tam jeszcze żadnego nie miało udziału, ale próżność grała.

Nim muzyka przybyła, kasztelanie, mimo przeszkód wielu, do panny się docisnął i wziął ją w objęcie. Na panie Konstancji i ta napastliwość trochę za śmiała robiła przykre wrażenie. Zdawało się jej, iż kasztelanie w imię tytułu i pozycji swojej nadto sobie pozwalał. Była więc w tym usposobieniu, iż szukała tylko zręczności, aby mu okazać, iż wcale jej się to postępowanie nie podoba.

— Cóż to dla mnie za szczęśliwy dzień — mówił kawaler — gdy niespodzianie taką gwiazdę wśród tych lasów naszych świecącą ujrzałem! Olśniony jestem...

Panna Konstancja spojrzała zimno, niby nie rozumiejąc.

— Jaką gwiazdę? — spytała.

— A do kogóż by tu się to adoptować mogło, jeśli nie do pani! — rzekł z galanterią.

— Pan kasztelanie znać nawykł w stolicy do takich komplementów — odezwała się panna — a ja wieśniaczka jestem. Wie pan, że mnie się one wydają śmiesznymi.

— Jak to? Śmiesznymi?

— Tak! Zwłaszcza przy pierwszym poznaniu — odparła Konstancja — tak mało się znamy... Nie pochlebiam też sobie, abym na takie jasne nazwisko kiedykolwiek zasłużyła.

— Skromność pani nie dozwala...

— Piękną mamy pogodę — przerwała panna, zwracając się, a po chwili spytała kasztelanica, dokąd się wybrał w drogę, bo słyszała, że tu przypadkiem zajechał.

— Wcale nie przypadkiem — odezwał się uparty admirator — rozgłos i sława wdzięków pani, brzmiąca po całym sąsiedztwie, sprowadziła mnie tu.

— Doznasz pan zawodu!

— Jestem zachwycony!

Konstancja się rozśmiała:

— Widzę, że kasztelanie bierzesz mnie zawsze za jedną z dam warszawskich, nawykłych do tego języka.

— Innym do pani mówić niepodobna!

— A ten dla mnie niezrozumiały, bo mi się zdaje pożyczony z teatrum! — odezwała się panna.

Kasztelanie zagryzł usta.

Panna Konstancja skorzystała z jakiegoś zapytania sędzinej i wymknęła mu się. Później zaś tak go unikała widocznie, iż kawaler powziął stąd rankor¹⁰⁸ wielki.

— A to mi gąska! — mówił w duchu. — Co za fochy! Patrzcie! Kto by myślał, że wojewodzianka lub księżniczka, tak się to dmie i nosi z sobą!

Nie zraziło go to, i owszem, postanowił dosiadywać. Nadjechała muzyka, — rozpoczęły się tany,

chciał rej wodzić w nich panicz, lecz szlachta jak konie tabuny, pot poczuwszy, zakrzyczała go i niemal zdeptała. Był tu dysharmonijną nutą.

Dawno też byłby kasztelanie Muchomory porzucił, lecz tak pobitemu, skonfundowanemu jawnie, trudno odjechać było. Z lekkomyślnością paniczkowatą, nie bardzo wiedząc, co poczynać, obrachował, że puszczenie szmermela¹⁰⁹ będzie zemstą najlepszą. Siedziała trochę na uboczu pani strukczaszyzna, mocno wykrygowana, którą z postawy wnosząc brał za osobę wielkiego tu wpływu używającą. Przystąpił więc do niej.

Bogu tylko jednemu wiadomo było, jak ją tym uszczęśliwił. Nie pojmowała dotąd, jak takiej dystynkcji kawaler mógł w niej nie poznać osoby swojego świata i wychowaniem sobie równej. Z radości drgnęła aż, wyprostowała się mocniej jeszcze i wdzięcząc się a wachlując, odezwała:

— Co też pana kasztelanica na tę pustynię zagnało? Bo to... dobrzy ludzie, ale pustynia i parafia! A! A! Proste, dobroduszne kreatury, nie to, do czego ja i pan nawykliśmy.

Kasztelanie rozsiadł się tak szeroko i swobodnie, jakby był u siebie w domu, i bawiąc się dewizką od zegarka, począł:

— Pani dobrodziejko — jeśli się nie mylę — strukczaszyzna...

— Tak jest... z Olgierdowiczów Pomorska... tak jest... z Olgierdowiczów. Skłonił głowę kasztelanie.

— Pani dobrodziejko — ciągnął — co mnie tu sprowadziło — fama oczu panny Rewnowskiej.

— O te bałamuty! Bałamuty! — zasłaniając się wachlarzem szepnęła strukczaszyzna. — No i jakże te oczy? Czy uczyniły impresję?

— Zabójczą! Okropną... Strzała utkwiała mi w sercu.

— Już pan ją czuje?

— Pani wie, wejrzenie jedno i po człowieku! Miłość przychodzi jak piorun!

— Tak! Tak! Słyszałam to nieraz. Mówił mi to niegdyś pan podskarbi koronny, który...

Uśmiechnęła się skromnie.

— I on, i wy wszyscy — dodała z melancholią strukczaszyzna — wszyscy bałamuci! Nikomu wierzyć nie można. Wyjedziesz pan kasztelanie kilka mil i inne oczy a miłość nowa wypędzi pierwszą impresję.

— Bardzo bym rad, żeby się tak stało — mówił kasztelanie — bo śmiertelnie jestem zakochany, a panna, jak uważam, sroga i niełaskawa.

— Cóżes asindziej chciał, żeby zaraz mu afektem odpowiedziała?

— Choćby grzecznąścią...

Strukczaszyzna pochyliła się ku niemu, aż woń pudru jej i różnych ingrediencyj¹¹⁰ toaletowych go zaleciała.

— Między nami mówiąc trochę dzika, niezbyt okrzęsana... Wychowanie jej dano takie. Ja dopiero się chcę nią zająć.

Kasztelanie westchnął przesadnie.

— Polecam się względem pani... O, te oczy! Te oczy! Uszczęśliwiona zaufaniem kawalera, strukczaszyzna dała mu znak porozumienia głową i szepnęła:

— Będę mu służyła...

Kasztelanie wstał! Tego mu dosyć było. Rzucił strzałą Parta¹¹¹, zostawił za sobą nadzieję, że powróci, że się rozmyślał na serio. Mścił się tym sposobem, bo nie wątpił, że to głowy pozawracać miało i wszelkie rachuby na niego skierować.

Zyskać sobie Pocieja takiej szlachcianeczce, toć było przecie szczęście nie lada!

Przez cały ten wieczór przemęczył się Wacek, okrutną zazdrość i gniew obudził w nim ten kasztelanie we fraczku, od którego piżmo czuć było: oprócz tego do panny Konstancji przystęp był trudny. Rozpytawszy się o starościnę, od której przywiózł list, panna unikała go. Za drugim razem, gdy się spotkali, a Wacek wzdychać począł i miał począć rozmowę o sobie — zapytała go — o brata.

— Brata mojego niełaska pani wypędziła — rzekł Wacek — a gdzie i dokąd ona mnie pchnie, to Bogu wiadomo!

Niby nie posłyszała panna Konstancja. Młody Matuski i inni sąsiedzi ciągle ją brali do tańca, a że unikała kasztelanica, szła chętnie z nimi, Wacek ani się mógł docisnąć.

W końcu, już zdesperowany, gdy kasztelanie też odjechał zły i kwaśny, stanął Paczura pod oknem, ręce zwiesił i tak, patrząc na nią, skamieniał jak posąg. Smutno nań było spojrzeć, tak z twarzy mu biła rozpacz i smutek. Już dobrze było późno, gdy zlitowawszy się nad nim panna Konstancja rękę mu podała, wybierając do przetańcowania. Rzucił się, jakby go różdżką czarodziejską dotknięto, poweselał, ale po chwilce rzucono go i znowu został sam jeden. Gonił oczyma uciekającą, gdy skrzypki jakoś ustały i panna idąc odpocząć usiadła około niego. Złożyło się tak, iż w bliskości nikogo nie było, co by mógł podsłuchiwać. Mężczyźni poszli się chłodzić na ganku, kobiety z sobą szczebiotały.

— W istocie pana starościna do tej podróży namówiła? — zapytała Konstancja.

— A, panno Konstancjo dobrodziejko — zawołał Wacek — alboż mnie do tej podróży namawiać było trzeba? Ja tam w tej pustyni wytrzymać nie mogłem. Wolałbym tu za parobka służyć, niż tam

panować.

— Cóżbyś pan na tym zyskał?

— Patrzyłbym na panią — rzekł Wacek.

— Wszak pan słyszałeś, com mu raz mówiła? To się odmienić nie może — odezwała się poważnie panna Konstancja — nie może!

— Pozwól mi pani choć łudzić się i spodziewać. Zamilkła panna i wachlowała się chusteczką.

— Gdybyś mi pani powiedziała, że inny jest szczęśliwszy, żeś pani uczyniła wybór... — rzekł Wacek po chwili.

— Cóż by to pomogło! szepnęła panna — jam panu mówiła, nigdy za mąż nie pójdę, bo nie mogę. Mocne to moje postanowienie. Wiem, że stryjostwo wydać by mnie chcieli, ale mnie przymuszać nie będą.

Że spuszczonej oczyma mówiła to spokojnie i powoli.

— Takie moje przeznaczenie! — dodała.

— Ale powód?

— Powodu panu powiedzieć nie mogę — przerwała panna Konstancja. — Sprzyjam mu mocno, wdzięcznam mu za dobre serce dla mnie... proszę byś pamiętał o mnie, ale zarazem, abys gdzie indziej szczęścia szukał... Tu... tu pan go próżno będziesz czekał.

— Jak to? Nawet mi pani zostać nie pozwalasz!

— Bronić nie mogę — proszę... — mówiła, wahając się panna Konstancja. — Mówią, że u mężczyzn uczucia te prędko przechodzą, pan pojedziesz, zapomnisz i będziesz szczęśliwy. Ja panu tego z serca życzę!

Mówiła i głos jej drżał przejęty; wstała potem żywo i uśmiech kłamany na usta przywoławszy, pobięła do sędziny. Wacek siedział jak wkuty.

— Niechże to kto zrozumie! — mówił w sobie. — Zdaje się życzliwa. Gdy mówi, czuję, że nie gniewa się na mnie, a odpędza. To oszaleć trzeba.

Zamyślił się Wacek, co ma czynić.

— Zostanę — rzekł w duchu — niech choć popróbuję, co Bóg da, to da, zawsze będzie czas iść precz.

Nazajutrz strukczaszyzna z wielkimi ceremoniami, w tajemnicy największej powierzyła sędzinie sekret kasztelanica. Kasztelanie się kochał; od pierwszego wejrzenia śmiertelnie był ranny i

niezawodnie się mógł ożenić. Cóż to za szczęście byłoby dla rodziny Rewnowskich skoligacić się tak, taką partię znaleźć dla sieroty.

Ktokolwiek wie, jak u nas wielką dla rodu i związków rodzinnych przywiązywano wagę, nie zdziwi się tym, że sędzinę sama ekspektatywa¹¹² takiego mariażu niesłychanym sposobem uniosła i wyegzaltowała. Uwierzyła strukczaszynie i miłości bałamutnej kasztelanica.

Strukczaszyzna podniosła głowę ku sufitowi, rękę jedną ponad głowę i ramionami ruszyła w milczeniu. Sędzina się kręciła niespokojnie. Co tu było począć?

Pobiegła do męża.

Sędzia siedział u siebie, czytając z Warszawy nadesłaną jedną z tych gazetek *à la main*¹¹³, które przepisywane naówczas po kraju całym krążyły, gdy żona weszła z rumieńcami na twarzy, po których nawykł był poznawać, że albo ją co bardzo ucieszyło, lub mocno rozgniewało.

— Co ci to, mój aniele? — spytał.

Stała mała pani sędzina naprzeciw męża, ręce założyła na piersiach i niema poczęła długo patrzeć na niego. On cierpliwie czekał.

— A co? — bąknął.

— Co co? A też to, kochanie ty moje najdroższe, bąka strzeliłeś takiego... ale takiego.

— Ja? Bąka?

— Tak, ty. Wiesz, kasztelanie cię chce żenić z Kostusią. Oświadczył to strukczaszynie! A tyś sobie ręce związał tym Wackiem.

Oślupiały sędzia słuchał.

— Kasztelanie chce się żenić z Kostusią! Oszalała baba! Co jej takiego kasztelanie? Ależ on nie emancypowany¹¹⁴ a kasztelan dumny pan, prędzej by mu dał pod fraczek sto odlewanych niż żonę szlachciankę. A, to mi się podoba.

Sędzina, istota łatwo się dająca przekonać, czarno i biało, zmieszała się.

— Strukczaszyzna — poczęła...

— Strukczaszyzna tylko o romansach myśli, marzy i mówi. Coś jej się przyśniło.

— No, toż się da widzieć — przerwała, nieco zwątpiwszy, sędzina — o to idzie, aby się z tym Wackiem nie śpieszyć, kasztelanie musi się przecie starać — aby się wystarał.

— Ano, zobaczymy! Ja... ja asindźce mówię — przez imaginację wyjechała na koronację, tej kobiecie zawsze świta w głowie.

— O, już bo jegomość a starosta co na kobiety nie wymyślacie! Uszy więdną.

— Zobaczymy! — dokończył sędzia. — Da się widzieć!

Żona wyszła, ale sędziemu klin zabity nie ustąpił z głowy. Kasztelanie! Pocieje! Rewnowscy z Pocijami! Co za liść wspaniały na genealogicznym drzewie.... Rozum jednak powiadał, że z tego nic być nie mogło.

Wszelako z Wackiem Paczurą był ostrożniej, unikał rozmowy i trochę się stał chłodniejszym. Wacek zaś, mając pozwolenie dawne, siadł jak na rezydencji¹¹⁵.

Micka suponowała, że jej czarne oczy mogły też nie być bez wpływu, z czego daleko domyślniejsza Rózia śmiała się do rozpuku, bo już wiedziała dobrze, o co chodzi.

Wacek polował, jeździł, stękał i siedział. Z panną Konstancją ani się już mógł rozmówić, unikała go widocznie.

W półtora tygodnia, gdy nikomu oprócz strukczaszynej nie był na myśli kasztalanic, ujrano jego konie — przyjechał. Sędzia się zdziwił bardzo.

— Co u kaduka! Czyby ta baba miała istotnie taką konfidencję?...

Gdy dano znać sędzinie o przyjeździe, wbiegła do Kostusi, poczęła ją całować, śmiać się i zapowiedziała jej przybycie konkurenta. W tej chwili spojrzała na nią; Konstancja jak trup była blada i drżała jak w febrze.

— Jezu miłosierny! Co ci to jest?

Podano wody, ale panna wnet do siebie przyszła. Nim sędzina dalsze mogła rozpocząć badanie, schyliła się do nóg jej i z uczuciem błagalnym szepnęła:

— Matusiu moja, gdyż tak mi się nazywać pozwalasz — matusiu, ja proszę, ja modłę — pozwólcie, bym do niego nie wyszła.

— Do kasztelanica! — zawołała z rozpaczą sędzina.

— Matusiu kochana, jest dla mnie wstrętliwy — to lalka nie mężczyzna. Dlaczego mam się męczyć? Niech wie, że ja go nie chcę, jeśli ma jakie zamiary... i niech sobie z Bogiem jedzie.

Sędzina chciała jej prosić, ale Konstancja poczęła ścisnąć, całować, łąsić się jej, ulitowała się więc — i jak zawsze była łatwą i dobrą, przystała na to, żeby powiedzieć, iż chora.

Ledwie z tym wyszła, gdy w sieni spotkała strukczaszyne, śpieszącą na konferencję o stroju.

— Wystaw sobie, wyjść za nic nie chce, za nic! — zawołała, łamiąc ręce. Obie natychmiast powróciły nalegać, ale Kostusia była niewzruszona, odmówiła wręcz strukczaszyne.

— Już to ja do panny Konstancji szczęściem się pochwalić nie mogę — westchnęła urażona staruszka. — Cóż tedy? Jak sobie kto pościele...

Wyszła stara gniewna, mówiąc w duchu:

— Przewrócona głowa! Głupie dziewczę. Na to nie ma ratunku.

Kasztelaniec, który sądził, że drugą tą bytnością wywoła wrażenie niezmiernie i będzie miał zręczność zabawienia się z piękną panną, o dalszych następstwach nie myśląc — zrazu oczekiwał aparycji¹¹⁶, pochlebiał sobie, że fioki na jego intencję pannę zabawiły tak długo. Wreszcie, gdy mu oznajmiono, że chora, a strukczaszyzna minę pewną zrobiła, mocno to uczył. Dosiedział jednak i znalazł zręczność rozmówienia się na osobności z protektorką.

— To są kaprysy — szepnęła mu stara — fonfry¹¹⁷! Panna widać kim innym zajęta, a sędziostwo dają jej sobie dogadzać... wszelkim kaprysom! Nie chora, jako żywo...

Ruszyła ramionami. Kasztelaniec zarumienił się z gniewu i aprensji¹¹⁸, pierwszy raz w życiu afront go taki spotykał. Gotowało się w nim zemsty pragnienie, ale na kim ją tu wyrzucić było? Piękna panna, co go tak nielitościwie odpychała, jeszcze mu się wydawała piękniejszą, jeszcze pożądańszą.

Ukrywając w sobie to wzburzenie, kasztelaniec dłużej umyślnie pozostał. Po raz drugi zbliżył się do strukczaszynej, ciekawy dowiedzieć się, kto mógł być jego rywalem. Jejmość nie wahała mu się wyrazić podejrzenia, iż Wacek Paczura, mizerny szlachetka, mógł być tym — wyraziła się — preferowanym.

Na pierwsze spojrzenie już kasztelaniec czuł jakiś wstręt do tego wąsatego gładysza w czamarze. Nie powiedział ani słowa, zabawił do wieczora i wyjechał. Wacek powracał tą samą drogą z lasu, którą kasztelaniecowi już ponad wieczór przebywać było potrzeba.

Gościniec to był piaszczysty, szeroki, lasem otoczony dokoła, wyjeżdżony przez chłopskie wozy, szukające sobie lżejszej drogi. Wacek szedł bokiem ze strzelbą na ramieniu. Z dala po koniach poznał wracającego kasztelanika. Pocięj też, zobaczywszy go, ponieważ piasek był spory, pod pozorem ulżenia koniom wyskoczył i pieszo skierował się ku lasowi, obrachowawszy, że się spotka z Paczurą. Sam dobrze nie wiedział, na co się to zdało, ale buta podrażniona wiodła go do zaczepienia szlachetki.

Z dala kilka razy się zmierzyli oczami, a że Wacek nie był mu osobiście znany, tylko go widział kręcącego się po pokoju — witać go nie myślał. Skręcił nieco w las. Kasztelaniec, któremu to było nie ma rękę, zdjął kapelusz.

— Za pozwoleniem — rzekł — zdaje mi się, że miał przyjemność...?

— Tak jest, spotkałem pana kasztelanika w Muchomorach — skłonił się Wacek zimno.

— Ja właśnie stamtąd powracam — odezwał się kasztelaniec, śmiejąc się żartobliwie. — Nie miałem dziś szczęścia, bom panny Konstancji nie widział, a nie taję, że dla niej szczególnie się

wybrałem, piękna bo panna! Jak pan znajduje?

Zdziwiony tą rozmową Wacek się zasepił.

— Znajduję, jak wszyscy, że panna Konstancja Rewnowska piękną jest bardzo, ale dziwi mnie taka lekka mowa o niej.

— Pana to dziwi? — rozśmiał się kasztelan, jakby szukał przyczepki. — A mnie to dziwi, że pan się dziwuje! He? Co pan na to?

Wacek stał dalej, już nie wiedząc co mówić.

— Za pozwoleniem pana kasztelanica — rzekł — ja niedobrze rozumiem...

— A, pan nie rozumie — począł się śmiać sucho kasztelan — pan rozumieć nie chce? He, co?

— O co panu idzie? — zimno odezwał się Wacek.

Pociej zmierzył go od stóp do głowy oczyma, przystąpił bliżej i rzekł cicho:

— Pan nie ma ochoty...

I ręką wskazał fechtowanie.

— Owszem — odparł Wacek — dlaczegoż nie? Tylko nie widzę racji!

— A gdy komu ręce świerzbią? To nie jest racja? — zapytał Pociej.

Wacek głową dał znak potakujący.

— Pan się bijesz na szpady? — spytał Pociej.

— Biję się i na szpady, choć na szable wolę.

— Na szable nie służę. Szpad i rapirów zawsze parę mam z sobą... A gdybyśmy...

Odwrócił się do służącego i mrugnął. Ten już dobywał dwa rapiry równe, które nigdy Pocięja nie opuszczały. Z gracją podał jeden przeciwnikowi Pocięja, zrzucił frak i stanął. Wacek, nie wiedząc za co i dlaczego ma się bić, troszkę się śmiejąc w duchu z napastnika, a niewiele wając te żelaza, które naówczas z pogardą rożen karni nazywano — postawił strzelbę pod drzewem, zakasał rękawy, rozpiął suknię i czekał.

Przez ciekawość raczej niż z potrzeby oba oni z bratem próbowali się na szpady fechtować, ale Wacek nie miał wprawy. Zdawało mu się, że to rzecz łatwa i w porównaniu do szabli — igraszka. Naprzeciw niego stał przeciwnik znany z wielkiej biegłości i fechmistrz jakich mało... Zaledwie się złożyli, Pociej poczuł z kim miał do czynienia, zwyciężyć, a nawet zabić antagonistę, było dlań igraszką; począł więc przyskakując, odskakując, odsadzając się, parując, koląc z gracją, chyżością i

wprawą taką, że Wacka, nim się opamiętał, dotknął kilka razy, aż krew trysnęła — na ostatek, z wielkim śmiechem, wytracił mu szpadę z ręki i kolnął go w bok tak, że mu z prawej strony ponad żebremi skórę na wylot przeszył. Wacek chwycił się za bok, lecz nadto był silny, aby go to obalić mogło. Nim się opamiętał, co czynić z krwią ubiegającą, co z kasztelanikiem, spostrzegł, jak len mu się skłonił, z rąk sługi wziął frak, podskoczył ku powozowi i skinął na woźnicę, aby jechał.

Tuman pyłu wzniosł się na gościńcu i kasztelanik znikł mu z oczu.

Długo nie mógł przyjść do siebie Wacek. Opatrzył się: miał cztery pchnięcia, a z tych jedno zdawało się groźnym, bok przebity nie głęboko wprawdzie, krwawił mocno.

Zawiązanie naprędce chustką niewiele pomogło. Paczura lękał się osłabnąć i paść: pośpieszył więc co prędzej ku dworowi. W pochodzie istotnie parę razy słabo mu się zrobiło. Spojrzawszy na siebie, postrzegł, że cały był krwią obmazany. Chciał się cofnąć właśnie, bo w tej chwili wchodził na dziedziniec, gdy sędzia zastąpił mu drogę. Krew na odzieży przeraziła go..

— A to co! — krzyknął.

Wacek się uśmiechał. — Nic... nic...

— Przypadek? Strzelba? Zwierz? Mówże! — wołał sędzia i nie czekając odpowiedzi, począł krzyczeć: — Jest tam kto? Po cyrulika! Jest tam kto?

Głos, którym się Rewnowski rzadko odzywał, bo zwykle mówił cicho i spokojnie, cały dwór na ganek i podwórze ściągnął.

Najpierwszy przypadł Hadziakiewicz, bo gdzie krzyk było słycać i zamieszanie, a hałas się wszczął, nigdy go tam nie brakło. Zobaczywszy krew, wnet począł nie pytając rozdziewać rannego, aby dojść do źródła; stało się to tak szybko, że nim Wacek pomyślał o obronie, ten już go rozpiął, opatrzył, ręką machnął i zawołał: — Nic — szelma jestem — mizeria! Od różna.

Sędzia stał, nie rozumiejąc. Sędzina, z dala zobaczywszy okrwawionego, biegła ręce łamiąc. — Co się stało? — Tuż za nią panna Micka, Rózia, ksiądz Sobrański i w ganku stary o kijach Rewnowski — biegli, stawali, coś widząc i domyślając się strasznego, a nie mogąc dopytać, co się stało.

Napadano milczącego Wacka pytaniami dokoła, ten jeszcze rozmyślał, przyznać się czy zamilczeć. Utaić pojedynku nie było podobna.

Hadziakiewicz krzyczał na cały głos:

— Ale nic! Furda! No cóz co? Pokłuli się rożenkami... Szach-mach, i tyle zalepi się, zasklepi... i nic. Jak Pana Boga kocham.

— Rożenkami? Z kimże? Gdzie?

Wacka na pół niemego prowadzono na ławę w ganku. Siadłszy, począł się uśmiechać.

— Spotkałem się w lesie z kasztelanem — miał ochotę próbować się ze mną na szpady. Odmówić nie było podobna.

— I naszpikował! — wołał Hadziakiewicz. — Naszpikował — ale to nic. A jemuż się co dostało?

— Nie wiem — rzekł Wacek.

Zawiazywano rany i przestach pierwszy przechodził, gdy panna Konstancja wyszła niespodzianie na ganek, o niczym nie wiedząc. Spozstrzegła bladego i okrwawionego Wacka, krzyknęła i zapomniawszy się przypadła ku niemu z takim wyrazem rozpacz i bólu, że przerażona sędzina pochwyciła ją, obawiając się, aby nie zemdląca. Nie była to zwyczajna litość dla ranionego obojętnego człowieka, w tym krzyku i zmienionej twarzy łatwo mógł poznać każdy, że Wacek nie był jej obojętnym.

Nie spostrzegła się biedna panna Konstancja zrazu, iż zdradziła serca tajemnicę, nie zawstydziła się, ale przypadając ku siedzącemu, poczęła wołać z wyrazem niemal rozpaczliwym:

— Zabity!

— Duszczo... aniołku, opamiętaj się... ale zmiłujże się... nic mu nie jest, lekko ranny — wołała sędzina.

Wacek wstał, chwytając ją za rękę wzruszony. Nie wyrwała mu jej, stała odrętwiona. Z wolna przekonała się i z mowy Wacka, i z twarzy przytomnych, że nie było niebezpieczeństwa, dopiero rumienić się poczęła, cofnęła krok i zakryła oczy.

— Ranny — spytała głosem cichym. — Ale któż pana ranił?

— Żartem tak próbowaliśmy się z kasztelanem.

— Żartem? Z kasztelanem? — powtórzyła panna Konstancja. — Żartem? — Spojrzała na otaczających: — Krew? Nie ma niebezpieczeństwa?

— Najmniejszego! — wykrzyknął Hadziakiewicz. — Co to to! Jakby szpilką pokłuty! Furda!

Jednakże. Wackowi dosyć krwi upłynęło, blady był i poprosił, aby go do jego pokoju zaprowadzono. Sędzina, zamyślona, wzięła za rękę Konstancję i weszła z nią do dworu. Mężczyźni, ciągle się spodziewając wyjaśnienia jakiegoś — pociągnęli za rannym.

Panna Konstancja w milczeniu doszła z sędziną do swojego pokoiku, tu padła na krzesło i zakrywając twarz chustką rzewnie płakać zaczęła.

Biedna Rewnowska stała nad nią z niecierpliwością¹¹⁹ doświadczonej niewiasty, która wie, że się trzeba dać wypłakać, nim się badać zacznie. Powtarzała tylko półgłosem niekiedy:

— Ale, moje dziecko!

I podawała jej wodę w szklance.

— Napij się — to cię orzeźwi.

Łzy tymczasem nie ustawały. Długo czekać było potrzeba, dopóki panna Konstancja nie uspokoiła się nieco. Podniosła zapłakane oczy ku sędzinie i pocałowała ją w rękę.

— A, pani! Co teraz ludzie powiedzą o mnie? Milczała zapytana długo.

— No, cóż tam, co tam mają mówić? Złękłaś się... Zresztą dawny znajomy, razemeście się wychowali...

Przeszła się po pokoju sędzina.

— Między nami mówiąc, mój aniele, chyba wy się kochacie? Hm, moja duszko, toż wiesz, my przeciwko temu nie mamy nic. Uspokój się. Sędzia sobie życzy tego mariażu, ja twój szczęścia pragnę...

Ręce złożonywszy, porwała się z krzesła panna Konstancja.

— A, moja najdroższa pani, matko kochana — za nic w świecie! Ja za niego iść nie mogę.

Sędzina stanęła tak zdziwiona, iż uszom wierzyć nie chciała, patrzyła na nią wielkimi oczyma, jakby nie rozumiała.

— Tak! Tak! — kończyła Konstancja. — Ja iść za niego nie mogę, ale nie pójdę za nikogo.

— Tego to ja już nie rozumiem, duszeńko moja — z cicha, łagodnie poczęła sędzina — ale uspokój no się, wytłumacz...

Na rozpłomienionej twarzyczce panny Konstancji znać było egzaltację i poruszenie niezwykajne. W milczeniu łamała ręce, chcąc mówić i nie mogąc się zebrać na słowo. Gdy nareszcie odezwała się, głos jej zachrypły był i cichy.

— Posłuchaj mnie mateczko — mówiła — potem powiesz sama, że inaczej uczynić nie mogę! A, tak, ja go kocham — to prawda. Kocham go... a nie godzi mi się ani mu tego przyznać, ani pójść za niego.

Zrezygnowana na to, iż nic tu zrozumieć nie będzie mogła, sędzina czekała wyjaśnienia.

— Ja go kocham — szepnęła Konstancja — a ukrywać to przed nim muszę. Ich jest dwóch braci, oni oba się razem pokochali we mnie, oba mnie kochają. Poty są w zgodzie, dopóki odmawiam obu — ręka moja wniesie waśń śmiertelną między braci... Mamże ja dla szczęścia mojego rozdzielić ich i uczynić wrogami? A, to nie może być i nie powinno. Kocham tego, tamtego mi żal — nie pójdę za żadnego z nich, aby w zgodzie i pokoju żyli z sobą.

Mówiła żywo, patrząc w oczy sędzinie, która słuchała z natężoną uwagą, ale zdawało się, że tego

rozumowania jakoś pojąć nie mogła.

— Uspokój no się, kochanie moje — rzekła powoli — bo zbyt mocno jesteś jakoś zaafektowana. Rozmyślisz się, Ducha Świętego weźmiesz na pomoc — wszystko się ułoży... tylko się uspokój, kochanie moje, pomódl się. Słowo daję, ja nic nie rozumiem!

Pocałowała ją w głowę sędzina, myśląc w duchu: — Ani wiem, co począć, bałamuci, egzaltowana. Trzeba się poradzić z jegomością.

— Uspokój się — dodała, całując znów Konstancję, która płakała ciągle — zostawiam cię na chwilę samą, połóż się, odpocznij.

I wyszła na palcach z pokoju, mocno skłopotana, wprost do męża na naradę.

Sędzia, poruszony i gniewny, właśnie był od rannego Wacka, zdawszy go Hadziakiewiczowi, powrócił do swojej kancelarii i przechadzał się po niej, pomrukując sam do siebie, gdy weszła żona na palcach, po cichu. Z twarzy jej widać było jeszcze i strach zaledwie przebyty, i smutek a niepewność. Spojrzało na siebie małżeństwo.

— No, cóż jejmość na to? A to mi się pięknie spisał kasztelanie. Niewinnego człowieka na szerokiej drodze napaść... ni przypiął, ni przyłatał — bij się... To fiksat! Furiat! Zamknąć go do czubków! Sędzina stała zamyślona.

— A już to prawda — odezwała się — Bóg nam dał niespodziewanie odnaleźć tę zatraconą sierotę, ale powiem ci, kochanie, że kłopotu z nią... Ja już nie wiem, jak my z tego wyjdziemy? Wystawże sobie...

— No cóż! Co? Kochają się z Wackiem — powiesz mi? Ja to dawno przewidywałem. Nie ma w tym nic. Sprawi się wesele i będą szczęśliwi.

— Tak to jegomości powiedzieć łatwo. Gdzie zaś! Gdzie!

— Ależ o mało nie omdlała, gdy go zobaczyła rannym — krzyknął sędzia. Ślepy by zobaczył, że go kocha.

— A kocha — rzekła sędzina smutnie potrząsając głową. — Sama mi się do tego przyznała, ale to w tym właśnie sęk... wyobraź sobie.

Tu w czoło uderzyła się ręką.

— W głowie u niej... licho wie co!

— Jak to? Cóż, co?

— Co? Albo ja wiem co? Dostyc, że mi powiedziała: — Kocham go, ale za niego pójść nie mogę.

Sędzia stanął, dziwne miny robiąc z podziwu.

— Tobie się przesłyszało, kochanie moje! Cóż by to znaczyło...

— Jakaś historia romansowa... Jak żyję, nic podobnego nie słyszałam — ciągnęła dalej sędzina. — Jest ich, tych Paczurów, dwóch braci. Otóż ona powiada, że oni się obaj w niej kochają i przez to między sobą się zaczęli nienawidzić. Ona tedy postanowiła nie iść za żadnego, aby między bracią waśni nie robić.

Słuchał sędzia, słuchał i splunął.

— Racja fizyka! — odezwał się wreszcie. — Racja fizyka! At, babskie gadanie. Wszystko się to ułoży. Bracia się pogodzą. Kostusią wydamy i będzie po bożemu. Tamten sobie drugą znajdzie, ale kasztelanowici tego nie darują.

Gdy sędzina się przekonała, że mąż jej nie brał tego na serio, i w nią duch wstąpił — nabrała otuchy, że się to wszystko da jakoś ułożyć szczęśliwie.

Przybyły cyrulik poobwiązywał rany Paczurze; nie opuszczał go też Hadziakiewicz, rad, że się przy tej zručności wykrzyzczeć i wyhałasować może. Książd Sobrański przez litość znowu zaszedłszy do chorego, siedział nad nim, modląc się po cichu, ze złożonymi rękoma. Stary Rewnowski pierwszy odszedł, gdy się dowiedział, jak rzeczy stały. Rany nie były niebezpieczne, ale nudnie wymagano od Wacka szczegółów o tym pojedynku, których on opowiadać nie chciał, znajdując go śmiesznym. Był takim w istocie. Nie pochwalił się tym nawet, że i on — tak było w istocie — kolnął parę razy kasztelanica, nim mu ten szpadę wytrącił. Pocięj miał rękę przebitą i bok raz dotknięty. Nie zważał na to w pierwszej chwili, choć wsiadłszy do powozu uczył, że krew mu płynęła z ręki obficie. Trafem rana ta była niemal niebezpieczniejszą od zadanej Wackowi, bo ścięła nadwierzężyła, i Pocięj zaledwie dojechawszy do miasteczka, musiał dla bólu i krwi upływu kazać się opatrzyć.

Sapieżyński doktor, Niemiec, kiwał głową, grożąc mu, że na fletrowersie¹²⁰, na którym wirtuozem był, może już grać przestać będzie musiał — klął więc kasztelanie szlacheckie dwory i znajomości, gdy we dworze szlacheckim nawzajem na pańską butę i fantazję narzekano.

Choroba Wacka przeciągnęła się, musiał siedzieć w izbie dla obwiązanego boku, tak że nawet panny Konstancji nie widywał, której współczucie za serce go ujęło tak, iż się czuł nim szczęśliwy i obiecywał sobie wiele.

Sędzina tymczasem usiłowała ciągle płaczącą i smutną synowicę nawrócić i przekonać, że dla imaginowanej niezgody braci nie powinna siebie poświęcać, gdy ma do jednego z nich przywiązanie. Panna milczała, ale mocno przy swoim stała.

Wyzdrowiał w końcu Wacek o tyle, że mógł przyjść do pokoju, a spieszo mu było, aby prędzej pannę zobaczyć. Powitała go Konstancja bardzo mile, serdecznie, a sędzina, ułatwiając im porozumienie, zostawiła ich samych, nie wątpiąc bynajmniej, że dziecinna obawa Konstancji ustąpi. Miał tę nadzieję i Wacek, jakoż korzystając ze sposobności, chwycił za rękę pannę, zaklinając ją, aby mu szczęścia dla skrupułu dziwnego nie wydzierała.

Panna Konstancja miała czas się namyślić, kazała usiąść Wackowi i odpowiedziała mu poważnie i

chłodno:

— Nie jest to zbyt skrupuły ani fantazja. Zważ pan sam. Wincenty mi się z miłością oświadczył, jak i pan. Gdybym za pana poszła, musiałby wyrzec się domu naszego, a waćpan brata, związki krwi byłyby zerwane, żal do waćpana zachowałby na zawsze. Nie może to więc być, abyśmy się pobrali. Nie pójdę wprawdzie za innego, ale za pana nie mogę.

Na próżno Wacek błagał i prosił, panna była nieporuszona — zarazem jednak okazywała mu tyle przyjaźni, tak była spokojną i niemal wesołą, że Wacek, nie zdesperowawszy jeszcze, postanowił użyć wpływu sędziego i samej pani, a przy swoim obstawać.

Sędzina codziennie prawie nalegała na Konstancję, która ją całowała w rękę, milczała, słuchała, a przekonać się nie dawała.

Spróbował sędzia wymowy i argumentów przekonywających, których siły był prawie pewien. Z godzinę siedział z Konstancją, przemawiał do serca, przywodził przykłady, starał się ją skruszyć obrazem nieszczęśliwego młodzieńca — słuchała go z uszanowaniem, lecz mu odpowiadała, że sumienie jej na to małżeństwo nie dozwala.

— Ano — dodał sędzia — ja sobie postanowiłem nie zmuszać i nie namawiać cię — rób, jak chcesz. Zatem trzeba o Wacku zapomnieć, a innego sobie wybierać.

— Kochany stryju — odezwała się Konstancja, w rękę go całując — czy już wam tak pilno pozbyć się mnie z domu? Ja się wcale nie śpieszę za męża! Po cóż mnie wypędzacie?

— Bo nie chcę, abyś waćpanna u nas doczekała Jezusowych latek i wyszła na zgryźliwą starą pannicę — rzekł sędzia.

— Ja zgryźliwą nigdy nie będę! — rozśmiała się smutnie Konstancja. — Dobrze mi u stryjostwa, mogę się im przydać może, za cóż mnie z domu wygonić chcecie?

— Ale, dziecko moje! — protestował sędzia.

— Pozwólcież mi zostać! Nie tęsknię za zmianą stanu!

— Dziewczyna uparta! — powiedział sobie wychodząc sędzia. — Uparta! Dajmy działać czasowi.

Wróciwszy do kancelarii, kazał zawołać Wacka i radził mu nie nalegać i nie nacierać, a wytrwać, nie siedzieć ciągle, ale przyjeżdżać często: — Panna ma dla ciebie skłonność, skrupuły z czasem przejdą... Jakoś to będzie.

Idąc za radą Rewnowskiego, Paczura, jak tylko mógł bezpiecznie jechać, pożegnał Muchomory i ruszył do Zalesia, a najprzód do stryja, aby go uspokoić. Wieść się bowiem była rozeszła o niedorzecznym pojedynku, nie z winy Wacka, ale kasztelanica, który o nim rozповідаł, nosząc dotąd rękę na temblaku. A że tam nie wiedzieć co opowiadano i w Borusławicach, i w Zalesiu, stryjowi winien był wypowiedzieć się, jak to było.

Czekał też na niego niespokojny ksiądz Paczura, zgryziony wielce. Oddziało to na jego zdrowie, nawet i na nogi był cierpiący. Hołłowicz w tym utrapieniu placu mu dotrzymywał i rozmową bawił. Właśnie i teraz siedział z nim, gdy Wacek nadjechał. Stara Magdalena, wiedząc jak proboszcz niecierpliwie wyczekuje Wacka, pierwsza przybiegła dać znać, że jedzie, za nią wpadł Mamert, nie wiedząc, że ona go uprzedziła, na ostatek głupi Bartoch, zdyszany, drzwi otworzył, głowę wścibił i nic nie mówiąc, rozśmiał się na głos. Był pewien, że go proboszcz zrozumie.

Poprzedzony przez tylu posłów, nadjechał Wacek. Ksiądz Paczura stał w progu czekając, do uścisku gotów. —

— Żeby cię Bóg kochał! I ciebie, i Wicka — zawołał proboszcz. — Co tu pomoże i opieka Boska, i staranie ludzkie, i szczęście, kiedy rozumu nie ma. Siadajże! A zbladłeś! Krwi ci utoczyli...

Ksiądz z niepokoju i miłości nie wiedział sam, co ma mówić. Czuł się w obowiązku dać moralną naukę.

— A, bo sam sobie winien jesteś! Po co to kochanie... te amory, te imaginacje, po co! Zatrutowacie mi starość. No widzicie, widzicie! Starostwo tacy łaskawi... i tego... O, mój Boże! Mój Boże! — westchnął starowina.

— Kochany stryju — rzekł Wacek — ale ja bo się nie czuję do winy.

— A któż? Ja winienem? — spytał ksiądz Paczura.

Błada twarz delikwenta już się nad nim więcej znęcać nie dopuściła, ksiądz rad był, że go widzi, i gderać nie myślał. Dopytywał tylko o pojedynki i rany, które, jak zapewniał Wacek, pogojone były. Potem zajęto się podwieczorkiem. Dopiero po odjeździe Hołłowicza proboszcz zapytał:

— Cóż? Żenisz się — nie?

— Panna dotąd odmawia, muszę czekać...

Spuścił głowę ksiądz Paczura i począł chodzić po izbie wzdłuż, z tyłu za sobą ciągnąc chustką.

— Ja ci tam nic nie będę gadał — począł powoli — bobyś ty mnie nie zrozumiał, a gotów byś starego dziwakiem ogłosić, ale z tymi waszymi miłościami dzisiejszymi, to czysta swawola. Ludzie się wszyscy kochać powinni; dziewczyna uczciwa, dobrych rodziców, pobożna, niebrzydka, powinna każdemu młodemu mężczyźnie przypaść do serca. Małżeństwo sakrament, nie traktament. Dalipan! Hm! Warn koniecznie bo tej jednej potrzeba, do której się fantazja czepia. Asindziej, jak i Wicek, moglibyście się dawno pożenić z uczciwymi dziewczętami, ale nie — chce się tej bo jednej, której dostać nie można! Co z wami robić! Kara Boża!

Nie umiał Wacek co innego odpowiedzieć nad to, że się żenić nie chce.

— A to źle — odparł ksiądz. — Żenić się potrzeba, aby nie broić, mówi święty Paweł — ale w ożenieniu szukać nie zabawki, tylko obowiązku. Stary Testament przykazywał pilno młodemu ożenienie. Cóż, wagabundować po świecie? Wzdychać do księżycy?...

Książd Paczura tak wypowiedziawszy swe przekonania, dosyć dla młodego niesmaczne, przyszedł go uściskać, aby surowy ton swych wymówek złagodzić stryjowskim pocałunkiem.

— Tak się to mówi — rzekł — z obowiązku kapłańskiego; nie dzieci jesteście, rozum macie, róbcie, co wam się zda lepszym, byleście o Bogu nie zapominali. Ja stary, wkrótce oczy zamknę, a rad bym was widzieć już obu postanowionych jak należy i szczęśliwych.

Po skończonej rozmowie pojechał Wacek do Zalesia. Tu go znów wzięto na nowe konfesaty, ale starosta nie namawiał do niczego, dopominał się tylko, aby lasy objechać. Już mu donoszono, że tu i ówdzie sąsiedzcy chłopci do lasów wpadali. Kazał nazajutrz zaraz na konia siadać, a wieczorem dokumenta były do przepisywania. Starościna ledwie się doczekawszy, aby mąż skończył z Wackiem, zabrała go do siebie. Miała przeczucia, że tam jej wychowance tak dobrze, tak spokojnie jak u niej być nie może. Musiał Wacek opowiadać, jak mieszka, jak się ubiera, co robi, jak ją kochają i czy nie smutna, czy nie zmizerniała, czyją głowa nie boli? Sercem nie przybranej, ale prawdziwej matki bolała nad oddaleniem Kostusi. Coraz nowe sypały się pytania. Musiał Wacek dwór opisywać, opowiadać o struczaszynie, o pannie Mickiej, o życiu, obyczajach, o sąsiedztwie, nawet o tym, jak tam jadano i czy Kostusi nie szkodziło inne pożywienie. A wszystko się jej tam nie podobało.

Gdy późno już Wacek dokończył, starościna, wzdychając, rzekła, biorąc go za rękę:

— Nie może to być, abym ja tam nie dojechała. Waćpan mi będziesz towarzyszył. Ze starostą nadrobię, aby mi koni dał i na kilka dni puścił. Tęskno mi do dziecka, które pan Bóg dał na to, — abym się nim nie nacieszywszy, postradała... Choć pojedę, zobaczę. Nic asindziej nie mów. W dobrą chwilę wyrobię to u jegomości.

Nie wiem, czy kto temu uwierzy, ale jest to najprawdziwszą prawdą, że *status quo*¹²¹ jakieśmy opisali, trwało jeszcze lat około dziesiątka.

Panna Konstancja była już prawie starą panną, choć tego po niej widać nie było; wszyscy żyjący bohaterowie powieści naszej postarzelisi się po trosze i widzieć się to na nich dawało.

Wacek opalił się, schmurniał, dostał trochę marszczków na twarzy. Kilka razy w rok przybywał do Muchomorów, bawił po dni kilka, panna go mile zawsze przyjmowała, a że natarczywym być poprzestał, chętnie z nim i długo rozmawiała, ale gdy zagadnął o małżeństwo, główką tylko potrząsała. — Nie i nie!

Za każdą też bytnością jego zapytywała naprzód:

— Widział pan pana Wincentego?

Wacek ten włożony na siebie obowiązek widywania się kilka razy na rok z bratem spełniał jak najlepiej. Jeździł do niego, bawił po dni kilka, polowali nad Bugiem, rozmawiali po całych nocach, a jak gdyby umówionego co między nimi już było, żaden o pannie Konstancji ani wspominał.

Wicek prowadził takie życie, jak gdyby pragnął pracą i trudem nieustannym zabić w sobie uczucia i wspomnienia. Gospodarz był zagorzały, nudny, drobnostkowy i egzaltowany razem. Stał godzinami nad robotnikiem, gdy przyszła orka, chodził w ślad za pługiem, czasem, zniecierpliwiony, brał sam w rękę sochę albo radło i pokazywał, jak się z rolą obchodzić powinno. Każdy posiew tak go zajmował gorąco, jakby dramat namiętnego widza. Co będzie ze wschodem ziarna? A nuż posucha? A nuż chłód? Nuż się zaostrzy? Nuż spóźni? Nuż wybują? A tu pogoda nigdy taka nie przyjdzie, jakiej się gospodarz spodziewa. Zeszły oziminy dobrze, ruń piękna... nadchodzi zima. Tu dopiero — co Pan Bóg da... Śnieg może paść na nie zmarzłą ziemię — wyprzeje.

Przez całą zimę myśli się, co to wyjdzie spod śniegów? Nareszcie skowronek zaśpiewał. Kotki na wierzbach, leszczyna kwitnie. Wiosna! Złazą powoli skorupy śniegowe, czarno... Każdego dnia, co rana w pole się leci — zielenieje czy nie? W niektórych miejscach zboża ani znaku — odorywać czy nie? Cze kać jeszcze? Siał na nowo? Później, czy pójdą pogońce¹²² na rzadkim życie? Czy pszenicę skosić, czy nie? Nuż wylegnie?

Dramat urodzaju rozwija się powoli. Posucha — nieszczęście, moczy — liście żółkniją. A co będzie na kwiat? Nuż chłody albo wiatry i ulewy... Lada burza może sypnąć gradem. W jednej godzinie całego roku praca wniwecz idzie. Wreszcie wszystko się przetrwało, kłos nabrał, schyla się, złoci... Co to będzie we żniwa? Czy się to da zebrać sucho? A tu o robotnika trudno. Pszenica już w kopach, ale i w nich porosnąć może... Dwa, trzy dni słoty i czapki zielenieją! Zwieziono ją do stodoły? Jaki będzie wydatek? Jakie ziarno? Dalej, jakie ceny? Czy sannę Bóg da na dostawę...

Wszystko to zarazem płacze się i miesza. Ledwie zebrane jedno, drugie się już sieje. Serce trzeba dzielić między rolę a stodołą, między tokiem a zagonem. Podobne historie z sianem na łąkach, z jarzyną, z ziarnem. Wydarło się kosztownie kawał pola spod lasu, wykarczowało, wypaliło, posiało len albo proso — ale czy one zapłacą robotnika?

Z końmi też jest czym się zatroskać, żeby tego parobcy nie pomarnowali; z bydłem, aby się przezimowało; z owcą, aby motylicy na moczarach nie dostała; na ostatek z domową czeladzią, aby się ani do zbytku kłóciła, ani nadto nie kochała.

Wicek, biorąc to wszystko do serca, zrobiwszy sobie z tego cel życia nie miał i chwili odpoczynku. Zmęczony, potem spał jak kłoda, a obudziwszy się, musiał lecieć, bo tam już zawsze coś czekało na niego. Zimą — ba! Była staroświecka gorzelenka, śmierdząca, na której wódkę brzydką pędzono, i przy niej szopka, gdzie stały woliki domowe, które sprzedawano, gdy potłuściały, z zarobkiem. Trzeba więc było wstać do zacieru, wstać do rozdawania brahy¹²³, dopilnować, aby gdzie parobcy ognia nie zapuścili, a gdy z blaszanej rurki zardzewiałej poczęła kapać śmierdząca siwucha, by jej zbyt nie podstawiano półkwatek defraudowanych.

Nie miał czasu Wicek próżnować, choć się zawsze kochał; w tej pracy utył nawet jak prosty parobek. Brat, który do lasu, prawda, jeździł, ale i na pokojach czasu wiele tracił, i był więcej do ludzi, miał Wickowi za złe, że tak się zakopał, zardzewiał, a od gospodarstwa nawet ruszać się nie chciał.

Ledwie raz w rok się wybrał z tenutą do starosty, a najwięcej dwa do stryja, któremu z leśnych produktów coś do spiżarni przywiózł: to rydzów faszeczkę, to miodu trochę, to serków, to masło, a

nawet kaszy jaglanej, gdy się pięknie udała.

Skutkiem tej pracowitości i bardzo skromnego życia, Wicek ani się opatrzył, jak najuczciwiej w ciągu tych lat znacznego się dorobił kapitaliku. Dziwiło go to samego i pytał się siebie czasem — na co mu się to przydać może? Odpowiedzieć było trudno — ale szło, i bez myśli się ciułało.

— Niech to sobie będzie...

W pierwszym roku żywej duszy nie widywał Wicek, oprócz wołów swoich i koni a parobków. Pobożny, jednak do kaplicy w Uściługu dojeżdżał, do kościółka w Horodle; tu zwykle stawał w kącie, pomodlił się i z nikim nie zadając odjeżdżał do domu.

Myśliwstwa wielkim miłośnikiem nie był, jednakże szkodę wilcy robili, a czasem zwierzyny zażądał starosta, polowanie więc się urządzało. Jakoś drugiego czy trzeciego roku na jednym takim polowaniu, które wypadło u samego skraju lasów, trzeba było wypadku, że się Wicek zetknął z innymi myśliwymi z sąsiedztwa. Byli to panowie Mysłowski, ojciec i syn, dzierżawcy też, od dawna dobra w sąsiedztwie trzymający. Ci się bardzo pragnęli poznać z sąsiadem, ale głośzono go dzikim, więc się mu nie narzucali. Tu nadarzyła się zręczność. Wicek uprzejmie ich powitał, zawiązała się rozmowa, naturalnie nie o czym innym, tylko o gospodarstwie. Mysłowski mieli , wódkę i bigos, prosili na przekąskę. Przy śniadaniu zawiązała się dobra znajomość. Stary Mysłowski, szlachcic dawnej daty, ze wszystkimi przymiotami i wadami stanu, Jak mnie widzisz, tak mnie pisz” — i serdeczny, i przebiegły, otwarty i filut, ale z kośćmi poczciwy — uwziął się Wicka mieć przyjacielem. I on, i syn tak jakoś chodzili koło niego, że go do siebie zaciągnęli. Choć na dzierżawie, Mysłowski żył niemal po pańsku. Dzierżawa była dobra, a oni lubili żyć i postawić się. Konie, stół, wino mieli wytworne. Gdy po raz pierwszy przybył tu Wicek, wyszła do obiadu pani Mysłowska z córeczką, mogącą mieć lat ze dwanaście. Zobaczywszy ją, osłupiał Wicek. Te same pytające oczy czarne, też same miała długie, ciemne warkocze; była podobna, a raczej mu tak przypominała Kocię, gdy ją z bratem zza szpaleru po raz pierwszy widzieli, że na widok jej jakby mu młodość jego nagle wróciła, o mało nie zapłakał. Przez cały czas oczyma wyrostka ją ścigał, a serce mu biło. Powagę miała też samą!

Powróciwszy do domu, Wicek wmówił w siebie, że to była czysta imaginacja.

— At, co na myśli, to się w oczach roi! Gdzie zaś! Ani się umywała!

Splunął, otrząsł się i chciał zapomnieć. Długo potem u Mysłowskich nie był — chciał zapomnieć tego widziadła, wyrzucając sobie, że mógł być tak dziecinnym. Znowu wciągnęli go Mysłowski, pojechał, i toż samo mu zrobiła wrażenie. Dzieweczka rosła i dojrzewała w oczach. Matka się nią cieszyła, a że córek więcej nie miała — już wyrostek, niby w domu, gospodarował. Kręciło się to i udawało gosposię, z kluczykami chodziło, a miało taką powagę i rozumek, że miło było na nią patrzeć.

Do Wicka kilka razy zagadała śmiało jak dziecko... O cudo! Nawet głos jej przypominał niezapomnianą!

Wickowi było i miło, i przykro. Miał na sumieniu, że śmiał porównywać tę dziecinę jakąś z tamtym

bóstwem swoim. Wyrzucał to sobie jak apostazję¹²⁴ i niewierność, lecz próżno walczył z sobą — dziewczeczka go ciągnęła jak jakaś zagadka. Ale dziecko to było.

W oczach jednak pana Wincentego z pączka wyrastał kwiatek, z dziecka robiła się dziewczeczka, panienka, panna...

Zaczęto już mówić w sąsiedztwie o pannie Zuzi Mysłowskiej, jako o ślicznej osobce, która by nawet już i za mąż pójść mogła, choć matka się zaprzysięgała, że jej młodo nie wyda. Kawalerów już rojło się wielu. Zuzia na nich ani patrzyła. Gosposią była, dumną ze swoich kluczyków, a faworytką w domu. Co jej tam było tak prędko iść za mąż!

Wicek, który zrazu rzadko bywał, a poznał ją dzieckiem niemal, oswoił się z nią wielce. Byli z sobą dobrymi przyjaciółmi, bez ceremonii. Ta przyjaźń taka stara, rosnąc, stawała się coraz trwalszą i mocniejszą. Wicek się zapominał na poufalej gawędce z panną, ona go lubiła. Najczęściej mówili ze sobą i sprzeczali się o coś gospodarskiego, o kury, o gołębie, o ogrodowinę, o motki, o takie prozaiczne rzeczy, że w tym sentymencie, między talki i marchew, nie sposób było pomieścić.

Ale spory odbywały się wesoło i zabawnie, Wicek słynął jako gospodarz, Zuzia miała pretensję być gospodynią, jakich mało. Rodzaj współzawodnictwa zawiązał się między nimi. Ile razy przybył do Mysłowskich, wnet mu się chwalono z czymś, a on popisывał się też z tym, co u niego się zrobiło.

Raz okrutna sprawa była o dynię, którą się Zuzia chwaliła, a która miała ważyć coś około trzydziestu funtów; Wicek ręczył, że u niego są większe i przywiózł w beczce takiego olbrzyma, że otrzymał zwycięstwo.

— Ale to pięknie, pięknie, że pan mnie dałeś harbuza! — cicho, żartem szepnęła Zuzia.

Wicek się zaklął, że nie miał złej myśli, a w istocie marzyło mu się całe co innego, tylko w sumieniu czuł się nieczystym, zdradzając miłość starą, pierwszą, najdroższą.

Czy państwu Mysłowskim przyszło kiedy na myśl, że z tej przyjaźni co więcej być może? — odgadnąć trudno.

Przyjmowali serdecznie sąsiada, ile razy przybywał, a dawano mu swobodę zabawiania się z przyjaciółką najzupełniejszą. Zuzia chętnie bardzo, może chętniej niż do młodszych, wybiegała do pana Wincentego, aby się z nim pośmiać i pogawędzić. Różniła ją ta chwilowa wesołość od panny Konstancji, ale... ale Wicek znajdował, że wesołość Zuzi do powagi Kostusi jak dwie krople wody była podobną. My byśmy za to nie ręczyli — oczy jednak czarne miały wyraz ten sam głęboki, zadumany, pytający, niepokojący, i choć usta się śmiały i szczebiotały — one patrzyły uroczyście.

Gdy panna dorosła, Wicek uczuł się nieszczęśliwym, niespokojnym, jednym słowem — zakochanym. Najgorzej było, iż mu się zdawało, że kochał zawsze tamtą, a tę w dodatku, że może ta miłość była jakąś fałszywą i niepocziwą.

Zaklął się więc po jednych odwiedzinach: — Więcej nie pojedę! — i nie był cztery miesiące. Kawał czasu.

Aż jednego dnia przybył Mysłowski stary sam.

Wicek w kozuszkę domowym był właśnie na oborze; wyszedł do niego jak stał.

— Panie Wincenty, a już też tego nadto — rzekł Mysłowski — czy się gniewasz, czyśmy cię urazili, nie wiedząc, co to jest u Boga? Cztery okrągłe miesiące nie byliście u nas! A czy się to godzi?

Wicek się tłumaczył, że czasu nie miał. Mysłowski nie wierzył.

— Będę sądził, że chyba, dalipan, się gniewacie — odezwał się odjeżdżając Mysłowski — jak u mnie pojutrze nie będziecie na obiedzie.

Wicek przyrzekł, że przyjedzie. Zadany mu gwałt był wcale na rękę... Pojechał.

Trafiło się, że na samym wstępie w pokoju spotkała go jedna Zuzia. — A toż cud! — zawołała. — Pan! Pan Wincenty! Oczom nie wierzę! Cóż się pan pogniewał?

— Ja się nigdy nie gniewałem.

— I ani razu pan nie byłeś — cztery miesiące! — podniosła palce do góry. — Cztery mie-sią-ce!

Wicek był tak szczęśliwy z widzenia jej, iż zapomniał się, za rączkę ją pochwycił i — pocałował.

Pocałował? To by było nic... Wszyscy naówczas panie całowali w rękę, ale przyzwoicie, skromnie, a pan Wincenty porwał tę rączkę i cały zaczerwieniony, jak zaczął całować — nie było temu końca. Byli sami. Panna ze strachu, czy coś, ręki mu nie wrywała — całował, aż się zarumieniła jak wiśnia, aż ją strach wziął i serce jej bić zaczęło. Matka nadchodząca z wymówkami trafiła na to całowanie i co by się miała pogniewać, podbiegła ku niemu radośnie.

— A, przecież pana oglądamy!

Zuzia ustąpiła, ale rzuciła okiem na Wicka i — dobiła go... Co się z nim stało od tego momentu, nie wiadomo. Siadł przy Zuzi i ani się ruszył od niej, zagadali się, zaczęli się śmiać, zapomnieli, nikt im nie przeszkadzał, i cały dzień do późna byli ze sobą. Mówili tylko o gospodarstwie, co zaś tam ich oczy gadały, tego, jak wiadomo, nikt nie może wytłumaczyć, prócz tego, do kogo to adresowane.

Dosyć, że gdy o szarej godzinie, wyjeżdżał Wicek, panna mu szepnęła u progu:

— A niechże też bo pan całymi miesiącami o nas nie zapomina.

Jakoś we dwa potem miesiące w Borusławicach zjawił się Wicek w porze, w której tam bywać nie zwykł. Niezmierną z tego miano radość — ksiądz Paczura niedomagający, aż się rozplakał. Znowu cały dwór, jaki jeszcze żył i ruszał się, zbiegł oglądać panicza, choć on już wyglądał nie po paniczowsku. Co najwięcej dziwiło proboszcza, że Wicek, co bywał zwykle chmurny i posępny, tym razem śmiał się i zacierał ręce, a wesołą miał twarz na podziw, i żartował sobie z Magdaleny, że za mąż nie poszła. Nie było to w jego obyczaju. Z bryczki faseczek, kobiałek, koszyków, węzełków

nadobywano do spiżarni co niemiara...

Po obiedzie, na który teraz regularnie przyjeżdżał Hołłowicz, pod pozorem dotrzymania kompanii proboszczowi, w istocie dlatego, że mu w domu dzieci dokuczały — Wicek wziął na ustępy stryja do jego sypialni i siedzieli tam, jak ciekawy a niecierpliwiący się obrachował dzierżawca, blisko trzy kwadranse.

Z sypialnego pokoju, przedzielonego od sali komórką, niekiedy dochodziły głosy, które Hołłowicz usiłował podsłuchać i zrozumieć — ale, że mu się zbyt przybliżyć nie wypadało, bo lada chwila mógł ktoś wejść i złapać go na uczynku, tylko jakieś wykrzykniki wesołe chwycił i śmiech księdza Paczury, to znowu jak groch sypiące się gęsto wyrazy Wicka, opowiadającego żywo. Co to mogły być za sekreta, do których on nie był przypuszczony, nie miał wyobrażenia dzierżawca, domyślić mu się było niepodobna. Wiedział jednak, że księżyna się przed nim z tym wygada. Urazę miał do Wicka, który go eliminował z tak zajmującej rozmowy.

Gdy wreszcie po tych trzech kwadransach wyszli znowu do wielkiej izby, ksiądz miał twarz rozjaśnioną, rozpromienioną, z jednego oka łza radości mu uciekła, a usta się widocznie uśmiechały. Jednakże siadłszy, zaczęli zaraz o czym innym mówić i Hołłowicz przez punkt honoru nie zaczepiał.

Wicek miał jechać do pana starosty i widzieć się nazajutrz z bratem, lecz Wacek był w Muchomorach od tygodnia i parę dni tam miał jeszcze zabawić.

Zastał tylko starego procesowicza, który w papierach się grzebał jak zwykle. Gdy mu o Wicku oznajmiono, zdziwił się, że gospodarstwa w gorący czas odjechał, zląkł się nawet, czy się tam co nie stało.

— Jak się masz asindziej! Pan Jezus przy waszeci! Co tu robisz? To dopiero gość! Siadaj i praw, co wiesz, bo żeś nie darmo przybył, to pewna.

— Pan starosta zgadł — odparł Wicek — przyjechałem po błogosławieństwo!

— Hę? — spytał starosta. — Po co?

— Po błogosławieństwo...

— Cóż to? Przecież ci panna Konstancja z głowy wywietrzała? A to winszuję.

— Przepraszam pana starostę, takuteńką drugą znalazłem.

— Żartuj zdrów! — poważnie odparł Śniehota. — Takie Kostusie na kamieniu nie rosną.

Wicek zaczął się tłumaczyć, opowiadać, słuchał starosta długo, wreszcie go za rękę chwycił: — A wiesz co ja ci powiem?

— Co każe starosta...

— Figła spletały Wackowi. Asindziej wiesz, że panna Konstancja za niego nie szła, boś się ty w

niej kochał. Suponuję tedy, że teraz, gdyś ty sobie dubeltową znalazł, ona już wyjdzie za Wacka i poczciwy Wacek będzie szczęśliwy. Proście go ty na wesele nie mówiąc na co i dlaczego... Podwoi niespodzianka radość!

Figiel pana starosty nadchodzącej pani zdał się niedobrym, ona i dla swej Kostusi, i dla Wacka chciałyby była jak najprędzszego rozwiązania, starosta się uparł. Była tedy lukta¹²⁵ długa, a że stary pan przy swych fantazjach stał i Wickowi za to rok dzierżawy chciał darować — trzeba było słuchać. Miał to w charakterze swym starosta, że i w procesach, i w innych życia przygodach, figle i niespodzianki lubił. Nie oszczędzał ich i żonie — choć czasem więcej strachu niż przyjemności przynosiły. Uparty był stary. Cieszyło go to zawczasu. Zaraz chciał nawet słać do proboszcza, aby z sekretu nie wydawał, i zabiegał tak, że się po jego woli stać musiało.

Wicka obdarzonego nazajutrz odprawił do domu. Gdy z Muchomorów powrócił Wacek, dowiedział się o bytności brata i przyszedł dopytywać, co go sprowadziło. Starosta minę zrobił smutną.

— Żal mi go nieboraka — rzekł — niech to będzie między nami, ale tego roku noga mu się pośliznęła i na dzierżawie stracił tak, że przyjechał się od tenuty wypraszać. Co było robić? Musiałem mu defalkować¹²⁶.

— Ale czyż może być! — zawołał Wacek. — Urodzaje były śliczne.

— Zachciałeś — grad powytlukał. Dużo w kopach porosło. On, co zawsze bywało, na samej pszenicy tyle zarabiał i kopy nie miał suchej. Bydło mu na języki się pochorowało, owce zamotyliczone... Formalna klęska.

Zgryzł się Wacek mocno.

— Niech to będzie między nami, prosił mnie o sekret.

Trochę mając zapasu, chciał heroicznie bratu nim służyć Wacek, a że go był ulokował u starosty, odezwał się z tym, a Śniehota go zburczał.

— Dajże pokój — da on sobie rady. Nie masz się co z zapasów odzierać — ja mu już pomogę.

Niespokojny był Wacek, lecz że od brata wiadomości żadnej nie miał, a — przycichło stamtąd, czekał, czy się nie odezwie.

W parę miesięcy potem, jakoś już jesienią późną, odebrał list od Wicka. Pismo było jakoś niezrozumiałe, a tak się zdawało nedorzeczne, że z nim do starosty przyszedł.

— Co to tam za papier trzymasz? — spytał Śniehota. — List od mojego brata. Zebrał się nareszcie napisać, ale mu się czy w głowie pomieszało, czy co takiego?

— Cóż on tam pisze? — starosta spojrział z miną bardzo nasepioną, a wiedział dobrze, co stało w liście.

Wacek, ciągle ramionami zzymając i cudując się, począł czytać. W istocie, list był dziwaczny. Wicek zaklinał brata, aby dla bardzo ważnego interesu znajdował się w Horodle na dzień i godzinę naznaczoną. Tak to było enigmatycznie ułożone, iż nie wiedzieć czego się domyśleć, ale pojedynku najprędzej. Starosta, który list kazał sobie podać i sam go odczytał, był też tego zdania, że pewnie szło o wyzwanie na rękę.

— Otóż biedy napytał — rzekł — a nigdy się tego po nim nie spodziewał. Prawda, że żywy jest, ale ludziom nigdy nie daje powodu do zaczepki, skąd mu to przyszło? Hm — osobliwa rzecz. Ano — krew nie woda — i to po ludziach chodzi.

, Wacek chciał się wybrać wcześniej, starosta go nie puścił. Gdy do odjazdu przyszło, zawołał go do siebie i uczynił mu tę uwagę, że choćby o wybitą szło, należało garderobę wziąć najlepszą, bo potem zgoda i festyn nastąpić może, a gdyby i pogrzeb nawet, na który się ubrać pięknie należy.

Z niezmiernym niepokojem w duszy wyjechał Wacek. Starościnie go żal było, podszeptaby mu pewnie całą prawdę, ale męża się lękała, nie darowałaby jej tej zdrady. Stało się tak, iż na dzień naznaczony, a nawet i godzinę, stawił się Wacek. Zajechał do karczmy, której gospodarza mu brat wypisał. Tu przyjęto go i wyprowadzono do stancji, ale Żyd filut, namówiony, nie powiedział, o co chodziło, zapewnił tylko, iż pan Paczura wkrótce nadjedzie z przyjaciółmi, i radził się ubrać.

Wszystko to tak było ciemne i niezrozumiałe, iż Wacka niecierpliwie zaczynało. Napadł na Żyda, aby mu powiedział coś więcej, ten uciekł, ręcząc, że o niczym nie wie.

Już było około południa, gdy Wacek, ubrawszy się jak od święta, z czapką na bakier, wyszedł przed karczmę. Zły był i zzymał się. Nie lubił sekretów — miało to minę, że sobie z niego żartować chciano — nie lubiał też żartów.

Wtem groblą poczęły się ukazywać jadące powozy. Jeden, dwa, cztery, sześć, konie w kokardach, woźnice z bukietami przy kapeluszach... Zdumiał się. Wszystko to wprost potoczyło się przed kościół. Nie myśląc już wiele, czapki poprawiwszy, poszedł i Wacek. Zaledwie miał czas do parkanu się zbliżyć, gdy ujrzał brata wystrojonego z bukietem... po prawej stronie!

Tuż w powozie drugim panna jechała w bieli, w wianku, z czarnymi oczyma... a, ale nie panna Konstancja. On nie znalazł w niej do tamtej żadnego podobieństwa.

Zaczęło mu się dopiero w głowie robić jaśniej. Brat się żenił! A więc i on nareszcie rozwiązany był, a panna Konstancja już mu swej ręki odmówić nie mogła.

Zapomniawszy o wszystkim, rzucił się brata ścisnąć. Łzy mu z oczu płynęły. Byłby ścisnął znajomych i nieznaną, tak mu się serce otworzyło szeroko, tak mu w piersi zrobiło się ciepło, taką radością zapłonęło w nim, od stóp do głów.

Więc powitania, radości wielkie i śmiechy — zaprowadził go Wicek do swej bogdanki i przedstawił, Zuzia zza łez dziewiczych spojrzała nań... Trzeba było iść do kościoła, bo już w nim organista marsza grał, aż się rozlegało. O, dziwny zbieg wspomnień... Marsz to był, którego niegdyś grywał Matłachiewicz na organach w Borusławicach, a chłopcy nieraz, w niedostatku innej siły lub

przez swawolę, kalikowali do niego. Obu im na myśl wnet przysły pierwsze owe lata... i Matłachiewicza nauka, i dzwony, pod którymi się wysypiał Bartoch, i poczciwy Mamert, i stara Magdalena. Jakież było zdziwienie Wacka, gdy z innymi wchodząc do drewnianego kościółka, w drzwiach zakrystii ujrzał księdza Paczurę, który czekał z agendką w ręku na państwa młodych.

Wszystko się odbyło jak najuroczyściej, a Wacek łązy miał na oczach — ślub ten był niejako własnym jego, od tak bardzo dawna upragnionym. Gdyby był mógł, uściskawszy brata, puściłby się natychmiast do Muchomorów, aby pannie Konstancji oswobodzenie zwiastować.

Po ślubie, dla uspokojenia go, doniósł mu ksiądz Paczura, iż sama starościna tegoż dnia co on do Horodła, wybrała się do Rewnowskich, aby dobrą zwiastować nowinę.

Z kościoła wszyscy musieli ruszać do Mysłowskich, gdzie wesele przygotowano, a stary dzierzawca bardzo dbał o to, aby było suto i świetnie.

— Posag czy dam, czy nie, to sprawa inna, ale żeby ludzie o weselu mojej córki jedynaczki lat kilka nie mieli co rozpowiadać — to nie może być! Jakem poczciw!

Sprowadził więc Mysłowski na to wesele i muzykę z Włodzimierza, i wino z Łucka, i nawet fajerwerkera od Lubomirskich, ażeby sztuczne ognie z cyframi¹²⁷ wyprawił.

Moździerzy kilka pod oknami ustawiono. Kucharzy pięciu kłóciło się, swarzyło, smażyło, popijało w kuchni i masło łyżkami na ogień dla podsycania go ciskało. Kiedy hulać, to hulać.

Caluteńkie sąsiedztwo było zaproszone, a że na stoły nie stało miejsca w budynku mieszkalnym, uprzątnięto szopę, umajono ją sośniną i jedlinką, obwieszono wieńcami, z tarcic naprędce łożono podłogi i z niej naprzód jadalnię, potem balową salę uczyniono.

Mysłowski, gdy mu syn lub żona czynili uwagi, co to będzie kosztowało, odpowiadał:

— Niech kosztuje, co chce! Musi być. Córka jedynaczka, a Mysłowskiego stanie na to!

Trzy dni trwało owo wesele, a czwartego wyproszono się na przenosiny, gdzie znowu Wicek musiał wystąpić — choć skromniej daleka Żona mu sama rozkazała, aby się nie ważył czynić zbytków. Mysłowski nie miał tego za złe, bo rad był zakasować nawet zięcia.

Zwykłym trybem odbywały się obrzędy przyjęcia z chlebem i solą na domowym progu.

Przypadło Wackowi witać tu bratową, a przyjmował ją serdecznie, myśląc, jak jego Kostusię też w progu nowego domu sędzina powita.

Dopełniwszy tego obowiązku, gdy i stary ksiądz Paczura, pobłogosławiwszy wszystkie kąty, śpieszył zmęczony do domu, Wacek z nim się zabrał, a stamtąd już wprost nie do Zalesia, ale do Muchomorów, gdzie się spodziewał zastać starościnę. Stryja na probostwie wysadziwszy, na całą noc ruszył Wacek — serce mu się w piersi tłukło, a usta Bogu dziękowały. Tyle lat oczekiwania, przestał się już być nawet spodziewać.

W Muchomorach, gdy wyskoczył z bryczki przed gankiem, tuż mu obie ręce nastawił do uścisku sędziego. Razem weszli do pokoju. Konstancja siedząca przy staroście wstała zarumieniona, z uśmiechem na ustach, i przebaczyli pewnie Wackowi wszyscy, iż do niej wprost poszedł i pierwszą ją przywitał. Całując rękę jej, czuł jak drżała. Nie mówili słowa, słów nie było potrzeba, kolej przysłała na sędzinę uszczęśliwioną jak dziecię, szczebioczącą, śmiejącą się, na staroście, potem na resztę towarzystwa.

— Mój mąż to człowiek, co czasem dla figla gotów kogo nabawić choroby — odezwała się starościna — ale się na niego nie gniewaj. On to wszystko tak ułożył! Aż mi waćpana żal było.

Wacek szczęśliwy przebaczyłby był naówczas najsroższą urazę, a wiedział dobrze, iż starosta też za figla wynagrodzi. Śmiano się i opowiadano, jak nadjeżdżające wesele zdziwiło o niczym nie wiedzącego brata. W spisku byli wszyscy i niespodzianka zupełnie się powiodła. Sędzina ciekawa niezmiernie — dopytywała się o młodą bratową, jak wyglądała, bo wieść już tu doszła, że miała być do panny Konstancji podobną. Wacek protestował i zaprzeczał, a miał słuszość może.

Podobieństwo to, upatrzone w dzieweczce, znikło w dorosłej panience, dopełniła go Wickowi wyobraźnia i tęsknota. O szumnym weselu mówił Wacek, lecz tylko dlatego, aby przeciw podobnemu protestować.

— A już to daruj, kochanie — odezwał się sędzia — raz się dziecko z domu daje; cichaczem je tak wyprawić, bez uroczystości należytej — to cygańska rzecz. Weselisko musi być co się zowie. To darmo. A obyczaj stary! Tym się też nie godzi pomiatać. Jak zaczniemy wszystkim pomiatać, jak zaczniemy wszystko przerabiać, nic nie zostanie.

Znaleźli się w pokoju wszyscy domownicy, oprócz w Bogu już odpoczywającej strukczaszy, która podobno grzybów nadto zjadłszy, ze światem się pożegnała, oprócz starego o dwu kijach Rewnowskiego, który się z łóżka nie ruszał.

Hadziakiewicz witał Wacka radośnie, czując, że przy weselu, które mu się obiecywało, do niejednej czupryny bezkarnie będzie mógł wziąć intromisję.

Nie opierała się więcej panna Konstancja, wesele naznaczono za parę tygodni, gdyż wszystko niemal doń gotowym było. Dom w drugiej wsi, którą puszczał młodym Rewnowscy, od dawna był odnowiony i urządzony; wyprawę sędzina od pierwszego roku rozpoczynając, coraz już tylko niepotrzebnymi dodatkami wzbogacała. Bielizna szlaska z Wrocławia dawno była sprowadzona, na suknie materie leżały, kuny przewietrzano tylko, aby ich mole nie jadły.

Ksiądz Paczura też prosił o pośpiech:

— Niech ja jeszcze Wackowi pobłogosławię, to już później oczy zamknę spokojnie, wielki na to czas. Zmęczony jestem, podbity i do niczego niezdatny. Z probostwa do kościoła ledwie dołączę, wikarym się trzeba wyręczać, sumy odśpiewać trudno — po co się człowiek zdał na świecie?

Stało się, jak sobie życzył ksiądz Paczura: dawał ślub i Wackowi, na który oboje starostwo, a prócz tego mnóstwo obywatelstwa zjechało. Starosta, nie chcąc ani spadkobiercom swym krzywdy

uczynić, ani wychowawcy okazać obojętności, puścił mu prawem dożywotnim wioskę dobrą, zapewniając jej trzymanie dla obojga małżonków. Wicek z żoną stawił się na ślub brata, a tu mogli wszyscy porównywać, kto chciał, dwie panie, które tylko z pięknych może oczu były do siebie podobne. Zuzia żywszą nierównie będąc, śmiała się, biegała, dziecinną prawie wydając się przy poważnej Konstancji, której wesołość nawet przybierała wyraz uroczysty. Pokochały się one, mimo tej pozornej charakterów różnicy, jak siostry, od dnia pierwszego — i miłość ta przetrwała potem lata długie, jak ta, co dzięki Konstancji łączyła teraz obu braci rywali.

Tak się kończą proste te dzieje kilku serc i kilku ludzi, innych, różnych bardzo od naszych czasów. Nie tylko powłoka i barwa zmieniły się dzisiaj — podobni ludzie w położeniu jednakim, w naszym świecie całe inaczej postąpiliby sobie. Pobudki czynów, sprężyny władzące, wszystko teraz z innego kruszcu, kształtem innym, nastrojone różnie. Gorzej? Lepiej? Któż to powie? Przez gorsze idzie się do lepszego, a dróg dziejów — ludzkich sędzią jest Ten, co je wyznacza.

5 września 1876. Drezno.

¹ Firlejowie — ród magnatów polskich, posiadający największe znaczenie w XVI i XVII w. Ich dobra rodzinne leżały na Lubelszczyźnie.

² W poprzednich wydaniach zdanie to brzmi: „Jak kościół za starym cmentarzem, tak i probostwo za swymi zabudowaniami...”

³ Indulgencja (z łac.) — odpust.

⁴ Wizyty — urzędowe oględziny, wizytacje: tu: zapiski po lustracjach władz kościelnych.

⁵ Tęcza — w architekturze kościelnej miejsce zbiegu nawy i prezbiterium.

⁶ Przyjęto tu wersję z pierwodruku w „Kronice Rodzinnej”, jako charakterystyczną dla języka Kraszewskiego.

⁷ *More antiquo* (łac.) — starym obyczajem.

⁸ We wszystkich poprzednich wydaniach występuje tu — chyba błędnie użyte — słowo „przesuszał”.

⁹ Hydrocefal (z gr.) — osobnik z wodogłowiem.

¹⁰ Agenda (z łac.) — książka liturgiczna, zawierająca zbiór modlitw i przepisy ich odmawiania.

¹¹ *Sit nomen Domini benedictum!* (łac.) — niechaj imię Pana będzie błogosławione.

¹² (łac.) — wyznaję (modlitwa na początku mszy).

¹³ Kancjonał (z łac.) — śpiewnik kościelny.

¹⁴ Responsorium (z łac.) — w liturgii katolickiej śpiewana odpowiedź na śpiew kapłana przy ołtarzu.

¹⁵ Sekstern (z łac.) — zeszyt.

¹⁶ Hładyszka (z brs.) — naczynie gliniane podobne do dzbana, zwykle używane na wsi do mleka.

¹⁷ Talka — motek nici. przędzy zdjęty z motowidła.

¹⁸ Ordynaria (z łac.) — tu: część wynagrodzenia za stancję, wyznaczona w naturze.

¹⁹ Preliminana (z łac.) — wstępne układy, umowy.

²⁰ Rewerenda (z łac.) — sutanna.

²¹ Msza czytana — msza odbywająca się bez śpiewu i muzyki.

²² Kolator (z łac.) — osoba mająca prawo obsadzania urzędów kościelnych, zwykle fundator kościoła lub spadkobierca fundatora

²³ Dyferencja (z łac.) — różnica, spór.

²⁴ Przymawiał się od kratek — sugerował wszczęcie procesu.

²⁵ *Status causae* (łac.) — stan sprawy:

²⁶ Ordynacja ostrogska — ordynacja (z łac.) wielka własność ziemska, która na mocy aktu prawnego, sporządzonego przez jej założyciela i zatwierdzonego przez sejm. winna pozostać niepodzielna i niezbywalna. Członkowie rodu mogli z niej korzystać w ustalonej kolejności. Ordynację ostrogską utworzył książę Janusz Ostrogski w 1609 r. Obejmowała 24 miasta i 593 wsie, przede wszystkim na Ukrainie. W 1753 r. Janusz Aleksander Sanguszko, kolejny spadkobierca, bezprawnie przeprowadził podział ordynacji między wierzycieli, stąd też jej stan prawny był szczególnie skomplikowany.

²⁷ Proces kapituły wileńskiej — chodzi prawdopodobnie o proces kapituły z Kazimierzem Sapiehą, hetmanem litewskim, który miał miejsce w latach dziewięćdziesiątych XVII w. Sapieha rozłokował w dobrach kościelnych wojska litewskie, przez co — zdaniem Konstantego Brzostowskiego, biskupa wileńskiego — kościół poniósł znaczne straty. Sprawa była rozpatrywana przez sejm w 1695 r., oparła się także o Watykan, albowiem na jej tle wystąpiły nieporozumienia między biskupem a niższym duchowieństwem, które nie akceptowało klątwy rzuconej przez Brzostowskiego na hetmana i interdaktu, zabraniającego odbywania spowiedzi i głoszenia kazań,

jakim następnie obłożył on diecezję, by złamać opór kleru.

²⁸ *Quasi* (łac.) — jakby, jak gdyby.

²⁹ Majordomus (z łac.) — tu: zarządzający dworem starosty.

³⁰ Serwitor (z łac.) — tu: ministrant.

³¹ Dystrakcja (z łac.) — tu: przeszkoda.

³² *Dura lex, sed lex* (łac.) — twarde prawo, lecz prawo.

³³ *Casus* (łac.) — przypadek.

³⁴ *Factis* (łac.) — czynami, postępkami.

³⁵ W wydaniu książkowym z 1877 roku zdanie to ma postać: „Cierpiałem, cierpiał, aż miarka nie przebrała”. Poprawkę wprowadzono za wydaniem z roku 1884.

³⁶ *Vicisti Galilaeae* (łac.) — zwyciężyłeś, Galilejczyku. Słowa te miał wypowiedzieć w chwili śmierci cesarz Julian Apostata (361–363 n.e.), uznając w ten sposób zwycięstwo chrześcijaństwa.

³⁷ Denigrować (z łac.) — oczerniać.

³⁸ *Caro infirma* (łac.) — słaba natura ludzka.

³⁹ Kondemnować (z łac.) — skazywać wyrokiem zaocznym.

⁴⁰ Wańczos (z niem.) — drewno obrobione z trzech stron, z czwartej pokryte korą.

⁴¹ Speranda (z łac.) — nadzieja na coś, oczekiwany zysk.

⁴² Wiązanie — podarunek imieninowy, prezent.

⁴³ *Clara pacta* (łac.) — początek przysłowia: szczerze warunki umowy czynią szczerych przyjaciół.

⁴⁴ Forytować (z niem.) — polecać, zalecać.

⁴⁵ Rewokować (z łac.) — cofnąć, odwołać.

⁴⁶ *Hora canonica* (łac.) — godzina kościelnych modlitw z brewiarza; tu w znaczeniu żartobliwym.

⁴⁷ Salomon Rysiński (ok. 1570–1625), zbieracz przysłów, poeta, filolog klasyczny, autor pierwszego w Polsce zbioru przysłów *Przypowieści polskie* (1618).

⁴⁸ Grzegorz Knapski (1564–1639), leksykograf, twórca dzieła *Skarb polsko–łaciński–grecki*, którego trzeci tom zawierał *Przysłowia polskie wybrane i powiedzonka dowcipne, obyczajne, z dodatkiem ich odpowiedników łacińskich i greckich* (1632).

⁴⁹ *Alterum tantum* (łac.) — drugie tyle, w dwójnasób.

⁵⁰ Prepotencja (z łac.) — wielka potęga, wszechmoc.

⁵¹ Fascykul (z łac.) — zwój papierów, dokumentów.

⁵² *Ile fecit cui prodest* (łac.) — ów uczynił, komu przynosi korzyść.

⁵³ *Ni fallor* (łac.) — jeżeli się nie mylę; tu: prawdopodobnie.

⁵⁴ *Periculum in mora* (łac.) — niebezpieczeństwo w zwłoce.

⁵⁵ Konwinkować (z łac.) — przekonywać.

⁵⁶ *Iterum iterumque* (łac.) — raz po raz.

⁵⁷ Procediacja (z łac.) — rodowód, genealogia.

⁵⁸ Lagier — osad.

⁵⁹ *De noviter repertis* (łac.) — termin prawniczy, oznaczający wznowienie postępowania prawnego na podstawie nowego uzasadnienia. Tu użyty w znaczeniu żartobliwym.

⁶⁰ *Gradatim* (łac.) — stopniowo, kolejno.

⁶¹ *Ab ovo* (łac.) — od jaja; od początku.

⁶² *Albo notanda lapillo* (łac.) — ten, który ma być oznaczony białym kamieniem. Rzymianie oznaczali dni szczęśliwe białymi, a nieszczęśliwe — czarnymi kamieniami.

⁶³ Konsyderować (z łac.) — oceniać, uważać.

⁶⁴ *Inpenetrabiles* (łac.) — nieprzeniknione, niepojęte.

⁶⁵ *Coniungere* (łac.) — łączyć.

⁶⁶ *Aegritudine fractus* (łac.) — złamany chorobą.

⁶⁷ *Nuntius* (łac.) — posłaniec.

⁶⁸ *Beatitudine et gratitudine* (łac.) — szczęściem i wdzięcznością.

⁶⁹ *Ex corde intimo* (łac.) — z głębi serca.

⁷⁰ *De publicis* (łac.) — o sprawach publicznych.

⁷¹ *Iuris peritus* (łac.) — biegły w prawie.

⁷² Wokować (z tac.) — wzywać.

⁷³ Muezzin (osm—tur.) — duchowny muzułmański, wzywający z krużganku minaretu wiernych do modlitwy.

⁷⁴ Szum — tu: szumowiny; piana.

⁷⁵ *Mente captus, stulius. asinus* (tac.) — słaby na umyśle, głupi, osioł.

⁷⁶ *Solo basso* (wł.) — sam po cichu.

⁷⁷ *Volens nolens* (łac.) — chcąc nie chcąc.

⁷⁸ *Gratitudinem* (tac.) — wdzięczność (IV przyp. lp.)

⁷⁹ *Sine qua non* (tac.) — nieodzowny.

⁸⁰ *Inter nos* (łac.) — między nami.

⁸¹ intromisja (z tac.) — termin prawniczy, oznaczający wprowadzenie w posiadanie.

⁸² Skrytura (z tac.) — pisanie, pisanina.

⁸³ Konfesata (z tac.) — wyznanie grzechów, spowiedź.

⁸⁴ Tenuta (z wł.) — czynsz dzierżawny.

⁸⁵ Wirgiliusz — Publius Vergilius Maro (70–19 p.n.e.). największy epik rzymski, autor narodowego eposu Rzymian — *Eneidy*. poematu *Georgiki* i *Bukolik*.

⁸⁶ *Expertus, miseris succurrere disco* (łac.) — nauczony doświadczeniem, umiem pomagać potrzebującym. Jest to zmodyfikowany cytat słów królowej Dydony, która mówi do bezbronnych rozbitków trojańskich: *Non ignara mali miseris succurrere disco* (Vergilius. *Aeneis*, 1,630), co w przekładzie Wandy Markowskiej brzmi: Sama nieszczęść zaznawszy, umiem innych wspomagać w potrzebie (*Eneida*, Warszawa 1970. s. 301).

⁸⁷ *Sub rosa* (łac.) — pod różą, w dyskrecji.

⁸⁸ Lawendogra (z fr.) — rodzaj wody kolońskiej.

⁸⁹ Gracjalista (z łac.) — domownik pozostający na łaskawym chlebie gospodarza.

⁹⁰ Stanisław Leszczyński (1677–1766), król polski w latach 1704–1709 i —1736. Walczył o tron z Augustem II, który zmusił go do ustąpienia, ale po śmierci Augusta II odzyskał władzę: zwalczany przez Rosjan — abdykował. Otrzymał od Ludwika XV. króla Francji, w zarząd Lotaryngię.

⁹¹ *Turbator chori* (łac.) — śpiewak mącący zgodność chóru: wichrzyciel.

⁹² Strukczaszyzna (z niem.) — żona strukczaszego. dworzanina usługującego przy stole królewskim (z czasem godność honorowa).

⁹³ Robron (z fr.) — kloszowa, szeroka i sztywna suknia kobieca.

⁹⁴ Prowentowy pisarz — urzędnik prywatny, prowadzący kontrolę dochodów majątku ziemskiego.

⁹⁵ *Et vice versa* (łac.) — i na odwrót.

⁹⁶ Mitenki (z fr.) — rękawiczki damskie, sięgające do połowy palców.

⁹⁷ *Proprio motu* (łac.) — z własnej inicjatywy.

⁹⁸ Scjatyka (z łac.) — ischias, rwa kulszowa.

⁹⁹ *Primo loco* (łac.) — na pierwszym miejscu.

¹⁰⁰ Karuczek — rodzaj żelatyny spożywczej.

¹⁰¹ *Mirabilia* (z łac.) — nadzwyczajne, zadziwiające rzeczy: cuda.

¹⁰² Inkomodować (z łac.) — sprawiać komu kłopot, niewygodę: przeszkadzać.

¹⁰³ *Stante pede* (łac.) — natychmiast.

¹⁰⁴ Impresja (z łac.) — wrażenie.

¹⁰⁵ Ewenement (z fr.) — osobliwe zdarzenie.

¹⁰⁶ Zaszłapać — zamotać się. zaplątać się: tu: zakochać się.

¹⁰⁷ Zanimować (z łac.) — ożywić, zabawić.

¹⁰⁸ Rankor (z łac.) — gniew, złość, uraza.

¹⁰⁹ Szmermel (z niem.) — efektowny frazes, dowcip: tu atrakcyjna obietnica bez pokrycia.

¹¹⁰ Ingrediencja (z łac.) — część składowa mieszaniny.

¹¹¹ Rzucił strzałą Parta — odchodząc, wziął odwet za doznane niepowodzenie: Partowie zamieszkujący w starożytności tereny pn-wsch. Iranu, słynęli z umiejętności strzelania z łuku — potrafili celnie razić wroga nawet podczas ucieczki.

¹¹² Ekspektatywa (z łac.) — nadzieja, perspektywa na coś.

¹¹³ Gazetka *à la main* — gazetka rękopiśmienna.

¹¹⁴ Emancypowany (z łac.) — usamodzielniony.

¹¹⁵ Rezydencja (z łac.) — mieszkanie u kogoś na stałe.

¹¹⁶ Aparycja (z łac.) — tu: zjawienie się, ukazanie się.

¹¹⁷ Fonfry — fochy, grymasy.

¹¹⁸ Aprensja (z łac.) — niepokój, zmartwienie.

¹¹⁹ Tak we wszystkich wydaniach poprzednich.

¹²⁰ fletowers (z fr.) — rodzaj fletu „poprzecznego”. Nazwa pochodzi z XVIII w., używana wtedy dla odróżnienia fletu „poprzecznego” od „podłużnego”.

¹²¹ *Status quo* (łac.) — stan, w jakim się coś znajduje.

¹²² Pogońce — poganiacze bydła.

¹²³ braha (z ukr.) — wywar powstały po pędzeniu wódki, służy za pokarm dla bydła i trzody.

¹²⁴ Apostazja (z gr.) — odstępstwo od wiary, zasad lub przekonań: odszczepieństwo.

¹²⁵ Lukta (z łac.) — walka.

¹²⁶ „Defalkować (z łac.) — opuszczać, obniżać czynsz.

¹²⁷ Z cyframi — z inicjałami nowożeńców.